MICHAŁ OLESZCZYK
Moje LGBT+
Ból, gniew, siła

BIAŁORUŚ MA GŁOS
Tak się budzi naród:
relacje i prognozy

DROGA ZŁA
Przemoc na
pielgrzymce

SPALAJ I LICZ
Czym naprawdę
są kalorie

PTASIEK POLSKI
Szpaki i bociany
wcale się nas nie boją

Kraków 23 sierpnia 2020 nr 34 (3711) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DOROTA MASŁOWSKA

Jak nie zepsuć świata wychodząc z domu

DODATEK
1980.
POLSKI ROK

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

40-lecie
Porozumień
Sierpniowych

ŚWIĘTO WOLNOŚCI I DEMOKRACJI

14—31 SIERPNIA / 1 WRZEŚNIA
GDAŃSK

1980gdansk.pl

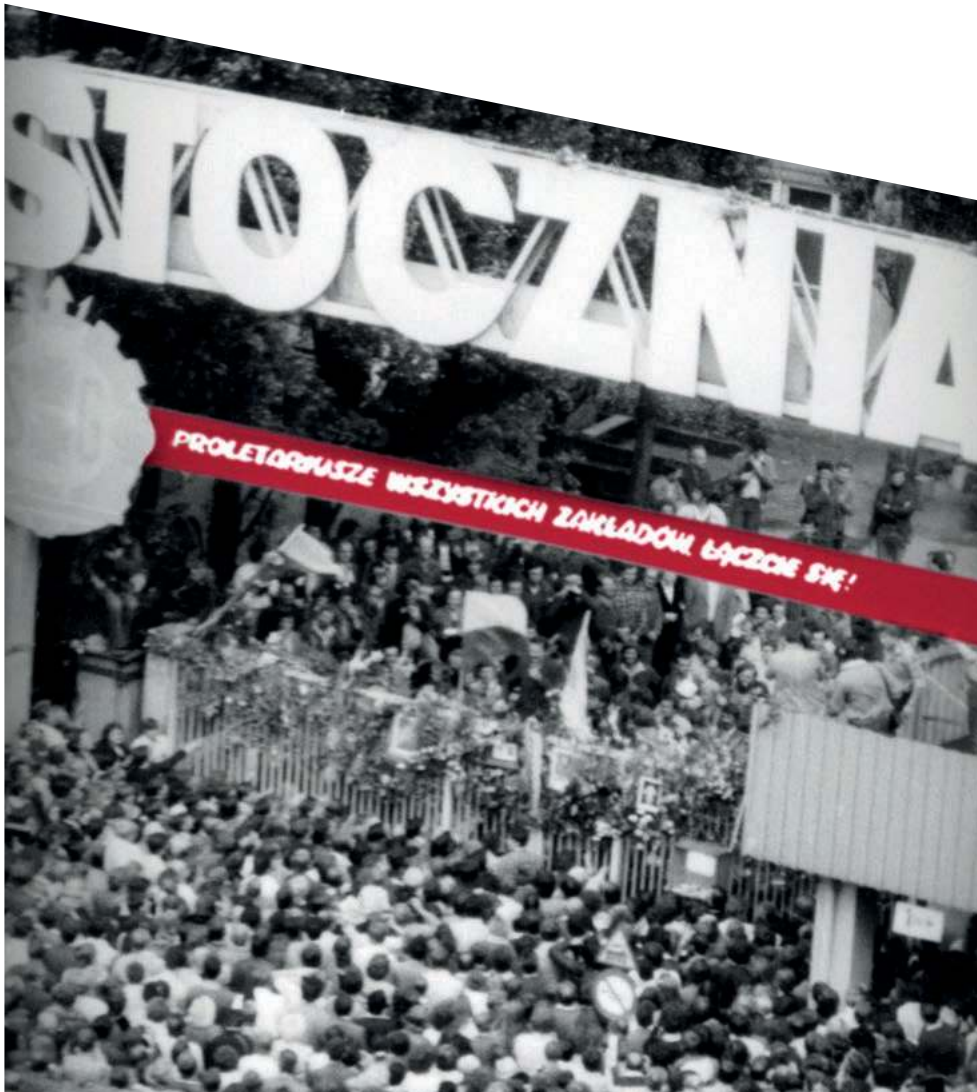

Fot. Autor nieznany / Zbiory ECS

GDAŃSK

SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

ECS europejskie centrum solidarności

FUNDACJA GDAŃSKA

KS. ADAM

Boniecki: *Białoruś ma głos*

Dokładnie w 40. rocznicę rozpoczęcia w Stoczni im. Lenina strajku, który zmienił Polskę i Europę, w Gdańsku odbył się wiec poparcia i solidarności z Białorusinami, którzy w tych dniach walczą o swoją wolność i demokrację. Jeden z inicjatorów strajku w sierpniu 1980 r., Bogdan Borusewicz, mówił podczas tego wiecu to, co dziś czuje wielu z nas: że my „mieliśmy swój Sierpień 40 lat temu i dlatego jesteśmy wolni. I pozostaniemy wolnym i demokratycznym krajem. Białoruś ma swój Sierpień teraz i też będzie wolnym krajem".

Wiele różni Polskę z sierpnia 1980 r. oraz dzisiejszą Białoruś – inna jest przede wszystkim sytuacja międzynarodowa – ale w gruncie jest tu mnóstwo podobieństw. Takie samo jest pragnienie wolności, pragnienie życia w kraju, gdzie szanuje się człowieka, jego godność (o tym, jak to wyglądało u nas przed 40 laty, opowiadamy w dodatku historycznym, który Czytelnicy znajdą w tym numerze). I wydaje się, że podobnie jak Polacy 40 lat temu, tak też Białorusini odkrywają dziś swoją podmiotowość jako wspólnota, jako naród i społeczeństwo. Odzyskują poczucie, że mają na coś wpływ (wcześniej przez 26 lat rządów Łukaszenki dominowało w tym kraju przekonanie, że nic się nie da zmienić, że kolejne protesty i tak zostaną zduszone, a jedyne, co można zrobić, jeśli ktoś się nie zgadza na zastaną rzeczywistość, to emigrować). Na nagraniach, które docierają do nas w tych dniach przez internet nie tylko z Mińska, lecz również z miast i miasteczek w całym kraju – słyszymy znajome nazwy: Grodno, Słonim, Stołpce, Pińsk, Mozyrz, Homel... – widać ludzi, którzy demonstrują z historycznymi biało-czerwono-białymi flagami. Ludzi szczęśliwych, dumnych, pełnych nadziei.

Tak, Białorusini nas zaskoczyli. Zaskoczyli też świat wielkiej polityki. Unia Europejska dopiero ma ustalić konkretne działania. Wygląda na to, że także Putin wciąż zastanawia się, jak reagować na białoruską rewolucję (pamiętamy „bratnią pomoc" dla Czechosłowacji z 1968 r. i nasze dyskusje z lat 1980-81: „Wejdą? Nie wejdą?"). Sam Łukaszenka uparcie powtarza, że nie odejdzie, że bez niego Białoruś jako samodzielne państwo przestanie istnieć. Choć widzieliśmy to już niejeden raz, wciąż zdumiewa to przekonanie dyktatorów, iż są niezastąpieni.

Nikt nie wie, co w następnych dniach stanie się na Białorusi. Wiemy z historii, że czasem realizują się scenariusze najmniej prawdopodobne. Ale wiemy, również z naszej historii, że nie możemy obojętnie patrzeć na wydarzenia za wschodnią granicą. Pamiętamy, jakie znaczenie miały dla nas – również 40 lat temu – wszelkie gesty międzynarodowej solidarności. Dlatego trudno się nie zgodzić z Borusewiczem, że każdy z nas powinien „okazywać solidarność z Białorusinami, jak tylko potrafi".

Są już inicjatywy, które cieszą. Polski rząd zadeklarował, że przeznaczy 50 mln zł na różne programy pomocy dla białoruskiego społeczeństwa obywatelskiego, w tym dla ofiar represji. Coraz więcej zachodnich polityków zabiera głos. Miejmy nadzieję, że nie skończy się na słownych deklaracjach, i że zwłaszcza Unia Europejska wystąpi z inicjatywą, której celem będzie doprowadzenie do tego, by możliwe było zrealizowanie w sposób pokojowy pragnienia większości Białorusinów (bo że to większość, wątpliwości nie ma już chyba nikt).

A gdyby wydarzenia potoczyły się w złym kierunku... Ci z nas, którzy pamiętają czas stanu wojennego w Polsce, pamiętają też zapewne niezwykłe otwarcie państw Europy Zachodniej na przyjmowanie Polaków, którzy wtedy uciekali z PRL. Dlatego trudno się nie podpisać pod apelem Borusewicza o „otwarcie polskich granic dla Białorusinów uciekających przed reżimem Łukaszenki i o fundowanie stypendiów dla młodzieży białoruskiej, która może stracić możliwość kształcenia się w swoim kraju".

Dziś wszyscy powinniśmy być z Białorusinami, jak tylko potrafimy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

W następnym numerze „Tygodnika" – specjalny dodatek „Nagroda Literacka Gdynia"

Zaprezentujemy w nim książki wszystkich nominowanych w tym roku autorów i autorek. Nominowanych **eseistów** przedstawi Piotr Kiżun, **poetów i poetki** zaprezentuje Michał Koza.

O **prozie** opowie Maciej Jakubowiak, a o nominowanych za **przekład** Paulina Małochleb. Oprócz tego w dodatku esej Stefana Chwina o lękach i niepokojach współczesności.

Zapraszamy do lektury oraz na Festiwal (Gdynia, 24-30.08).

TEMAT TYGODNIKA

12 Mam swoje miejsce
ROZMOWA Z MICHAŁEM OLSZCZYKIEM:
Osoby LGBT+ są świetnie wyszkolone w umiejętności nadstawiania drugiego policzka. Ale właśnie nabierają nowej – wyrażania gniewu.

30 Dlaczego miałby kłamać
ANNA GOLUS
W tej nietypowej pielgrzymce – bez dyscypliny, zakazów, nakazów – szedł kto chciał. Hipisi, abstynenci, alkoholicy i narkomani. I ci, którzy szli po małolaty.

40 Rewolucja uliczna i mentalna
WOJCIECH WOJTASIEWICZ Z MIŃSKA
„Nienawidzę jego i jego kłamstw. OMON-owcy to jego bandyci, będą go bronić do upadłego” – mówi starsza Białorusinka. Kolejny dzień protestuje przeciw sfałszowaniu wyborów.

78 Człowiek jako maszyna parowa
BARTOSZ KABAŁA
Wszyscy je liczymy i stale o nich słyszymy: od lekarzy, dietetyków, trenerów. Ale czym właściwie są kalorie?

82 Spis rzeczy do przeżycia
ROZMOWA Z DOROTĄ MASŁOWSKĄ, PISARKĄ:
Nie dowierzam, że robię coś ważnego. I zadręczam się, że powinnam coś sprzedawać, coś wytwarzać. Dlatego zapisałam się na kurs szycia.

94 Ptasiek Polski
ROZMOWA Z JACKIEM KARCZEWSKIM, PRZYRODNIKIEM:
Ptaki wcale się nas nie boją. Zając nie stanie na środku podwórka i nie zacznie śpiewać, a taki szpak i owszem. Bocian nawet zbuduje gniazdo na twoim dachu.

AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP” // JOANNA RUSINEK DLA „TP” // CHINA PHOTOS / GETTY IMAGES // PIOTR KAMIONKA / REPORTER / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // SERGEI GRITS / AP / EAST NEWS

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 **Naród mówi: „Odejdź!”**
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 **Obraz tygodnia**

18-19 **Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 **Gorsza sfera budżetowa**
KRZYSZTOF STORY: *Co trzecia organizacja pozarządowa musiała zeszłej wiosny wstrzymać działanie*

24 **Tyle sołtys może, ile wieś pomoże**
JĘDRZEJ DUTKIEWICZ: *Stu trzydziestu ludzi wystarczy, by zbudować społeczeństwo obywatelskie*

27 **W pułapce lepszości**
JAROSŁAW FLIS: *Dowiedzmy się o sobie czegoś nowego*

■ ■ WIARA

30 **Dlaczego miałby kłamać**
ANNA GOLUS

36 **W imię Boga i demokracji**
ZUZANNA RADZIK: *Odeszli dwaj wielcy przywódcy ruchu na rzecz praw obywatelskich w USA: John Lewis i pastor C.T. Vivian*

39 **Instynkt nieba**
ARTUR SPORNIAK *o książce ks. Grzegorza Strzelczyka „Ćwiczenia ze szczęścia”*

■ ■ ŚWIAT

40 **Rewolucja uliczna i mentalna**
WOJCIECH WOJTASIEWICZ

59 DODATEK SPECJALNY

JEAN-LOUIS ATLAN / SYGMA / GETTY IMAGES

1980 POLSKI ROK

40 lat temu, w lipcu i sierpniu 1980 r., Polską wstrząsnęła fala strajków. Z czasem coraz bardziej masowych, rozlewających się na cały kraj. Z nich narodziła się Solidarność.
Oto opowieść o nich także z perspektywy ludzi, którzy brali udział w tych wydarzeniach.

W dodatku:
- Łukasz Kamiński rysuje zbiorowy portret Solidarności
- Jan Szkudliński opowiada, jak 40 lat temu wyglądało lato w Gdańsku i Trójmieście
- Tomasz Kozłowski portretuje „anatomię rewolucji”: co działo się w różnych miejscowościach w całej Polsce w lipcu i sierpniu 1980 r.

■ FELIETONY ■
29 ANNA DZIEWIT-MELLER **58** WOJCIECH BONOWICZ
92 JAN KLATA **92** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DOROTA MASŁOWSKA
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

44 **Ten przeklęty kraj**
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BEJRUTU: *Na ulice Libanu wraca rewolucja. Protestujący chcą ukarania winnych katastrofy*

48 **Mniejsze zło**
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA: *Czy Afroamerykanie uwierzą, że Joe Biden wyciągnie ich z biedy i zwalczy rasizm?*

51 **Wojna balonowa**
ROMAN HUSARSKI Z SEULU: *Jak ulotki wysyłane balonami rozwścieczyły władze*

■ ■ HISTORIA

54 **Dzieje pewnej porażki**
MAREK RABIJ: *Dwa i pół tysiąca lat temu pod Termopilami*

■ ■ NAUKA

78 **Człowiek jako maszyna parowa**
BARTOSZ KABAŁA

■ ■ KULTURA

82 **Spis rzeczy do przeżycia**
ROZMOWA Z DOROTĄ MASŁOWSKĄ

87 **Ucieczka z zamku wampirów**
JAKUB MAJMUREK: *Mark Fisher, myśliciel z blogosfery*

90 **Biurko na pustyni**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Lecha Majewskiego „Dolina Bogów”*

92 **Inny świat**
LEKTOR *o książce Hanki Grupińskiej „Dalekowysoko. Tybetańczycy bez ziemi”*

■ ■ ZMYSŁY

94 **Ptasiek Polski**
ROZMOWA Z JACKIEM KARCZEWSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Dlaczego to dobrze, że mimo ponownego wzrostu zachorowań na COVID-19 nie mamy dziś już powrotu do twardej kwarantanny znanej z marca czy kwietnia?
– pyta **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Sztuka powszechnie nieznana [Podkast Powszechny]
W średniowiecznych rękopisach i obrazach pojawiały się przedstawienia Matki Boskiej... bijącej diabła batem, pałką lub po prostu pięścią – o historiach, które ilustrują te obrazy, i stereotypach płciowych opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NARÓD MÓWI: „ODEJDŹ!”

Protesty na Białorusi z każdym dniem przybierają na sile. Choć krwawa rozprawa z opozycją jest wciąż możliwa, władzy Łukaszenki raczej to nie ocali.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Demonstracja zwolenników opozycji, Mińsk, 16 sierpnia 2020 r.

Szybko i brutalnie: tak reżim w Mińsku zamierzał rozprawić się ze spodziewanymi protestami po sfałszowanych wyborach. W pierwszych trzech dniach do aresztów trafiło 7 tys. osób, co najmniej dwie zginęły, a kilkaset zostało rannych. Ale gdy zdawało się już, że władze postawią na swoim, w środę 12 sierpnia na ulice wyszły tysiące ubranych na biało kobiet. To pozwoliło nie tylko podtrzymać, ale wręcz wzmocnić ruch protestu. A gniew Białorusinów na reżim wzrósł jeszcze, gdy internet obiegły relacje kilkuset osób, które zwolniono z aresztów: opowiadały o torturach, o przepełnionych celach, o braku nawet wody. Dla społeczeństwa był to szok.

W efekcie protesty ogarnęły cały kraj: od Grodna i Brześcia na zachodzie po Orszę, Mohylew i Homel na wschodzie. W kolejnych dniach dołączyli robotnicy wielkich zakładów, którzy wcześniej byli filarem rządów Alaksandra Łukaszenki. Kulminacja nastąpiła w minioną niedzielę, gdy w Mińsku protestowało ok. 150 tys. ludzi, a w całym kraju kilkaset tysięcy. Nigdy nic podobnego tu nie widziano. Było to kolejne potwierdzenie, że społeczeństwo nie wierzy, iż Łukaszenko wygrał wybory, i że ma dość jego rządów. Tym razem milicja nie interweniowała.

Protesty są wzmacniane przez nowe media, które błyskawicznie informują o tym, co dzieje się nawet w małych miastach czy wioskach. Kluczową rolę odgrywa popularna w kraju sieć społecznościowa Telegram,

a zwłaszcza kanał Nexta Live, mający ponad 2 mln subskrybentów i administrowany przez diasporę białoruską w Warszawie. Choć władze wyłączały internet, Telegram okazał się na to odporny [patrz tekst obok– red.].

Arogancja Łukaszenki, żyjącego jakby w świecie równoległym, pogłębia społeczny gniew. W protestach widzi on ingerencję zewnętrzną, mówi o opłacaniu demonstrantów przez nie wiadomo kogo, straszy zwolnieniami z pracy. Niedzielny wiec poparcia dla władz zebrał ledwie 5-7 tys. osób, po części zwiezionych z całego kraju. Natomiast na poniedziałkowym spotkaniu z robotnikami w mińskiej fabryce MZKT Łukaszenka usłyszał chóralne okrzyki: „Odejdź!". I właśnie w poniedziałek 17 sierpnia strajki wybuchły z nową siłą w niemal wszystkich największych zakładach w Mińsku, Grodnie i innych miastach. Strajk zaczęli też dziennikarze telewizji państwowej i rządowej agencji informacyjnej. Wspólne postulaty są proste: ustąpienie Łukaszenki, uwolnienie więźniów politycznych i ukaranie winnych przemocy.

Słabością tego spontanicznego ruchu protestu jest brak przywództwa. Swiatłana Cichanouska, rywalka Łukaszenki w wyborach, została zmuszona do wyjazdu na Litwę. Mimo zapowiedzi sformowania rady koordynacyjnej opozycji, do minionego poniedziałku taka nie powstała. Na razie brakuje oznak większych pęknięć w elicie władzy. Protesty poparło kilku ambasadorów, dyrektorów zakładów i byłych wyższych urzędników. Nad kilkoma budynkami administracji w regionach zawisły historyczne flagi biało-czerwono-białe, symbol protestów.

Sytuacji bacznie przygląda się Kreml, który jednak na razie działa bardzo ostrożnie. Wolno sądzić, że rosyjska interwencja po stronie Łukaszenki to najmniej pożądany przez Putina scenariusz.

Kluczowe teraz pytanie brzmi, co się wydarzy w najbliższych dniach. Powrót przez reżim do stosowania przemocy jest wciąż możliwy. Ale nawet gdyby do tego doszło, jest mało prawdopodobne, by Łukaszence udało się ocalić władzę. Białorusini nieodwołalnie wypowiedzieli mu posłuszeństwo. ©

Tekst ukończono 17 sierpnia w południe.

NATALIA FEDOSENKO / ITAR-TASS / PAP

Rosja i Białoruś: gruba czerwona linia

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po tygodniu protestów w białoruskich miastach i miasteczkach przeciw sfałszowaniu wyborów prezydenckich, Alaksandr Łukaszenka – najwyraźniej przestraszony skalą demonstracji – zadzwonił w minioną sobotę 15 sierpnia do Władimira Putina. Zadzwonił pokornie, odwołując się do obowiązku obrony wspólnego bezpieczeństwa Państwa Związkowego Rosji i Białorusi, zapisanego w dokumentach z 1999 r., konstytuujących sojusz obu państw. Ten gest odczytano powszechnie jako deklarację pełnej wasalizacji Białorusi wobec Kremla w zamian za gwarancję utrzymania władzy przez Łukaszenkę.

Czy Moskwa skorzysta z tej oferty? Już nazajutrz po białoruskich „wyborach" Władimir Putin pospieszył z gratulacjami (jako drugi, zaraz po przywódcy Chin). Oddzielne gratulacje złożył Łukaszence prawosławny patriarcha Moskwy i Całej Rusi Cyryl (Białoruś jest objęta jurysdykcją Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego). Kreml uznał zatem podrabianą grubymi fałszerstwami legitymację władzy uzurpatora. Teraz trwa ustalanie ceny za to braterskie poparcie. I zapewne będzie ona dla Łukaszenki bardzo wysoka (rosyjscy politycy i kremlowskie media przekonują, że sytuacja na Białorusi to efekt spisku Zachodu, zwłaszcza państw bałtyckich i Polski, który chce obalić legalnie wybranego prezydenta; to śpiewka stara jak świat).

Rosja od pewnego czasu grała na osłabienie Łukaszenki, aby trzymać go w objęciach i przyciskać do szerokiej piersi coraz mocniej. Bez widoków na dalsze stosowanie przez niego dotychczasowych manewrów: raz w stronę Moskwy, raz w stronę Zachodu, a jeszcze innym razem w stronę Chin. Ten i tak wąski margines swobody manewru teraz zawęża się Łukaszence jeszcze bardziej – dotąd wierzgał na widelcu, obecnie został przez patrona przygwożdżony do ściany. Choć może jeszcze łudzi się, że jest w stanie rozgrywać. Tymczasem wcale nie jest powiedziane, że moskiewski patron będzie bronił jego władzy. Bo nie to jest celem Putina. Celem jest utrzymanie Białorusi w orbicie wyłącznych wpływów Rosji. Zatrzymanie Białorusi w uścisku może zostać odtrąbione przez Kreml jako sukces pożądanej realnej integracji (co podpompuje spadający ranking rosyjskiego prezydenta).

Scenariusz zamiany na prezydenckim stolcu w Mińsku zapewne też jest brany pod uwagę przez kremlowskich inżynierów dusz. Ale Putin będzie z tym zwlekał tak długo, jak długo się da. ©

Więcej na blogu autorki:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Nexta Live, czyli wirtualna twarz protestów

REŻIM ŁUKASZENKI mierzy się z przeciwnikami, których nie da się przegnać z kraju ani aresztować, tak jak dotychczasowych oponentów. To kanały informacyjne w komunikatorze Telegram (piątej pod względem popularności takiej aplikacji na świecie, dostępnej na smartfony). Prym wśród tych kanałów wiedzie Nexta (czytaj „Niechta", po białorusku „Ktoś"). O ile na początku roku kanał Nexta Live śledziło „tylko" 300 tys. użytkowników, o tyle od wybuchu protestów jego popularność eksplodowała: pod koniec zeszłego tygodnia Nexta Live miał już ponad 2 mln subskrybentów (ludność Białorusi to 9,5 mln osób).

Nexta Live publikuje codziennie mnóstwo informacji i nagrań filmowych, które otrzymuje od współpracowników w kraju i od spontanicznie angażujących się ludzi. Kanał informuje w czasie rzeczywistym, gdzie aktualnie są protesty. Dzięki niemu do milionów ludzi docierają nagrania pokazujące demonstracje nawet we wsiach na prowincji. Gdy w pierwszych dniach protestów władze blokowały internet, okazało się, że aplikacja Telegram jest odporna na takie działania – dzięki temu Nexta Live stała się dla Białorusinów kluczowym źródłem informacji.

Tymczasem za Nexta stoi raptem grupka ludzi. Kanał założył 22-letni Sciapan Puciła. Nexta powstała niemal pięć lat temu najpierw jako jego kanał na YouTubie. Popularne filmy poruszały tematy zakazane w kraju. Gdy w 2018 r. Puciłą zainteresowała się milicja, musiał uciekać; dziś jest w Polsce, gdzie ma status uchodźcy. W minionym tygodniu władze w Mińsku wydały za nim list gończy.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

To prawdziwa epidemia

I U NAS ROSNĄ W SIŁĘ środowiska „denialistów covidowych”. Uważają oni nakładane przez rząd restrykcje za łamanie praw obywatelskich oraz spisek mediów i Big Pharmy mający na celu zniewolenie społeczeństwa i wzbogacenie się na szczepionce. Sięgają po argumenty typu: skoro rocznie umiera w Polsce 400 tys. osób, po co robić szum wokół 1800 ofiar koronawirusa? Minister zdrowia skrytykował ostatnio jeden z prorządowych tygodników za okładkowy temat „Czy to fałszywa pandemia?”.

Pandemia fałszywa nie jest: koronawirusem zakaziło się prawie 22 mln ludzi, zmarło niemal 780 tys. W Polsce wskaźniki pną się stromo; szczególnie niepokoi liczba hospitalizacji, czyli chorych z ciężkimi objawami. Liczba zgonów nie spada poniżej kilkunastu dziennie, chorych jest już ponad 15 tys., więcej niż kiedykolwiek. Mapa powiatów „czerwonych” i „żółtych” (miała być aktualizowana dwa razy w tygodniu, ale do tej pory się to ministerstwu nie udało) pozornie uspokaja, wyróżniając tylko 18 miejsc. Obserwatorzy zwracają uwagę na luki rozporządzenia (np. nie precyzuje ono, jak powinien się zachować mieszkaniec strefy czerwonej w strefie zielonej, nie zakazuje organizowania imprez przez powiat sąsiedni). Wszyscy z niepokojem oczekują września. Nauczyciele, z którymi rozmawiam, przygotowując tekst do kolejnego numeru, są przerażeni. I pewni, że najdalej w połowie miesiąca trafią na kwarantannę. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Liczą się chwile, gdy coś dajemy

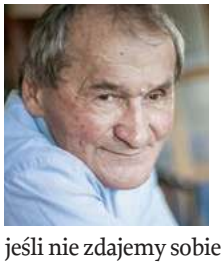

GRAŻYNA MAKARA

CHOĆ JEGO ŻYCIORYS wydaje się arcypolityczny, Henryk Wujec nie był tak naprawdę politykiem. „Liczą się właśnie te wielkie chwile, kiedy coś od siebie bezinteresownie dajemy, obdarowując nie tylko bliźnich, ale i siebie. Nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy, historia przyzna nam rację” – pisał w „Tygodniku”.

Bywało, że znajdował się w sercu politycznych burz – choćby u początków „wojny na górze”, kiedy Lech Wałęsa odwoływał go z funkcji sekretarza Komitetu Obywatelskiego. Nie zajmowała go jednak polityka w rozumieniu frakcyjnych układów czy walki o władzę. Myślał raczej o ludziach, którym trzeba pomóc. I o niesprawiedliwej rzeczywistości, która wymaga zmiany. Jego nazwisko pojawia się w kontekście wielu niezależnych inicjatyw lat 70. i 80.: był członkiem KOR, redaktorem „Robotnika” i współorganizatorem wolnych związków zawodowych, później działaczem Solidarności. W wolnej Polsce m.in. poseł. Zawsze: człowiek uczciwy i dobry. Zmarł 15 sierpnia. ©℗ MO

Więcej: **powszech.net/wujec**

W następnym numerze „Tygodnika” pożegnanie Henryka Wujca – m.in. niepublikowany wywiad Justyny Dąbrowskiej.

KRAJ W SKRÓCIE

PUSTO

Ostatnie składane przed Sejmem sprawozdanie Adama Bodnara z pełnienia funkcji Rzecznika Praw Obywatelskich było gruntownym raportem o stanie państwa w minionym pięcioleciu, o czym jednak odbiorcy – zajęci bojem o podwyżki własnych pensji oraz zapewnianiem bezkarności tym, którzy „w celu przeciwdziałania COVID-19 naruszają obowiązki służbowe lub obowiązujące przepisy” – nie przekonali się na żywo. Wystąpienia odchodzącego rzecznika słuchało 25 posłów.

PEŁNO

Sekretarz stanu USA Mike Pompeo podpisał w Warszawie umowę o zwiększonej obecności militarnej Amerykanów w naszym kraju. Polska zapewni żołnierzom US Army m.in. bezpłatne zakwaterowanie, wyżywienie, a także paliwo; szacunkowy koszt to ok. 500 mln zł rocznie.

POPRAWNIE

Rada Języka Polskiego uznała, że słowa „Murzyn” i „Murzynka” są obarczone bagażem negatywnych konotacji i choć kiedyś funkcjonowały jako neutralne określenia osób czarnoskórych, teraz zmieniły znaczenie i nie powinno się ich używać inaczej niż na prawach historycznego cytatu.

LICZBA TYGODNIA

8,9

O tyle procent zmniejszył się w II kwartale produkt krajowy brutto Polski. Również w I kwartale GUS odnotował spadek PKB o 0,4 proc. – mamy już zatem recesję. Gorzej jest na południu Europy: PKB Hiszpanii spadło o 18,5 proc.

Polska opozycja w płacowej pułapce

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Władze Koalicji Obywatelskiej wywołały gniew wyborców, próbując pod rękę z PiS uchwalić podwyżki płac dla polityków. Do akcji wkroczył osobiście Rafał Trzaskowski.

Moment na podwyżki dla władzy jest fatalny. Akurat GUS podał, że gospodarka skurczyła się w drugim kwartale o ponad 8 proc. Bezrobocie rośnie, a koronawirus naciera. Jarosław Kaczyński ma jednak inną perspektywę. Jest już po wyborach, więc może forsować niewygodne kwestie. Stąd też propozycja znacznych podwyżek dla najważniejszych urzędników w państwie – m.in. prezydenta, premiera, członków rządu i parlamentarzystów. Niektórzy dostaliby dwa razy więcej pieniędzy. Do tego pensję po raz pierwszy otrzymałaby pierwsza dama (18 tys. zł). A państwowe subwencje dla partii politycznych wzrosłyby o połowę, co w przypadku PiS znaczy 35 mln zł, a KO 30 mln zł rocznie.

To całkowite zaprzeczenie etosu finansowej ascezy, którym Kaczyński uwodził wyborców przez lata. Dwa lata temu nakazał obniżkę płac po tym, gdy okazało się, że ministrowie Beaty Szydło wypłacali sobie dziesiątki tysięcy złotych premii. Dziś Kaczyński zręcznie wmanewrował w podwyżki opozycję, która dwa lata temu zrobiła PiS piekło wokół ministerialnych nagród. Tym razem posłowie PO, PSL i Lewicy niemal w komplecie poparli podwyżki. Dopiero po ostrej krytyce ze strony wyborców w mediach społecznościowych, w obliczu buntu we własnych szeregach parlamentarnych, szef PO Borys Budka wycofał się z poparcia dla podwyżek. Nie bez znaczenia był upór Rafała Trzaskowskiego. Choć prezydent stolicy uważa, że politycy powinni zarabiać więcej, to uznał za strategiczny błąd to, że potajemnie negocjowano podwyżki z PiS. Ta historia pokazuje nie tylko brak wyczucia sytuacji nowych władz Platformy. Widać także, że wyborcy opozycji nie są wyznawcami PO i ich poparcie łatwo można stracić.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP”.

Hongkong: więcej represji

VINCENT YU / AP / EAST NEWS

POLICJA ZAPUKAŁA do domu Jimmy'ego Laia, właściciela „Apple Daily", jedynej otwarcie antykomunistycznej gazety w Hongkongu, rankiem 10 sierpnia. Przewieziono go w kajdankach do redakcji, gdzie przeprowadzono rewizję (na zdjęciu obok). Lai, któremu zarzuca się „zmowę z obcymi siłami", po 40 godzinach aresztu został zwolniony za kaucją. W Hongkongu każdy zna historię tego 71-letniego magnata prasowego, który jako chłopiec uciekł z Chin Ludowych i ciężko pracując, dorobił się fortuny. W przeciwieństwie do innych miejscowych bogaczy, posłusznych władzy, Lai nie kryje antykomunistycznych poglądów. Mimo trudności z pozyskaniem reklam dla swych pism dotąd wydawał się nietykalny. Zmieniło się to, gdy w życie weszła drakońska „ustawa o bezpieczeństwie". Pekin może teraz legalnie tłamsić opozycję w mieście.

Tego dnia aresztowano też dwóch synów Laia (zapewne po to, by złamać ojca) i siedmiu działaczy demokratycznych. Wśród nich 23-letnią Agnes Chow, zwaną „boginią demokracji", dziś oskarżoną o „wzniecanie secesji". Natomiast z uniwersytetu usunięto prawnika Benny'ego Taia, który był jedną z twarzy protestów z 2014 r.

Z punktu widzenia Pekinu Lai, Chow i Tai mają, prócz poglądów, dodatkową skazę: głoszą przywiązanie do chrześcijaństwa. Joshua Wong, inny znany działacz, na wieść o zatrzymaniu koleżanki zamieścił na Twitterze cytat z psalmu: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną".

© PIOTR BERNARDYN z Tokio

Historyczna zgoda między Izraelem i ZEA

TO PIERWSZE OD 26 LAT porozumienie pokojowe między Izraelem i krajem arabskim – w minionym tygodniu ogłoszono normalizację relacji między Izraelem i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Intencją tego dealu, dokonanego przy współudziale USA, ma być nawiązanie pełnych dyplomatycznych relacji między oboma krajami.

Dlaczego ogłoszono je teraz? W lipcu premier Beniamin Netanjahu miał dokonać aneksji części Zachodniego Brzegu. Porozumienie z ZEA, jak twierdzi premier, tylko odracza aneksję. Netanjahu uważa też, że udowadnia ono lewicy, iż nie trzeba ustępstw wobec Palestyńczyków, by posuwać do przodu proces pokojowy. Dla niego ten układ to także sukces, tak potrzebny mu po fatalnym zarządzaniu kryzysem epidemicznym.

Zdaniem polityków ZEA ugoda ma pomóc w negocjacjach między Izraelczykami i Palestyńczykami. W interesie obu krajów jest też budowanie przeciwwagi dla Iranu. Umowa pokazuje silną pozycję Izraela i słabą Palestyńczyków: to kolejny deal, podczas którego o ich sprawach mówi się, nie zapraszając ich do rozmów.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

REUNION REGION / EPA / PAP

GWAŁTOWNE FALE, zapowiadane u wybrzeży Mauritiusa, mogą zniweczyć wysiłek tysięcy ludzi, którzy od wielu dni usiłują zatrzymać plamę oleju napędowego wyciekającego z wraku japońskiego masowca „Wakashio". To największa katastrofa ekologiczna w tej części Oceanu Indyjskiego. Na zdjęciu: budowa prowizorycznych barier wypchanych słomą.

©℗ ŻYM

Niemcy: kto po Merkel?

ŁUKASZ GRAJEWSKI
Z LIPSKA

Planowanie to w Niemczech drugi, zaraz po piłce nożnej, sport narodowy. Obojętnie, czy to zlot rodzinny, czy spotkanie zarządu Volkswagena, cel jest ten sam: ujarzmienie przyszłości i uczynienie jej przewidywalną. Nie dziwi zatem, że Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) ma już swojego kandydata na kanclerza, choć wybory do Bundestagu odbędą się dopiero za ponad rok. Politycy SPD chcieliby, aby następcą Angeli Merkel został Olaf Scholz. To polityk, który od dawna zdobywa społeczne uznanie. W tym roku pomaga mu, paradoksalnie, pandemia: Scholz, który w wielkiej koalicji CDU/CSU-SPD jest wicekanclerzem i ministrem finansów, stał się twarzą ogromnych i sprawnie uruchomionych programów antykryzysowych.

Z charakteru Scholz przypomina Merkel. Także on nie grzeszy charyzmą, jest stonowany i otwarty na kompromisy. To ostatnie to styl lubiany w Niemczech, choć ostatnio mocno wyeksploatowany przez samą Merkel. Młodsi wyborcy chcą zmiany, a to szansa dla Zielonych. Ta partia nie musi nawet wiele robić w nadchodzącej kampanii: większość pracy wykonują za nią aktywiści z ruchu Fridays for Future, którzy na demonstracjach krytykują ospałą politykę klimatyczną obecnych koalicjantów.

W sondażach Zieloni od dawna zajmują drugą pozycję, z mniej więcej 20-procentowym poparciem. Możliwe więc, że po 2021 r. po prostu zastąpią SPD w roli młodszego koalicjanta chadecji, której słupki poparcia zbliżają się dziś do 40 proc. Jednak chadecy wciąż stoją przed wyborem nowego szefa i kandydata na kanclerza. Jeśli chcą dalej rządzić, muszą pokazać, że mają ludzi i plan na nowy etap w historii Niemiec. Ten zacznie się zaraz po wyborach, gdy Angela Merkel odejdzie na zapowiedzianą emeryturę. ©

Kłopot z następcą w Gdańsku

ARTUR SPORNIAK

Franciszek przyjął rezygnację abp. Sławoja Leszka Głódzia ze sprawowania urzędu arcybiskupa gdańskiego. Nastąpiło to 13 sierpnia, w dniu 75. urodzin Głódzia – a więc po osiągnięciu przez niego wieku emerytalnego. Papież nie mianował jednak jego następcy, tylko czasowego administratora. Został nim bp Jacek Jezierski, ordynariusz ełcki – jak się wydaje, z czysto praktycznych powodów: diecezja ełcka leży najbliżej Gdańska, jednocześnie nie należąc do gdańskiej metropolii. Administrator od razu zapowiedział, że nie zamierza przeprowadzać „zasadniczych reform".

A reformy są potrzebne. Arcybiskup Głódź pozostawił po sobie diecezję silnie podzieloną.

Niektórzy księża oskarżyli go o mobbing i handel urzędami kościelnymi. Inni podpisywali listy w obronie ordynariusza. W mediach pojawiły się zarzuty o brak reakcji na doniesienia o nadużyciach seksualnych wobec małoletnich. Były kapelan gdańskiej Solidarności ks. Henryk Jankowski został pośmiertnie oskarżony o wieloletnie wykorzystywanie dzieci. Opisywane było życie ponad stan arcybiskupa (luksusowa posiadłość w rodzinnej miejscowości, hodowla danieli). Wiernych bulwersuje także informacja o „generalskiej" emeryturze, którą abp Głódź będzie otrzymywał jako były ordynariusz polowy.

Fakt, że papież nie przedłużył ani o jeden dzień urzędowania abp. Głódziowi, potwierdza, że był świadomy tych problemów. Informacje o nieprawidłowościach od dawna docierały do Franciszka różnymi drogami. Można powiedzieć, że papież poczekał, aż „sprawa abp. Głodzia" sama się rozwiąże. Czy jednak problemy archidiecezji gdańskiej także „się rozwiążą" bez szczegółowego rozliczenia byłego ordynariusza?

Kłopot ze znalezieniem następcy pokazuje, że nie będzie to łatwe. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZERAŻENIE
Za przedwczesne złożenie gratulacji Aleksandrowi Łukaszence z okazji wygranej w wyborach przeprosił metropolita Paweł, egzarcha białoruski Patriarchatu Moskiewskiego. Hierarchę „oburzyły, przeraziły i zasmuciły filmy przedstawiające zatrzymania ludzi" – powiedział jego rzecznik. Katoliccy biskupi Białorusi wydali apel, w którym potępili „każdy akt przemocy popełniony przez brata przeciwko bratu". Wezwali do „zakończenia niepotrzebnej agresji i rozpoczęcia dialogu".

NAKARMIENIE
Romów wysiedlanych z nielegalnego obozu przez władze Rzymu odwiedził 12 sierpnia kard. Konrad Krajewski. Z 250 mieszkańców zostało tu już tylko 12 osób, głównie starszych i chorych; jałmużnik papieski przywiózł im kolację. Zajmowany przez Romów od 1991 r. teren ma być zrewitalizowany, władze chcą tam wybudować m.in. skatepark. Wysiedlonym przygotowują lokale zastępcze.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

ODNOWA
Po 643 dni zamknięcia dominikanie udostępnili dla wiernych bazylikę św. Mikołaja w Gdańsku. Kościołowi groziła katastrofa budowlana: w lecie 2018 r. na sklepieniu południowej nawy pojawiły się pęknięcia, a dwa filary zaczęły się zapadać. Poniesione do tej pory koszty remontu sięgają 2,5 mln zł. Na zdjęciu minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński ogląda odnowione wnętrze.

O. MICHAŁ LEGAN, KLASZTOR NA JASNEJ GÓRZE:

Pielgrzymki A.D. 2020

ARCHIWUM PRYWATNE

ARTUR SPORNIAK: Jak pandemia wpłynęła na ruch pielgrzymkowy na Jasnej Górze?

O. MICHAŁ LEGAN: O ile nie zmieniła się liczba pieszych pielgrzymek, o tyle drastycznie – o 90 proc. – spadła liczba pielgrzymów. Np. z Warszawy przychodziło w ostatnich latach ok. 10 tys. ludzi, a w tym roku przyszło 50 osób w grupie zorganizowanej i ok. tysiąca prywatnie. Z Rybnika przychodziło ok. tysiąca pielgrzymów, a w tym roku przyszło pięciu księży. Co do innych form pielgrzymowania: nie ma w ogóle pielgrzymek autokarowych, brak też turystów zagranicznych. Natomiast obserwujemy spory ruch pielgrzymów przyjeżdżających prywatnymi samochodami.

Czy w sanktuarium funkcjonuje reżim sanitarny?

Realizujemy wskazania sanepidu. Jest kilkanaście punktów do dezynfekcji rąk, zwłaszcza przy każdym wejściu. Funkcjonuje także punkt sanitarny. Rozwieszone są plakaty z odpowiednimi informacjami. Puszczamy komunikaty wideo, nadajemy je też przez mikrofon przed każdą liturgią. Straż sanktuarium napomina pielgrzymów, żeby nosili maseczki w tych miejscach, w których nie da się zachować dystansu społecznego. Przenieśliśmy większość mszy pielgrzymkowych na plac przed szczytem. Poza tym co noc całe sanktuarium jest dezynfekowane. Działa m.in. duża maszyna ozonującą powietrze. Nie ma ograniczeń liczbowych, ale zauważamy, że sami pielgrzymi starają się nie robić tłoku.

Jak wygląda spowiedź?

Spowiadamy w tzw. Wieczerniku, czyli na dziedzińcu tworzącym otwartą przestrzeń. We wszystkich konfesjonałach zamontowana jest szyba pleksi oraz działa mechaniczna wentylacja. Są one co noc dezynfekowane.

Czy w klasztorze także zachowujecie formy bezpieczeństwa?

Zlikwidowaliśmy kropielnice przy wejściu do chóru zakonnego i do refektarza. W wielu miejscach funkcjonują podajniki z płynami do dezynfekcji. Kuchnię zamknięto dla osób postronnych. Mamy także procedury na wypadek zakażenia wewnątrz klasztoru i zamknięcia na czas kwarantanny. Obsługą sanktuarium zajmą się wówczas ojcowie z klasztoru św. Barbary w Częstochowie oraz z podczęstochowskiego nowicjatu.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

O. MICHAŁ LEGAN, *paulin, jest od maja tego roku rzecznikiem prasowym Jasnej Góry. Skończył filmoznawstwo.*

KULTURA W SKRÓCIE

DO HOLLYWOOD
„Śniegu już nigdy nie będzie" w reż. Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta jest polskim kandydatem do Oscara w kategorii najlepszy pełnometrażowy film międzynarodowy. Werdykt ogłosiła Komisja Oscarowa pod przewodnictwem kompozytora Jana A.P. Kaczmarka.

DO PRAGI
Warszawskie studio Ovid Works wydało inspirowaną „Przemianą" Franza Kafki grę „Metamorphosis". Jej uczestnik wciela się w rolę robaka, na którego czają się niebezpieczeństwa ze strony krwiożerczego chrząszcza, bezlitosnych domowych zwierząt i olbrzymich ludzi. Na platformie Steam pierwsze oceny graczy są pozytywne.

DO GWIAZD
Tymczasem krakowski zespół Starward Industries pracuje nad grą w ramach gatunku atompunk bazującą na twórczości Stanisława Lema. Będzie ona opowiadać o losach astronautów, którzy podczas misji badawczej natrafiają na nieoczekiwane zagrożenie.

DO PRZESZŁOŚCI
Z członkostwa w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich rezygnują kolejni twórcy, m.in. Wojciech Bonowicz, Hanna Krall, Olga Tokarczuk i Adam Zagajewski. Powodem są domniemane naciski ze strony SPP na współpracę z powołanym przez ministra kultury Piotra Glińskiego Instytutem Literatury.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ, autor tekstu o Termopilach (s. 54), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 19 sierpnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

WOJCIECH PLEWIŃSKI / FORUM

Czarny Anioł, choć białoskrzydły

„KRYTYCY TWIERDZĄ, że za dużo było udziwnionych tekstów, a za mało szlagierów w dobrym tego słowa znaczeniu" – czyta lektor Polskiej Kroniki Filmowej z 1963 r. Na ekranie migawki z festiwalu w Opolu. Po chwili lektor anonsuje najlepszą piosenkarkę – Ewę Demarczyk. 22-letnia dziewczyna w czarnej, źle skrojonej sukience nerwowo zaciska pięści. Słowa płyną z jej ust kaskadą sylab, precyzyjnie wyartykułowanych głosem o charakterystycznej, zapadającej w pamięć barwie. Śpiewa „Czarne anioły".

To dzięki niej pierwszy festiwal przeszedł do legendy. A niewiele brakowało, by do występu nie doszło: wokalistka chciała pakować manatki, bo nie dano jej czasu na próby. Mateusz Święcicki, współorganizator Opola, kładł się ponoć na torach, żeby ją zatrzymać. Owszem, mężczyznom zdarzały się wówczas afektowane gesty. W historii polskiej piosenki nie było jednak nikogo, kto zasłużyłby na nie bardziej niż Ewa Demarczyk.

Nie była bezwolnym narzędziem w rękach kompozytorów i aranżerów. Konsekwentnie tworzyła teatr własny i osobny – jednej śpiewającej aktorki. Kiedy straciła tę możliwość, odsunęła się od ludzi – rozgoryczona, ale też w pełni świadoma, kiedy zejść ze sceny. Tuwim, Leśmian i Mandelsztam w kilku wierszach przemawiają już tylko jej głosem. Tylko Demarczyk czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi, kiedy nadchodzi rocznica śmierci Baczyńskiego.

Zostawiła po sobie skarb: klucz do sekretu poezji. Obyśmy go nigdy nie zgubili.

© DOROTA KOZIŃSKA

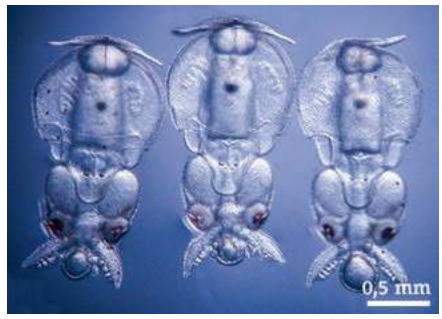

K. CRAWFORD ET AL., „CURRENT BIOLOGY"

Co się kryje pod plamkami

TO NIE TYLKO PRZYSMAK kuchni śródziemnomorskiej – kałamarnice (kalmary) są także grupą zwierząt bardzo zasłużoną dla nauki. Mają stosunkowo duże mózgi, w dodatku zbudowane z komórek nerwowych o niespotykanych u innych istot rozmiarach. Wiele przełomowych ustaleń dotyczących transmisji sygnału w neuronach i pomiędzy nimi zostało poczynionych właśnie dzięki badaniom na kałamarnicach.

Właśnie się okazało, że kałamarnice są także podatne na precyzyjne manipulacje genetyczne. Karen Crawford z St. Mary's College of Maryland i współpracownicy opisali w „Current Biology" wykorzystanie techniki CRISPR-Cas9 do wycięcia z embrionu pewnego gatunku kałamarnicy genu odpowiedzialnego za produkcję tryptofanu – związku, z którego powstają kolorowe plamki na ciałach tych zwierząt. Ustalając precyzyjnie czas genetycznej manipulacji po zapłodnieniu komórki jajowej, badacze byli w stanie uzyskać embriony w różnym stopniu pozbawione plamek. Wkrótce ta sama metoda ma zostać wykorzystana do modyfikacji neuronów – bo przecież to układ nerwowy kałamarnic od dawna nas najbardziej interesuje.

©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

MAM SWOJE MIEJSCE

MICHAŁ OLESZCZYK:

Osoby LGBT+ są świetnie wyszkolone w umiejętności nadstawiania drugiego policzka. Ale właśnie nabierają nowej – wyrażania gniewu.

ZDJĘCIA AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP”

MICHAŁ OKOŃSKI: I jak się teraz czujesz?

MICHAŁ OLESZCZYK: Dziękuję, że pytasz, bo mało kto to zrobił. Raczej dobrze. Chociaż się martwię, i to niekoniecznie o siebie. Martwię się o naszą wspólnotę.

Naszą?

Wspólnotę nas, Polaków.

Przecież tu już nie ma żadnej wspólnoty, Michał. Jest wojna kulturowa.

A ja mam nadzieję, że ciągle jednak jest. Że są wspólne kody i tradycja, silnie oddziałująca na wszystkie strony sporu. Samo to, że jesteśmy w tak morderczym zwarciu, wydaje się arcypolskie.

Zapytałem o Twoje samopoczucie w związku z tekstem, który opublikowałeś najpierw na Facebooku, a później w Onecie. „Jesteśmy jako LGBT+ siłaczkami i siłaczami, bo od najwcześniejszych lat szkolimy się w wytrzymałości na szczególny rodzaj bólu" – napisałeś.

Miałem nadzieję, że ta moja opowieść przyniesie komuś otuchę. Na najprostszym poziomie: że ktoś usłyszy „nie jesteś sam". Albo „nie jesteś sama".

Nie czujesz ulgi, że coś z siebie zrzuciłeś?

To nie był *coming out*, bo zdarzało mi się już mówić o mojej orientacji. Ucieszyły mnie głosy wsparcia, zwłaszcza że niektóre pochodziły ze środowisk, po których mogłem się spodziewać raczej krytyki.

Więc czym się tak martwisz?

Przyjrzyj się naszym zachowaniom. Codziennie rano chwytamy za smartfon i strzelamy sobie w żyłę wiadomościami, które mają niepokoić i gniewać. W efekcie nasz poziom podenerwowania i niecierpliwości wciąż narasta. Co gorsza, odbywa się to w bardzo ciasnych bańkach.

Wciąż nie potrafię dostrzec, co łączy tych, którzy jeżdżą furgonetką z nienawistnymi hasłami na temat LGBT+, z tymi, którzy niszczą tę furgonetkę.

Problemem naszego czasu jest to, że każdy skupia się wyłącznie na własnym bólu. Masz tu zresztą kolejny zwornik wspólnoty: Polacy to bardzo niewypłakany naród. Niewypłakany po wojnie, po transformacji, po pańszczyźnie – długo by wyliczać. Niewypłakane są całe klasy społeczne, nie tylko mniejszości.

No to niech się wypłaczą. Niech wyrażą swój ból, żal i gniew – zwłaszcza słuszny. O wspólnocie porozmawiamy kiedy indziej.

Gniew to paradoksalne uczucie. Mówimy o emocji, o akcie, ale też o jednym z grzechów głównych – w dodatku chyba jedynym, o którym wiemy, że Jezus też go popełnił, wywracając stoły kupców w świątyni.

Zawsze mnie to zastanawiało: dlaczego słuszny gniew miałby być grzeszny?

Bo choć pozwala przeciwstawić się niesprawiedliwości, ma niebywałą właściwość zamykania oczu na innych – głównie na tych, na których się gniewamy. Zaślepia. Byłoby fantastycznie, gdyby energię gniewu dało się użyć wyłącznie do naprawiania krzywd, i chciałbym, żeby obecna erupcja gniewu osób LGBT+ też była źródłem zmiany na lepsze. Wielu mistrzów życia duchowego, nie tylko Jezus, potrafiło się posłużyć tym narzędziem.

A Ty sam? Zadeklarowałeś się jako „homoseksualny Polak i chrześcijanin, który nie wyjedzie z tego kraju, bo za mocno kocha jego historię, kulturę i tradycję, by pozwolić na ich lżenie przez politycznych żołdaków, dla których PRL-owski feudalizm umysłowy jest cenniejszy od idei wolności i społeczeństwa obywatelskiego". To gniewne słowa.

Wiesz, co sprowokowało mnie do ich napisania? Jechałem pendolino z Warszawy do Gdańska. Siedziałem wciśnięty w kąt blisko dość głośnej grupki współpasażerów, którzy pili piwo i nie założyli maseczek. Miałem z początku pokusę uciszenia ich, ale zdusiłem ją w sobie. Pomyślałem, że czas jest ciężki i że należą im się wakacje. W sprawie maseczek upomniał ich konduktor, jakoś ta podróż minęła, ale kiedy już wysiadałem, usłyszałem końcówkę ich rozmowy. Padło w niej zdanie: „LGBT, LGBT... Ja zawsze mówię: niech to zna swoje miejsce i wszystko będzie OK". Jedno małe słowo „to" przelało zbierającą się od lat czarę. Poczułem, że chcę wreszcie powiedzieć, że LGBT+ to nie jakieś „to", tylko sąsiad z przedziału, który pomógł wam wsadzić walizkę na półkę i myślał o was sympatycznie, choć wy się nie zachowywaliście sympatycznie. ↦

↦ Ale jeśli w moim tekście jest gniew, to nie na nich. Raczej na polityków, którzy w ostatnich miesiącach wywołali tyle złych emocji.

Miałem o to pytać: czy te emocje zawsze były, czy są efektem działalności polityków i dziennikarzy?

Rok temu nie wieszano tęczowych flag na pomnikach. Nasz język zradykalizował się po ostatnich kampaniach wyborczych. Najbardziej rażącym przykładem były owe miejscowości „wolne od LGBT". We mnie sama ta fraza budzi grozę.

Wiesz, że są tacy, w których grozę budzi tęcza?

Wiem. I potrafię to sobie wytłumaczyć. Od lat media z premedytacją dokonują zawężenia reprezentacji osób LGBT+ do jednego obrazka.

Niech zgadnę: półnagi mężczyzna obejmujący innego półnagiego mężczyznę w tanecznych pląsach na jakiejś paradzie.

W samym tym obrazie nie ma nic złego. Wyobraź sobie jednak materiał o paradzie równości, w którym oprócz niego mamy komentarz z offu, że ci najbardziej swobodni uczestnicy marszu to bynajmniej nie wszyscy, bo nasz reporter spotkał Jana i Rafała – imiona wymyślam – którzy są ze sobą od 30 lat i mówią, jak bardzo jest dla nich ważne, że raz w roku mogą w bezpieczny sposób przejść po swoim mieście. A potem jest przebitka i Rafał mówi: „Ogromnie się cieszę, że Janek jest ze mną, bardzo go kocham".

Wydawca serwisu informacyjnego powie, że to kiczowate.

Ale prawdziwe! Przecież społeczność LGBT+ ma różne kolory, właśnie jak tęcza. Byłem na nowojorskiej Gay Pride i widziałem pokojową koegzystencję roztańczonych drag queens w brokacie z mundurowymi LGBT+, idącymi z partnerami i partnerkami za rękę.

Myślę, że w naszej kulturze, która z jednej strony ma silny pierwiastek katolicki, a z drugiej zawsze miała problem z erotyką – w kanonie nie mamy wybitnych dzieł skupionych na tym temacie – parady równości mogą być przedmiotem mylnego odczytania. Ich instytucja przyszła z USA, gdzie – zwłaszcza przez wpływy latynoamerykańskie – kultura karnawału stała się bardziej cielesna, dionizyjska, pozwalająca zrzucić na moment wszelkie ograniczenia. To nie jest coś, co byśmy mieli nad Wisłą przyswojone.

W kulturze ludowej, na weselach, tradycyjne zabawy i przyśpiewki bywają bardzo ogniste.

Masz rację, rubaszność bywa dozwolona. Ale radość jednostki z bycia żywym, manifestowana częściową choćby nagością – już nie bardzo. I myślę, że to dlatego formowane przez zmanipulowany medialny przekaz myślenie wielu Polaków o LGBT+ jest przesycone lękiem i poczuciem obcości. Kiedy takie osoby zobaczyły tęczową flagę na figurze Chrystusa, kulturowo kojarzonego z czystością i wstrzemięźliwością, faktycznie mogły poczuć się zagrożone. Dobrze byłoby zrozumieć ten lęk i nazwać jego źródła, jeśli chce się walczyć o jego wyrugowanie.

Trochę mnie niepokoi, że tak potrafisz empatyzować z ludźmi, którym ani w głowie empatyzować z Tobą.

W osobowościowym teście Gallupa empatia zajęła u mnie pierwsze miejsce, wyprzedzając intelekt. Na dobre i złe: bywa, że potrzeba rozumienia drugiej strony alienuje mnie od osób z mojego środowiska. Ale jako LGBT+ musimy myśleć strategicznie. Dzięki wysiłkowi aktywistów dzielniejszych ode mnie (bo ja prawie do czterdziestki żyłem w relatywnym ukryciu) już udało się zdziałać wiele – przypomnę, że w ostatnich latach wskaźnik akceptacji dla par jednopłciowych rósł, nie malał. Ale teraz stoimy przed wyborem: zamknąć oczy na przeciwnika czy ujrzeć go w całej złożoności? Jak mówiłem: obawiam się, że wielu z tych, których oburzyła tęczowa flaga na figurze Chrystusa, zobaczyło w niej symbol erotycznego ekscesu – choć jestem przekonany, że ci, którzy ją wieszali, wcale nie to chcieli powiedzieć.

Mnie się wydaje, że wspólnota wierzących Polaków nie poczuła się zagrożona – tak jak nie poczuła się zagrożona wielkim szalikiem kibiców Falubazu na figurze Chrystusa w Świebodzinie. Mamy do czynienia raczej z ofensywą walczącego o wpływy w obozie prawicy ministra, nomen omen, sprawiedliwości.

Płomyk pod garnkiem jest regulowany, niewątpliwie. Ale mnie najbardziej irytuje to, jak moje państwo nie rozpoznaje rzeczywistości: że sfera jego usług publicznych czy prawodawstwa nie obejmuje sporej grupy Polek i Polaków. Przecież związki osób LGBT+ to nie jest wydumany problem. My już żyjemy w związkach. To, jak musimy się nagimnastykować, żeby prawnie zagwarantować sobie coś, co dla każdego związku jest elementarne, czasami staje się wręcz torturą – zadawaną właśnie przez państwo.

Jakiej prawniczej dykty wymaga od nas np. ulepienie czegoś na kształt wspólnoty majątkowej? Znam pary, które decydują się na rejestrowanie spółki cywilnej. Znam pary, które wyjeżdżają za granicę, by tam wziąć ślub – i często nie wracają, co w kontekście narzekań rządzących na drenaż polskich talentów daje do myślenia. A problem dziedziczenia? Tu nie wystarczy spisać testament, trzeba jeszcze wymóc na biologicznej rodzinie rezygnację z prawa do spadku. A problem opieki nad dziećmi? Władza i jej media przedstawiają go jak bajkę o żelaznym wilku; straszą tym, co czeka nas, jeśli nie obronimy okopów świętej Trójcy. A to już tu jest. Są rodziny jednopłciowe, wychowujące dziecko lub dzieci jednego z partnerów. Z badań wynika, że dzieci z takich związków nie noszą żadnych obciążeń czy traum.

Wiesz, jaki jest największy paradoks tej sytuacji? Że osoby LGBT+ nie walczą o wolność od zobowiązań. Przeciwnie: chodzi o ich prawne usankcjonowanie.

W swoim wyznaniu pisałeś także o cierpieniu związanym z powściąganiem własnych impulsów: bliskości, czułości, miłości, a biorącym się z toksycznego lęku, że „ludzie zobaczą". O bólu wymuszonej niewidzialności; wymuszonego ignorowania siebie samego. Albo o bólu ciągłego wymijania pytania: „To kiedy ślub?", zadawanego przez dawno niewidzianą ciotkę lub wujka.

Jeśli miarą chrześcijańskiego podejścia do życia jest umiejętność nadstawiania drugiego policzka, to osoby LGBT+ są świetnie wyszkolone w tej umiejętności.

Nie musisz mówić o swoim stosunku do religii.

Ale mogę. Temperatura mojej wiary była różna na różnych etapach, ale nigdy nie miałem wątpliwości, że filozoficznie jestem chrześcijaninem. Że wszystkie te kontrintuicyjne zasady, jak właśnie nad-

stawianie drugiego policzka, modlitwa za nieprzyjaciół, powiedzenie o belce i oku, są najlepszym przewodnikiem po życiu.

Ale tym dobitniej muszę powiedzieć, że winy polskiego Kościoła w związku z dzisiejszym kryzysem są ogromne. Jego hierarchowie nawet nie próbują rozmawiać z dużą grupą wiernych. Nie wypowiadam się na temat zmiany doktryny – wiem, że Katechizm mówi o „obiektywnym nieuporządkowaniu moralnym". Ale wiem też, że mówi o traktowaniu homoseksualistów „z szacunkiem i delikatnością". No i co? Totalny *fail*. Brak duszpasterstw, brak odniesień w kazaniach, poza potępianiem i straszeniem.

Nigdy nie zapomnę wizyt w brooklyńskim kościele na Bay Ridge – tego, jak wspaniale się czułem, kiedy ksiądz witał swoich homoseksualnych wiernych, mówiąc, jak bardzo cieszy się z ich obecności na nabożeństwie. Wyobrażasz to sobie w Polsce? Tutaj w kościołach mamy być niewidzialni, ewentualnie mamy być odważnikiem stawianym na jakiejś politycznej wadze. A najczęściej i tak jesteśmy „ideologią".

Niesamowita jest kariera tego pojęcia. Niesamowita i czysto polska: jak wpisać w wyszukiwarkę „LGBT ideology", pojawiają się tylko informacje znad Wisły.

Rozumiem, że ludzie boją się zmian. Usłyszałem niedawno zdanie, które dało mi do myślenia – że w szkołach nie powinno się już uczyć żadnych twardych umiejętności, bo wszystko, co uczniowie będą w stanie teraz przyswoić, za 10 lat okaże się nieaktualne. I że należy w związku z tym nauczać przede wszystkim psychologii zmiany.

Ja jestem rocznik 1982, czyli do podstawówki poszedłem w 1989 r. Była to niewielka szkoła w małym mieście na Górnym Śląsku. Świat, w którym nie sposób było zadać sobie pytania o własną seksualność, bo nie było do tego języka. Nie było internetu, z wiedzą na wyciągnięcie ręki. Jak teraz wspominam swoją pierwszą spowiedź, z całą tą manufakturą strachu, jaką była poprzedzająca ją katecheza, myślę z przerażeniem i współczuciem o straszonym piekłem dziecku. To był czas paraliżującego lęku.

Ja jestem rocznik 1971, chyba wiem, o czym mówisz. A starsi od nas mieli pewnie jeszcze gorzej.

Spowiadałem się kiedyś w jamajskim kościele na Brooklynie. Pamiętam stres, który zwyczajowo towarzyszył mi w tym akcie, i pamiętam, jak ksiądz powiedział: „*Wow, it was a great confession!*". Wiesz, co to było za uczucie, uświadomić sobie, że nie o samych grzechach mówimy i że ten po drugiej stronie zobaczył we mnie człowieka?

Polskie państwo nie widzi, że my już żyjemy w związkach. Wiesz, jakiej prawniczej dykty wymaga np. ulepienie czegoś na kształt wspólnoty majątkowej? Tu nie chodzi o wolność od zobowiązań, ale o ich **prawne usankcjonowanie.**

Zważywszy na to, jak wielką władzę ma w Polsce Kościół, ma też wielkie pole do działania. Może naprawdę włączać osoby LGBT+ w swoje życie. Ich grzechy nie wykluczają przecież ze wspólnoty – jak zresztą jest z innymi grzesznikami, o ile się orientuję. Najpierw jednak należy zrezygnować z opowieści o żelaznym wilku. I dopowiedzieć, że żyjemy w państwie świeckim, więc osoby nienależące do Kościoła nie powinny żyć w systemie układanym pod konkretną konfesję.

O czym dokładnie traktuje ta opowieść o żelaznym wilku? Adam Bodnar mówił mi, że problemem jest łączenie homoseksualizmu z pedofilią i jeszcze z edukacją seksualną: że jeśli ktoś się lęka osób homoseksualnych, to dlatego, że uwierzył w brednie o tym, że ktoś taki może skrzywdzić jego dziecko.

Tu nie mam nic do dodania, może poza przypomnieniem, że na furgonetce, którą zaatakowała Margot, znajdowały się właśnie hasła o rzekomych związkach między homoseksualizmem a pedofilią.

Wiesz, słucham tych słów płynących z megafonu furgonetki i mam przed oczami wielu moich przyjaciół LGBT+, którzy są nauczycielami, lekarzami, ratownikami. Boże, oni tak ciężko pracują, służąc także dzieciom! Przypinanie im łatki pedofili to niewiarygodny skandal, zwłaszcza jeśli odbywa się w obrębie instytucji, która sama ma problem z rozliczeniem przestępczych zachowań seksualnych w stosunku do dzieci. Jestem zwolennikiem praworządności i nie podoba mi się niszczenie cudzego mienia, ale mogę zrozumieć nieposłuszeństwo obywatelskie, które doprowadziło Margot do aresztu.

Ja jestem zwolennikiem praworządności i uważam, że ta furgonetka powinna była zostać zatrzymana z paragrafów o mowie nienawiści.

To nas odnosi do innego wątku: prawo i styl jego przestrzegania. Szczepan Twardoch słusznie napisał, że trzeba mówić o ramieniu władzy, a nie o jej mieczu – czyli nie należy mieć pretensji do policji, tylko do tych, którzy ją wysłali i którzy *de facto* dyrygują teatrem ulicznych represji.

Ustaliliśmy, że władza gra tym problemem instrumentalnie, ale, jak rozumiem, ma się do czego odwołać. Czytałem kiedyś esej Tadeusza Mazowieckiego o antysemityzmie ludzi łagodnych i dobrych – i myślę o homofobii ludzi łagodnych i dobrych.

To może ty teraz powiedz, skąd się ona bierze.

Mówiłeś o strachu przed zmianą. Dołożę strach przed innością. I może jeszcze przed samym sobą – przed przyjęciem w sobie pierwiastka kobiecego, jeśli urodziłem się mężczyzną. Każdy z nas go w sobie nosi – tak jak kobiety noszą w sobie pierwiastek męski.

Tak, homofobia jest, koniec końców, strategią obronną przed spotkaniem z sobą samym. Nie w znaczeniu zwulgaryzowanym: „masz takie skłonności, tylko boisz się przyznać". Chodzi o coś głębszego, bardziej egzystencjalnego. Jestem czytelnikiem Levinasa, więc powiem, że chodzi o spotkanie z twarzą innego. I że dzisiaj spotykają się głównie symbole innego – np. krzyż z tęczą – a nie twarze. Każdy lęk najłatwiej przełamuje się przecież w spotkaniu jeden na jeden.

Skądinąd: wiele osób zmieniło sobie teraz nakładkę na Facebooku na tęczową, odhaczając obowiązek, oznaczając się „właściwym totemem". Ilu z nich zadzwoniło do znajomej osoby LGBT+ ze słowami ↦

↦ wsparcia i solidarności? To chyba jest moment na takie właśnie gesty.

Zawstydza mnie to, co mówisz.
Nie mam takiej intencji.

A to spotkanie jeden na jeden: ono ma warunki brzegowe?
Wypracujmy je wspólnie. Powiedzmy, co nas najbardziej boli, każdą ze stron. A jeśli nie uda się znaleźć słów pojednania, rozstańmy się, nie bluzgając na siebie.

Dlatego właśnie zdecydowałem się opowiedzieć o swoim bólu. Osoby LGBT+ są w bólu wyćwiczone i znają miliony małych ukłuć, a oddanie sprawiedliwości bólowi jest istotą człowieczeństwa. Często myślę o moim dziadku Leonie, mechaniku samochodowym ze Śląska, który srogo się nacierpiał w życiu. I przypominają mi się słowa niedawno zmarłego amerykańskiego pisarza Pete'e Hamilla. Opowiadał o swoim ojcu, który ciężko pracował, żeby utrzymać rodzinę: wspominał, że nocami słyszał, jak po powrocie do domu tamten irlandzki imigrant bez jednej nogi płakał w łóżku. „*You have to honor that pain*", powiedział Hamill; „Musisz uhonorować ten ból". Otóż cokolwiek się wydarzy dalej, nasz ból, ból osób LGBT+ trzeba uhonorować – a dzięki temu także w dużej mierze uśmierzyć. Państwo ma narzędzia do włączenia nas we wspólnotę na równych prawach. Wiele krajów już to zrobiło.

Jak widzę szyderstwa wiceministra Jakiego czy europosłanki Mazurek, to nie mam wielkich nadziei.
Czytałem twoją rozmowę z Robertem Krasowskim: on dobrze pokazywał nieuhonorowany ból i dzisiejszy odwet na elitach tych, którzy go przez lata przeżywali. Problem w tym, że odwet przybiera formy spotworniałe. A państwo nie reaguje, albo wręcz go podsyca.

No właśnie: nie o małych ukłuciach mówimy – o tym, że wujek Cię rani pytaniem, kiedy się ożenisz – ale o przemocy werbalnej i fizycznej, która spotyka osoby LGBT+.
Dodajmy, że ta przemoc (*vide* Białystok lub bomba w plecaku w Lublinie) nie bywała ścigana równie spektakularnie, jak ściga się ludzi uzbrojonych jedynie w kolorową flagę.

Ale jeszcze słowo o ukłuciach. Jedną z egzystencjalnych strategii, które osoby

MICHAŁ OLESZCZYK (ur. 1982) jest konsultantem scenariuszowym, filmoznawcą i krytykiem, wykładowcą Wydziału „Artes Liberales" UW i Warszawskiej Szkoły Filmowej. Autor podkastu „SpoilerMaster"; przed laty prowadził na stronie „TP" blog „Ostatni fotel po prawej stronie". W latach 2013-16 dyrektor artystyczny Festiwalu Filmowego w Gdyni.

LGBT+ przyjmują, żeby nadrobić deficyt właściwej samooceny, jest albo pracoholizm, albo nadmierne wręcz nakierowanie na służbę innym. Używając strasznych słów: chodzi o to, żeby „usprawiedliwić swoje istnienie". Wielu z nas biega w kółko, coraz szybciej, niezwykle ofiarnie i z małą delikatnością w stosunku do siebie, po to, żeby spłacić wyimaginowany dług wobec społeczeństwa.

Nawet jeśli ono wyklucza?
Tak działa moralna perwersja wykluczenia. Ale ja już wiem, że to nie jest tak, że „zasłużyłem sobie" na miejsce przy stole, choćby pracą dydaktyczną. Ja na to miejsce zasługiwałem od samego początku, przez sam fakt bycia człowiekiem.

Może jest tak, że to są problemy starszego pokolenia. Wspomniałeś w swoim wpisie o młodszym o 10 lat Barcie Staszewskim – autorze m.in. projektu fotograficznego w miastach, które ogłosiły się „strefami wolnymi od LGBT". Napisałeś, że ma więcej odwagi i samoświadomości: że gdy ty wybierałeś złudny komfort głowy w piasku, on mówił głośno i oddychał pełną piersią. Może jest tak, jak śpiewał Dylan: czasy nadchodzą nowe.

Czasy są zupełnie nowe, widzę to też po moich studentach. Zazdroszczę młodszym, że mają gdzie pozyskiwać informacje, zazdroszczę otwartości, z jaką mogą mówić o swojej tożsamości seksualnej. Ale myślę, że przed nimi są inne niebezpieczeństwa, np. spalenia się w cudzej walce politycznej.

Jest też kwestia, o której napisał na Twitterze Konrad Piasecki: „Fatalnie będzie, jeśli odpowiedzią na język agresji i nietolerancji wobec mniejszości będzie kaganiec poprawnościowy. Wolni ludzie winni spierać się, dyskutować, mylić, ale nie terroryzować kogoś, kto ośmieli się wyłamać, wyrazić wątpliwość albo mieć inne zdanie".
Podzielam ten pogląd. W swoim najgłębszym rdzeniu *cancel culture* – kultura unieważniania, w której ktoś z powodu jednego niefortunnego zdania czy odrębnej opinii nagle przestaje być „jednym z nas", a cały jego dorobek przestaje się liczyć – jest kołtuńska i ufundowana na obłudzie. Nikt nie przeżyłby opublikowania wszystkich swoich prywatnych wiadomości, bo każdy powiedział kiedyś coś niewłaściwego. A ostracyzm i poszukiwanie kozłów ofiarnych nie są przypisane do jednej formacji.

Ale można inaczej. Jestem współscenarzystą filmu fabularnego, który kręci Łukasz Ronduda, a inspirowanego postacią Daniela Rycharskiego. Kojarzysz?

Pisaliśmy w „Tygodniku" o jego wystawie „Strachy".
Daniel jest artystą silnie czerpiącym z katolicyzmu i kultury ludowej, a zarazem wyrażającym tożsamość nieheteronormatywną. Jedną z jego ostatnich inicjatyw jest akcja „Opieka rodzinna" – wywozi z miasta gejów i lesbijki cierpiących na depresję i umieszcza ich w wiejskich domach w jego rodzinnym Kurówku. Przybysze z miasta pomagają w gospodarstwie, a życie wśród rolników okazuje się formą terapii. Spójrz, jakie tu odwrócenie wszystkich stereotypowych wyobrażeń, że oto tych zacofanych ze wsi trzeba przywozić do miast i poddawać reedukacji.

Przypomniał mi się wywiad z Tobą w „Przekroju" i deklaracja: „Uważam, że ludzkość wcale nie jest taka zła". Co było do udowodnienia.

Wciąż wspominam te kolacje wigilijne, wydawane przez bardzo bliską mi i bardzo konserwatywną osobę (na co dzień słuchaczkę Radia Maryja), która rok w rok zapraszała do stołu swojego zakażonego HIV przyjaciela geja (i jego partnera, o kolorze skóry innym niż biały). Widziałem tamten stół, więc wierzę, że zmiana jest możliwa i że zaczyna się właśnie na poziomie mikro.

W ogóle mam taki obraz społeczeństwa jako wielkiego zgromadzenia przy stole: każdy przyniósł swoją potrawę, każdy siada do wieczerzy, a potem dzielimy się obowiązkami przy zmywaniu. W jednym z moich ukochanych filmów grupa dwunastu niechętnych zmysłowym przyjemnościom luteran rozpoczyna właśnie kolację, nieufnie próbując francuskich dań, które wydają im się z początku pochodzić od szatana. A potem, stopniowo, zaczynają się dziać między nimi rzeczy cudowne. Rozmawiają, czują, że im smakuje, śmieją się i cieszą, a w kuchni obok siedzi ta, która w ich szczęściu nie uczestniczy, ale je stworzyła.

O tytułowej bohaterce „Uczty Babette" mówi się czasem, że jest figurą Chrystusa.

Nie uważasz, że potrzebujemy takich kolacji?

Na pewno potrzebujemy otwarcia na sygnały płynące z własnego ciała, bo o tym także ten film opowiada.

A ile tam jest niezabliźnionych ran, zazdrości, zawiedzionych miłości...

LGBT+ to nie jakieś „to", tylko sąsiad z przedziału, który pomógł wam wsadzić walizkę na półkę i myślał o was sympatycznie, choć wy się nie zachowywaliście sympatycznie.

To jeszcze Cię zapytam o drogę, która doprowadziła do tego facebookowego wyznania. Może to jest trochę à propos tego filmu – czy w ogóle Twojej pasji filmowej.

Bardzo wcześnie zaczynałem nabierać świadomości własnej seksualności. Ale nie miałem słownika, żeby ją nazwać. Pamiętam ogromny strach, zwłaszcza przed spowiedzią. Brak towarzyszącego autorytetu: psychologa czy duszpasterza. W świecie małego miasta skorupa milczenia była potężna.

Było to doświadczenie gigantycznej samotności. Zalęknionego poruszania się po zaciemnionym pokoju, w którym nie wiadomo, czy nie natrafię nagle na jakiś przedmiot, o który mogę się zranić.

Cieszę się, że mówisz o tym w czasie przeszłym.

Pewnie mógłbyś jeszcze zapytać o rolę rodziców. Uszanuję ich prywatność i powiem ogólnie. Nasi rodzice zostali wychowani w świecie jeszcze bardziej zamkniętym. Trudno przykładać do nich miarę nowoczesnej edukacji seksualnej. Ale nie chciałbym też uprawiać jakiejś martyrologii środowiska LGBT+. Dostrzeżenie bólu to etap konieczny, ale nie warto się w nim pławić.

Przejmuje mnie w opowieściach o odkrywaniu tożsamości homoseksualnej to nagromadzenie cierpienia. Czy nie powinno się mówić również o tym, że to odkrycie może po prostu dać szczęście?

Tak, to ważne – i pozwala nawiązać do tej pasji kinowej, o której wspomniałeś. Ja ze swoim okresem cierpiętniczym skończyłem jakoś po studiach, gdy napisałem książkę o kinie Terence'a Daviesa. Jej bohater również jest homoseksualistą dorastającym w katolicyzmie i chyba dał najpotężniejsze świadectwo bólu, o którym rozmawialiśmy. Ale po paru latach zajmowania się nim poczułem, że czas się odłączyć. Że ból został opłakany i że mogę podjąć rozmowę właśnie o prawie do szczęścia osób LGBT+.

Ono może wyglądać różnie. Może to być szczęście założenia rodziny, tworzenia relacji, ale też samotności i niezależności. Tyle tylko, że to musi być wybór. Wolny wybór, dokonywany przez ludzi widzialnych.

Jak u heteroseksualistów.

Jesteśmy przecież tacy sami.

©℗ ROZMAWIAŁ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@tTygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Próba trzecia: rozstanie

Abram powoli wędrował z Egiptu do ziemi Kanaan, bogaty w trzody, niewolników, złoto i srebro. Również Lot miał liczne stada. Było tych zwierząt tak dużo, że pastwiska nie mogły ich utrzymać. Musieli się rozejść. Abram zaproponował bratankowi, by wybrał sobie miejsce, w którym chce osiąść, mówiąc: jeśli chcesz iść na wschód, pójdę na zachód, jeśli wybierzesz kierunek północny, ruszę na południe. Lot wybrał ziemie nad rzeką Jordan, obfite w roślinność i wilgoć. Wyglądały jak rajski ogród. Morze Martwe wtedy jeszcze nie istniało. Bogate były Sodoma i Gomora. Tam mieszkali źli, grzeszni ludzie.

Kabaliści powiadają, że rozstanie miało w sobie coś ostatecznego. Oznaczało, że z potomków Abrama i Lota narodzą się inne narody i znajdą się wręcz w stanie wojny. Z Lota powstali Moabici, a żaden z Moabitów (poza Rut) nie mógł wejść do ludu Izraela. Rozstały się rodziny, ale też religie. Lot z córkami wzięli dużo zwyczajów od Sodomitów. Odeszli od monoteizmu. Abram pozostał wierny Bogu jedynemu.

Gdy Lot ruszył w swoją stronę, znów praojciec usłyszał głos Boga i zapowiedź, że ziemia Kanaanu będzie należała do jego potomków. Będzie ich tyle, co prochu ziemi. Nakazał mu obejść te ziemie wzdłuż i wszerz, jakby w ten sposób brał je w posiadanie. Na koniec Abram dotarł do swojej ulubionej dąbrowy w okolicach Hebronu i tam zbudował Panu ołtarz.

Dlaczego Bóg zapowiedział, że liczba Hebrajczyków będzie niepoliczalna, jak nie sposób policzyć kurzu ziemi? W jednym z midraszy czytamy: tak jak kurz ziemi znajduje się w każdym zakątku świata, tak twoje dzieci będą mieszkały we wszystkich krańcach ziemi. Tak jak kurz jest błogosławiony wodą, tak twoi potomkowie będą błogosławieni przez Torę, którą do wody życia można porównać. Tak jak w kurzu ziemi zawarte są różne pierwiastki, z których wyrabia się trwałe narzędzia, tak trwałym będzie lud Izraela, przetrwa, a inne narody znikną. Tak jak depcze się kurz, tak twoi potomkowie będą deptani przez obcych. Tak jak kurz, który przetrwa tych, którzy go deptali, tak twoi synowie przetrwają, a narody, które ich prześladowały, sczezną.

Gdy wybuchła wojna królów, jedną z ofiar był Lot, którego wzięto do niewoli. Abram na czele sporego oddziału ocalił bratanka, odzyskał jego dobra, a także kobiety i dzieci. Gdy wracał z wojennej wyprawy, napotkał króla Salemu o imieniu Melchizedek, kapłana Pana najwyższego (Salem ma coś wspólnego ze słowem szalom – pokój; inni komentatorzy dodają: Salem to najwcześniejsza nazwa Jeruzalem, miasta pokoju). Ten pobłogosławił imię Boga, a w Abramie rozpoznał pierwszego sługę Boga.

Wiedział, co czyni. Wszak był synem Noego, przetrwał potop. Niósł w sobie doświadczenie i światło z czasów prehistorycznych. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Sztuka szlachetna

Szebna był po królu Ezechiaszu najważniejszą personą w upadającym państwie judzkim oraz twórcą antyasyryjskiej polityki potępianej przez Izajasza. „Tak mówi Pan, Bóg Zastępów: Pan odrzuci cię potężnym ciosem – ostrzegał prorok. – Pochwyci cię, skręci, zwinie cię w kłębek, rzucając jak piłką po przestronnej ziemi! Tam umrzesz i tam też pójdą twoje wspaniałe rydwany, bo przynosisz hańbę swojemu panu! Z twojego stanowiska cię strącę i zrzucę cię z twojego urzędu”.

I tak, kiedy mieszkańcy Jeruzalem przygotowywali się do odparcia nadciągających wojsk asyryjskich, Szebna doglądał budowy monumentalnego mauzoleum upamiętniającego jego dokonania. Nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć, że nadchodząca klęska jest skutkiem psucia państwa przez niego i jemu podobnych „pasterzy ludu”. Tym bardziej nie dostrzegał w działaniach polityczno-militarnych Asyrii palca Bożego. Psalmista przestrzega: „Czemu, mocarzu, chełpisz się złem codziennie przeciw pobożnym? Wyostrzoną brzytwą swego języka zamierzyłeś nieprawość, zgotowałeś podstęp. Wolisz zło bardziej niż dobro, kłamstwo bardziej niż słowa prawdy. Umiłowałeś wszelkie szkodliwe słowa i podstępną mowę! Dlatego zniszczy cię Bóg na zawsze, wyrwie cię i wyrzuci z namiotu, wykorzeni z ziemi żyjących”. Jednak Szebna grzeszył najbardziej, mając za nic nędzę „ubogich ludu”. Podobnie będzie postępował Eliakim, który też, nie zważając na „ruinę swego ludu”, przede wszystkim będzie dbał o dobro swojej rodziny i zauszników.

Nieszczęsny los Szebny i Eliakima zmusza nas, by z powagą podchodzić do polityki, gdyż od niej zależy doczesny i wieczny los człowieka. Odrzucając Boga, nie dajemy Mu szansy, aby wybawił nas „ode złego”. Zbyt często politycy deklarujący się katolikami zapominają, że Jezus zawsze przychodzi w towarzystwie najbiedniejszych, którymi trzeba się zająć.

Zobaczmy jak polityków i politykę widzi Kościół. „Ci, którzy pragną wykonywać zawód polityka i posiadają odpowiednie uzdolnienia, niech przygotują się do uprawiania tej sztuki zarazem trudnej i bardzo szlachetnej, i starają się ją wykonywać, nie pamiętając o dobru własnym i korzyściach materialnych. Moralnie nienaganni i mądrzy zarazem niech występują przeciwko niesprawiedliwości, uciskowi, przemocy i nietolerancji, czy to jednego człowieka, czy partii politycznych; z uczciwością, sprawiedliwością, a także miłością i polityczną odwagą niech poświęcają się dobru wspólnemu” („Konstytucja Duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym”).

Stąd dla chrześcijanina wybory to sprawa wzięcia odpowiedzialności za tych, którym przekazujemy władzę. Za ich podłość odpowiadają nie tylko oni sami, ale również my, wyborcy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Góra niemożliwości

Oddaj Bogu wszystko, co masz, i nie troszcz się o to.

MISTRZ ECKHART

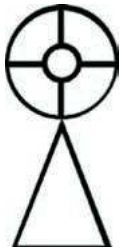

Zachowaj swoje miejsce.

BHAGAVATGITA

„Panie, zlituj się nad moim synem! Jest epileptykiem i bardzo cierpi (...). Przyprowadziłem go do Twoich uczniów, lecz nie mogli go uzdrowić" (Mt 17, 15n) – liturgia przypomniała nam niedawno ten krzyk zrozpaczonego ojca. W jego słowach kryje się przede wszystkim ból z powodu dramatu własnego dziecka; dodatkowo ów ból zostaje pomnożony doświadczeniem zawodu i przetrąconej nadziei. Był pewien, że znajdzie pomoc ze strony Jezusowych uczniów, a tymczasem zderzył się z ich bezsilnością.

To właśnie zderzenie, zderzenie z bezsilnością czy bezskutecznością Kościoła, może być (i jest) coraz bardziej powszechne. Powinno działać, a nie działa. Niby wszystko robimy jak dawniej, a owoce są niewielkie, żadne, albo wręcz przeciwne... Stan opisany dramatycznym pytaniem świętego papieża Pawła VI: „Co zrobiliśmy, że obezwładniliśmy Ewangelię?". Owszem, potrafimy ją objaśniać i kompetentnie o niej mówić; ale nie widzimy Jej mocy.

Niby wszystko jest. Są wszystkie możliwości: i ludzkie, i materialne, i każde inne. A mamy poczucie, jakbyśmy się zderzali z jakąś niemożliwością. Jakby na samym środku obranej przez nas drogi wyrosła ogromna góra, której nie sposób ani obejść, ani przenieść. O tym Jezus mówi w ostatnim zdaniu wspominanej perykopy: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej górze: »Przesuń się stąd tam!«, a przesunie się" (Mt 17, 20).

Wszyscy czujemy, że nie chodzi o przesuwanie gór. Chodzi o bardzo różne, trudne sytuacje dotyczące nas samych osobiście, albo nas jako większej czy mniejszej wspólnoty wiernych. Taką górą, która się wypiętrzyła pośrodku mojego życia, może być np. nałóg, z którym nie mam już ani siły, ani pomysłu się zmagać; może być układ, w którym się znalazłem – krępujący na milion sposobów każdą z moich inicjatyw. Taką górą w życiu naszego Kościoła (lokalnego, partykularnego) mogą być nasze grzechy oraz zgorszenie i wszelkie inne konsekwencje, które się z nich zrodziły (już nie mamy ani siły, ani ochoty, ani pomysłu z nimi się zmierzyć). Góra.

Jezus mówi: może być przesunięta odrobiną wiary.

To oznacza tak naprawdę minimum rzeczywistej relacji z Nim. Wiara to przecież nie zbiór jakichś abstrakcyjnych idei i prawd, lecz osobiste spotkanie osoby z Osobą. Moje z Nim.

Bez spotkania z Nim – jak „ziarnko gorczycy" (kilka minut dziennie? ale naprawdę!) – nic się nie zmieni. Można sięgać po wszystkie ludzkie środki: treningi, warsztaty, kursy, projekty, regulacje prawne, nowe instytucje i struktury, programy reformistyczne itp., itd.

Spotkanie z Jezusem daje właściwy motyw i siłę. A następnie... wiarygodność. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 VIII)

21. niedziela zwykła: Iz 22, 19-23; Ps 138; Rz 11, 33-36; Mt 16, 13-20;
Poniedziałek: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
Wtorek: 2 Tes 2, 1-3a. 14-17; Ps 96; Mt 23, 23-26;
Środa, uroczystość Najświętszej Marii Panny Częstochowskiej: Prz 8, 22-35; Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Czwartek: 1 Kor 1, 1-9; Ps 145; Mt 24, 42-51;
Piątek: 1 Kor 1, 17-25; Ps 33; Mt 25, 1-13;
Sobota: Jr 1, 17-19; Ps 71; Mk 6, 17-29;
22. niedziela zwykła: Jr 20, 7-9; Ps 63; Rz 12, 1-2; Mt 16, 21-27.

Wybrał PIOTR SIKORA

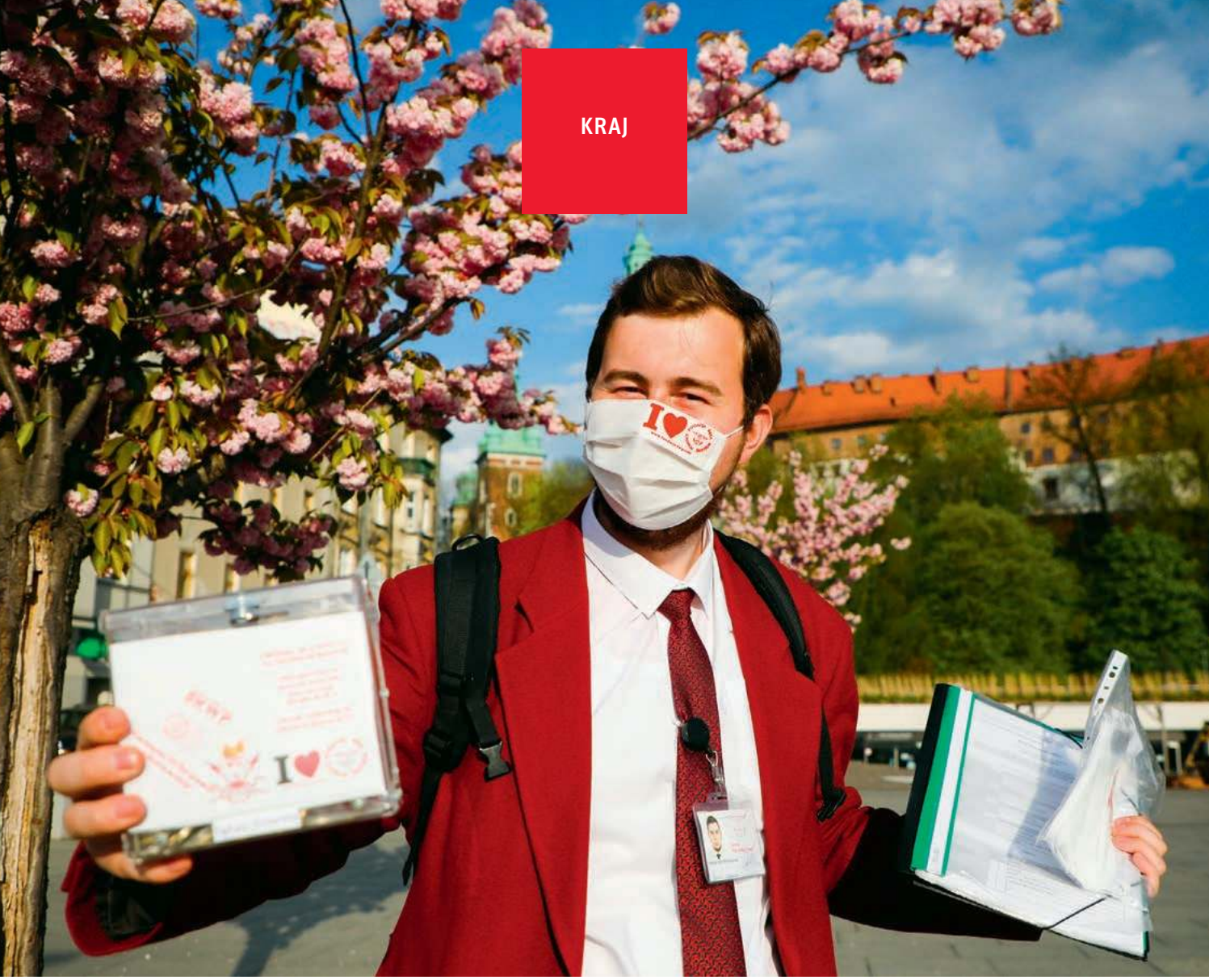

Wolontariusz Fundacji Ręka Wielkiej Pomocy. Kraków, 28 kwietnia 2020 r.

GORSZA SFERA BUDŻETOWA

Co trzecia organizacja pozarządowa musiała zeszłej wiosny wstrzymać działanie. Jak będzie wyglądał trzeci sektor po pandemii?

KRZYSZTOF STORY

Pod koniec 2018 r. w Polsce zarejestrowanych było 117 tys. stowarzyszeń i 26 tys. fundacji. Łącznie – ponad 143 tys. organizacji pozarządowych. Od tego odejmijmy 30 proc. tych, które figurują w rejestrach, ale nie prowadzą aktywnej działalności. I jeszcze 17 tys. Ochotniczych Straży Pożarnych, które też działają jako stowarzyszenia. Zostaje około 80 tys.

To polski trzeci sektor, określany często angielskim skrótem NGO. Większości z tych podmiotów nie znamy, choć zjawiają się w każdej sferze naszego życia. Wypełniają luki i rozwiązują problemy, z którymi nie radzą sobie pierwsze dwa sektory – państwo i biznes. Współtworzą kulturę i edukację. Realizują projekty naukowe i ekologiczne. Organizują wydarzenia sportowe, turystykę, wspierają mniejszości. Walczą o lepszą ochronę zdrowia i praw człowieka. Wspierają państwowy system opieki społecznej, proces tworzenia prawa i rozwój lokalnych społeczności.

W trakcie pandemii co trzecia organizacja pozarządowa musiała zawiesić działanie. Nie wszystkie będą w stanie to przetrwać, a dla niektórych problemy dopiero się zaczynają.

– Nic, co usłyszysz, nie będzie wielkim odkryciem. Pandemia nie spowodowała nowych problemów. Skupiła wszystkie już istniejące jak soczewka – mówi Ula Ziober, prezeska poznańskiego stowarzyszenia Zielona Grupa, które zajmuje się animacją kultury i edukacją poprzez sztukę. W pracy wykorzystują teatr ilustracji kamishibai. To wywodząca się z Japonii sztuka głośnego czytania i opowiadania (głównie) dla dzieci. Wykorzystuje się kartonowe plansze z ilustracjami oraz drewnianą skrzynię *butai* przypominającą teatr marionetkowy (jap. *kami* – papier, *shibai* – sztuka).

Poza tarczą

Stowarzyszenie prowadzi własne wydawnictwo, organizuje warsztaty i szkolenia. Rok temu stworzyło Dom Sąsiedzki na poznańskim Dębcu. Przy ulicy Bukowej powstało miejsce spotkań otwarte dla wszystkich mieszkańców.

– Organizacje zajmujące się kulturą i sportem ucierpiały najmocniej – przyznaje Ziober. – Musieliśmy jako pierwsi się zamknąć i jako ostatni otworzyć.

Jak wynika z raportu fundacji Klon/Jawor, wszystkie lub większość działań musiało zawiesić 80 proc. organizacji sportowych i 73 proc. kulturalnych. Zwłaszcza dla małych organizacji nawet kilkumiesięczny przestój może oznaczać poważne kłopoty. Zielona Grupa ma trzy główne źródła dochodu: organizacja warsztatów i szkoleń, wydawnictwo oraz największe – granty na konkretne projekty. Pierwsze dwa pandemia przekreśliła z dnia na dzień. Z trzecim wkrótce też pojawiły się problemy.

– Grant na jeden z naszych większych projektów w tym roku pojawił się na koncie fundacji w marcu, podczas gdy rok wcześniej przyszedł w kwietniu – tłumaczy szefowa Zielonej Grupy. – W sprawozdaniu finansowym wygląda to tak, jakbyśmy nagle w marcu 2020, na samym początku pandemii, wygrały na loterii. Przez to nie mogłyśmy ubiegać się o środki z tarczy antykryzysowej, bo trzeba było wykazać spadek przychodów. Przepisy nie uwzględniały faktu, że to grant, który ma pokryć rok pracy nad projektem. To nie są środki, które możemy swobodnie wydawać na stałe koszty działania.

W dodatku grantodawca z początku nie zgadzał się na przeprowadzenie projektu w formie online. W efekcie 50 tys. zł zostało zamrożone na koncie stowarzyszenia, jednocześnie przekreślając szansę na pomoc w ramach tarczy. Negocjacje przeciągały się do końca kwietnia. W tym czasie Zielona Grupa organizowała działania, które Ula opisuje z uśmiechem jako „partyzanckie". To m.in. Długi Stół – żywność z poznańskich targowisk dziewczyny pakowały i rozwoziły potrzebującym.

– Gdy w końcu, po pismach, prośbach i telefonach udało się podpisać aneks do umowy, było już za późno. Miałyśmy gotowe scenariusze działania na okres lockdownu. W efekcie do teraz realizuję działania, które w obecnej sytuacji są już bez sensu.

Inne konkursy rozstrzygnięto z nawet kilkumiesięcznym opóźnieniem.

– Wyniki konkursu grantowego „Patriotyzm Jutra" zwykle pojawiały się w lutym, tym razem – w maju. I nagle mała organizacja w połowie roku ląduje z dużym projektem, na który ma siedem miesięcy. Teraz już nie patrzymy na harmonogramy – robimy, ile się da, żeby zdążyć przed ewentualną drugą falą pandemii – mówi Ziober.

Gdy pytam o tarczę antykryzysową (w edycji 4.0 pojawiły się zapisy dla NGO, osobne pakiety pomocowe wprowadzały też niektóre samorządy), słyszę w odpowiedzi, że większość tych przepisów traktuje NGO jak zwykłe przedsiębiorstwa.

– Nie ma żadnej refleksji nad tym, że my działamy w zupełnie innym systemie. NGO nie mogą zarobić. Tylko 11 proc. organizacji prowadzi działalność gospodarczą. Nie możemy wypłacać sobie premii ani odkładać pieniędzy na lepsze czasy. Trudno wykazać spadek dochodów na początku roku, kiedy na nasze konta wpływają dotacje i granty, za które musimy działać przez cały rok – wyjaśnia Ziober.

Z puszką na Półwiejską

System finansowania organizacji pozarządowych jest skomplikowany, różny dla każdej organizacji. I niestety, zwłaszcza dla małych NGO – bardzo niestabilny. To one najmocniej polegają na tzw. grantozie.

– Większość grantów jest przyznawana tylko na rok – mówi Ula Ziober. – Nie wiem, czemu jeszcze tego nie zmieniono, organizacje walczą o to od lat. Wyobraź sobie, że co roku w grudniu zastanawiasz się, czy będziesz mieć pracę, a nawet jeśli tak, to dopiero za trzy miesiące. My przecież, jako trzeci sektor, realizujemy zadania publiczne. Zwłaszcza w pracy z grupami wykluczonymi. A tutaj ciągłość jest kluczowa. Jeśli stracimy kontakt z naszymi odbiorcami, z mieszkańcami Dębca, na pół roku, potem wszystko musimy zaczynać od początku.

Roczny budżet statystycznego polskiego NGO to zaledwie 28 tys. zł. W tak niestabilnym systemie bardzo łatwo organizację po prostu zagłodzić, co pokazują ostatnie wydarzenia w Poznaniu. Aleksandra Orchowska jest wiceprezeską fundacji ORCHidea, która prowadzi ośrodek rehabilitacji dla osób z deficytami neurologicznymi (np. po udarach mózgu):

– W połowie marca dostaliśmy odgórne polecenie zamknięcia placówki. Do dzisiaj działamy pod bardzo mocnymi obostrzeniami, większość naszych pacjentów to seniorzy.

Funkcjonowanie ORCHidei kosztuje 20 tys. zł miesięcznie. Dotacje pokrywają tylko połowę kwoty, resztę organizacja musi zarobić sama, np. sprzedając książki. W pandemii okazało się to niemożliwe.

– Musieliśmy zwolnić dwie osoby. To jest bolesna decyzja w takim momencie, ale wyliczyliśmy koszty i innego wyboru nie było. To i tak nie rozwiązało problemu, robiliśmy, co w naszej mocy, żeby nie utonąć. Gdybyśmy zostali tylko przy działaniach rehabilitacyjnych, to rozmawiałabym teraz, jednocześnie pakując fundację do kartonów.

Inna fundacja przekazała im środki na szycie maseczek, co pozwoliło ORCHidei przetrwać kwiecień i maj. Poprosili o pomoc ludzi. Robili licytacje i zbiórki. Wystawili na sprzedaż ekspres do kawy, a Aleksandra wystawiła na aukcję nawet swój prywatny rower.

– Biały, trochę w stylu retro, spodobał się. Ktoś kupił go za dwa tysiące, a potem oddał fundacji, żebyśmy go zlicytowali jeszcze raz – wspomina z wdzięcznością Orchowska.

Dzięki temu udało się utrzymać m.in. lokal, który fundacja wynajmuje od Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych, czyli poznańskiej spółki miejskiej. Teoretycznie organizacje pożytku publicznego powinny otrzymywać preferencyjne stawki za wynajem lokali. Teoretycznie, bo w Poznaniu większość płaci ceny zbliżone do rynkowych. Sam czynsz to nie wszystko – ZKZL narzuca ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER / EAST NEWS

STOWARZYSZENIE ZIELONA GRUPA

Zbiórka żywności w czasie akcji Długi Stół przygotowanej przez wolontariuszy stowarzyszenia Zielona Grupa, Poznań, kwiecień 2020 r.

duże i często niejasne dodatkowe opłaty, a nie bierze pod uwagę kosztów remontów, które wykonują organizacje.

– Mimo że realizujemy zadania publiczne, pracujemy na rzecz Poznania, płacimy 17 zł za metr. Dlaczego akurat tyle? Od lat Urząd Miasta mówi o indywidualnym podejściu. W praktyce kończy się to na niejasnym widzimisię ZKZL. My wnioskujemy o konkretne, przejrzyste zasady. A miasto w trakcie pandemii zaproponowało nam 50 proc. obniżki (samego czynszu, bez opłat) na trzy miesiące. Dokładnie te same warunki dostali prywatni przedsiębiorcy. Dla mnie to jest żenujące.

Problem jest na tyle poważny, że poznańskie NGO utworzyły nieformalną koalicję w tej sprawie. Trzy miesiące temu wysłali petycję do prezydenta Jacka Jaśkowiaka z propozycją rozwiązania problemu. Podpisało się pod nią kilkanaście organizacji, w tym Zielona Grupa i ORCHidea. Prezydent nigdy na nią nie odpowiedział.

– Od poznańskiej radnej usłyszałam kiedyś, że przecież „sobie poradzimy, bo jesteśmy dobrzy w zbieraniu pieniędzy". To może ja powinnam się raz w tygodniu przejść na Półwiejską z puszką i zbierać na czynsz?

Duży może więcej

Każda NGO musiała dostosować się do nowych warunków, zmienić sposób pracy, zrezygnować z niektórych działań. Ale zdecydowanie łatwiej jest dużym organizacjom. Nie polegają tak mocno na pracy społecznej, mają stały zespół, większe rezerwy finansowe i społeczności. A przede wszystkim – korzystają z różnych źródeł finansowania, nie są tak bardzo zależne od konkretnych grantów i projektów. Większość jest finansowana głównie z bezpośrednich wpłat indywidualnych.

Draginja Nadaždin, dyrektorka Amnesty International Polska: – To zazwyczaj drobne, regularne wpłaty. Oczywiście przez długi czas nie mogliśmy prowadzić bezpośredniego fundraisingu, co długofalowo może oznaczać straty. Z wielką uwagą patrzymy też na to, co dzieje się w szkołach, bo dużą częścią naszej pracy jest edukacja o prawach człowieka.

Karolina Skowron, dyrektorka Akcji Demokracja: – Jak chyba wszyscy, wiele z naszej pracy musieliśmy przenieść do sieci, wykorzystać nowe technologie. Udało się, bo 6 maja zorganizowaliśmy pierwszą w Polsce demonstrację online. Od tej pory większość naszych kampanii prowadzimy online i nadal pracujemy wszyscy zdalnie.

Katarzyna Karpa-Świderek, rzeczniczka WWF Polska: – 83 proc. przychodów fundacji pochodzi z darowizn od osób indywidualnych. W zeszłym roku wsparło nas 85 tys. osób. Od ogłoszenia pandemii zawiesiliśmy prowadzenie działań edukacyjnych i pozyskiwanie funduszy na ulicach. Musieliśmy zrezygnować z najważniejszego dla nas sposobu komunikacji. Ale nie zauważyliśmy, aby rezygnacje czy zawieszenia płatności na rzecz fundacji były większe niż w czasach przed pandemią. Zdecydowanie odczuliśmy brak przybywania nowych darczyńców w miesiącach, kiedy nasi fundraiserzy nie mogli działać. Z ostrożnością patrzymy w przyszłość, co przyniosą jesienne miesiące.

Wszystkie te organizacje podkreślają, że ewentualny kryzys gospodarczy może bardzo wpłynąć także na ich sytuację.

Jeden procent

Nieliczne NGO w trakcie pandemii nie tylko nie zawiesiły działalności, ale wręcz miały więcej pracy niż przed marcem 2020 r. To głównie organizacje zajmujące się pomocą społeczną – wśród nich Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, która prowadzi m.in. telefon zaufania dla dzieci i młodzieży (116 111).

– W naszych placówkach mamy pod opieką dzieci i ich opiekunów po dramatycznych doświadczeniach przemocy i wykorzystywania seksualnego – mówi dr Monika Sajkowska, prezeska FDDS. – To ważne, by kontynuowali terapię, mogli skonsultować się z prawnikiem czy psychologiem. Ciągłość tego kontaktu jest kluczowa. Na początku pandemii, po zamknięciu placówek, kontakty online były wyzwaniem dla terapeutek i terapeutów, ale głównie dla naszych podopiecznych. Była obawa przed nieznanym, pojawiały się też problemy techniczne. Ostatecznie prawie wszystkie osoby, które mieliśmy pod opieką, kontynuowały kontakty związane ze

RDC POLSKIE RADIO

BARTOSZ KABAŁA (autor tekstu w dziale Nauka) będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 19 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

wsparciem psychologicznym, prawnym i psychiatrycznym. Najtrudniejsza była praca z małymi dziećmi, która do dziś często sprowadza się do podtrzymania kontaktu, a nie działania terapeutycznego.

Sajkowska tłumaczy, że zmieniły się też potrzeby telefonu zaufania dla dzieci: – Wzrosła liczba interwencji kryzysowych. COVID pokazał, że w sytuacji spiętrzonych trudności – izolacja, zdalna nauka, napięcia w rodzinie, stres społeczny – ta pomoc jest dzieciom jeszcze bardziej potrzebna. Przekonaliśmy się, że pomoc online może być skuteczna i zapewne zostanie w naszej ofercie również po pandemii. Korzystają z niej ci, którzy z różnych względów nie mogą dotrzeć do naszych placówek.

Pytam Sajkowską o finansową sytuację fundacji. Odpowiada, że ewentualne problemy trudno wiązać wyłącznie z pandemią. Telefon zaufania już od czterech lat działa bez wystarczającego państwowego wsparcia.

– Cały ten czas widzimy z perspektywy organizacji, której działania nie zostały zamrożone, a wręcz uruchomiliśmy nowe. Dostaliśmy duże wsparcie, odezwały się do nas firmy i prywatne osoby, które rozumiały, jak bardzo potrzebna jest pomoc dzieciom w tej specyficznej sytuacji. Ta pozytywna energia społeczna pozwoliła nam dalej działać. Doświadczyliśmy też troski i wsparcia lokalnych samorządów. Nie dotarła do nas natomiast pomoc rządowych resortów odpowiedzialnych za pomoc dzieciom.

Dobrą wiadomością dla FDDS były też wpływy z 1 proc. podatku. W porównaniu z zeszłym rokiem wzrosły z 770 tys. do 1 mln 200 tys. zł. Wpływ 1 proc. to najbardziej pozytywne wydarzenie tego roku dla wielu instytucji. W sumie Polacy przekazali na rzecz organizacji pożytku publicznego rekordowe 900 mln zł – o 25 mln więcej niż rok wcześniej.

Trzy liczby

W maju fundacja Klon/Jawor opublikowała raport „Organizacje Pozarządowe wobec pandemii". W badaniu wzięło udział 700 organizacji pozarządowych. Warto wspomnieć trzy liczby z tego raportu.

Liczba pierwsza: 47 proc. organizacji pozarządowych ma problem z pokryciem stałych wydatków (np. czynsz, media). Najczęściej zgłaszanymi problemami są: utrzymanie ciągłości działań i terminowa realizacja projektów.

Roczny budżet statystycznego polskiego NGO to zaledwie 28 tys. zł.

W tak niestabilnym systemie bardzo łatwo organizację doprowadzić do upadku.

To pokazuje, jak niestabilny jest system finansowania zwłaszcza małych i średnich NGO. Jak pisze Jakub Wygnański, prezes Fundacji Stocznia: „Organizacje średnie to także często te, których przychody pochodzą przede wszystkim z jednego źródła – od samorządu. Ich zależność od samorządu jest często całkowita, co może skończyć się katastrofą. Samorządy mają i będą mieć coraz mniej pieniędzy. Niebawem okaże się, że w obliczu braku zasobów sektor pozarządowy zostanie potraktowany jak gorsza strefa budżetowa. Obawiam się, że organizacje będą pierwsze do odcięcia, bo samorząd będzie chronił przede wszystkim swoje zasoby, swoich pracowników i swoje instytucje".

Katarzyna Jagiełło, aktywistka i publicystka, od lat związana z trzecim sektorem: – Podczas pandemii zobaczyliśmy patologię finansowania NGO. Większość organizacji jest uzależniona od jednego źródła, nie umieją pozyskiwać własnych środków, choćby z wpłat indywidualnych. Teraz trwa paniczne nadrabianie lat zaniechań i przyśpieszona nauka fundraisingu.

Liczba druga: dwa razy częściej wszystkie działania na czas pandemii zawieszają organizacje ze wsi niż z dużych miast. Tymczasem możliwość lokalnego działania dla konkretnej grupy ludzi jest jednym z największych atutów trzeciego sektora.

Liczba trzecia: 54 proc. budżetu wszystkich NGO to pieniądze publiczne. I to chyba najważniejszy powód, dla którego powinniśmy się przejmować losem NGO. Dla którego warto je wspierać. Przy każdej okazji i w każdej sferze życia zastępują i wyręczają państwo. Ewentualny kryzys trzeciego sektora oznacza pogorszenie jakości usług publicznych, a w konsekwencji – naszego codziennego życia.

Jakub Wygnański we wspomnianym raporcie podsumowuje: „Widzę dwa możliwe scenariusze rozwoju filantropii. Pierwszy, pesymistyczny, jest taki, że jej skala zmniejszy się jeszcze bardziej, mimo że już teraz jest ona śladowa. Ludzie uznają, że nastały trudne czasy, że sami muszą zatroszczyć się o siebie, że muszą mieć rezerwy, bo nie wiadomo, co przyjdzie... Ale możliwy jest też drugi scenariusz. Jego realizacja jest związana z wyciągnięciem podstawowej nauczki z obecnego kryzysu: jak przychodzi co do czego, to uratują cię relacje z innymi, z sąsiadami, zdolność do polegania na sobie nawzajem, umiejętność dzielenia się tym, co posiadamy". © KRZYSZTOF STORY

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem informujemy, że 15 sierpnia 2020 r.
odszedł nasz najukochańszy
mąż, ojciec, dziadek, pradziadek i przyjaciel

Marek Sznajderman

profesor zwyczajny medycyny

wieloletni kierownik Kliniki Nadciśnienia Tętniczego Instytutu Kardiologii,
wybitny kardiolog,
wspaniały lekarz, cudowny człowiek.

ŻONA, CÓRKA, ZIĘĆ, WNUKI, PRAWNUKI,
RODZINA I PRZYJACIELE

GMINNA INSTYTUCJA KULTURY „DWOREK NA DŁUGIEJ"

Sołtyska Małgorzata Dąbrowska prowadzi zajęcia w lokalnej Szkółce Owocowej. Bończa, lipiec 2017 r.

Tyle sołtys może, ile wieś pomoże

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

Stu trzydziestu ludzi wystarczy, by zbudować społeczeństwo obywatelskie.

Gdzie nie spojrzeć, we wsi wszędzie jabłonie, chociaż tu i ówdzie także wiśnie i krzewy borówkowe. Jedna droga, jeden krzyż, jeden sklep. Obok przypominająca garaż świetlica w budynku po hydroforni. Przez pewien czas stał pusty i niszczał, więc mieszkańcy – już od dziesięciu lat pobudzani do działania przez swoją sołtyskę – wystąpili o jego użyczenie.

Potem czekali, bo urzędnicy bali się, że może z tego wyniknąć jakiś problem lub rewolucja. W końcu się udało, podpisano umowę. Świetlica nie zaczęła jednak funkcjonować z marszu – budynek był w stanie surowym, brakowało podłóg, tynku. Ktoś potrafił położyć kafelki, ktoś był chętny, by pomalować – i tak udało się wszystko wyremontować z potrzeby posiadania wspólnego miejsca.

– Zanim to nastąpiło, wiedliśmy życie tułacze, gnieździliśmy się po domach i garażach mieszkańców – wspomina Małgorzata Dąbrowska, sołtyska wsi Bończa w powiecie grójeckim. – Teraz świetlica należy do nas wszystkich i jesteśmy z tego bardzo dumni.

Także inne miejsca we wsi są efektem wspólnego wysiłku. Jest boisko do piłki nożnej, pod które teren udostępniła jedna z osób, w zamian za wyrównywanie ziemi i koszenie trawy. Plac zabaw powstał tam, gdzie wcześniej było wysypisko śmieci. To specyficzne miejsce u zbiegu dwóch dróg, które tworzą klin ziemi należącej aż do trzech osób. Właściciele zgodzili się nieodpłatnie udostępnić teren pod warunkiem, że będzie wykorzystywany dla dobra wspólnoty. Potem trzeba było już tylko wywieźć gruz, zebrać meble ogrodowe, naprawić, co trzeba. Dziś rodzice z dziećmi mają gdzie pójść, by spędzić czas na świeżym powietrzu. I chociaż ogrodzony, plac zabaw nie jest zamykany na kłódkę. Regularnie jest za to koszony – przy pomocy wędrującej z domu do domu kosiarki obsługiwanej przez kolejnych mieszkańców.

Telewizja i spółdzielnia

Centrum życia społecznego pozostaje jednak świetlica. Jedna z jej ścian została przeznaczona na kronikę działalności mieszkańców. Przypomina ludziom, ile udało się zrobić, ale jest to też forma pochwalenia się i prezentacji dla kogoś, kto przychodzi z zewnątrz. Kronika nie jest zamknięta, cały czas dochodzą do niej nowe zdjęcia. Każda rzecz w świetlicy ma swoją historię. Ot, chociażby koza, którą ogrzewa się budynek: zakupiono ją dzięki akcji crowdfundingowej „Dołóż do pieca".

– Z jednej strony chodziło o to, by ludzie chcieli pomóc w zakupie, z drugiej chcieliśmy wzmocnić naszą siłę – tłumaczy Małgorzata Dąbrowska. Za wpłaty otrzymywało się podziękowanie w różnej

MAŁGORZATA DĄBROWSKA

Seniorki z klubu SPA Bończa podczas zajęć, czerwiec 2020 r.

formie. Za 300 złotych można było zjeść kolację z sołtyską. Wpłacił je... jej mąż.

Społeczność Bończy prowadzi też „gospodarkę zbieraczą". Jeśli ktoś ma w domu coś niepotrzebnego, to jest duża szansa, że przyda się w świetlicy. W ten sposób trafiły tu chociażby dwie duże lodówki. Na jednej z nich przyklejony jest, jako pamiątka, baner TVP Info. Do realizatorów programu rolniczego „Tydzień" dotarła informacja, że w Bończy wypłata się wieńce dożynkowe. A że jeden z nich był spektakularny pod względem wielkości i urody, został wypożyczony do studia jako dekoracja. Panowie z telewizji dostali w prezencie tyle jabłek, że wpadli w konsternację. Uznali, że muszą się czymś odwdzięczyć. Zostawili baner.

Istotniejsze jest jednak to, co obecnie wypełnia lodówki po brzegi, czyli najróżniejsze przetwory. Trzy lata temu powstała Szkółka Owocowa. Przyjeżdżają tu dzieci, by zobaczyć sady, pozrywać jabłka, dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Dzieciaki miały jednak niedosyt. Zwykle dostają od rodziców pieniądze na wycieczkę i chciałyby wrócić z czymś do domu.

– Uznaliśmy, że nie zrobimy tu przedsiębiorstwa obdarowującego gości produktami *made in China*, tylko wykorzystamy owoce, których mamy pod dostatkiem. W ten sposób zajęliśmy się też przetwórstwem – wspomina Małgorzata Dąbrowska. Pierwsza linia produktów obejmowała „Jabłko w pięciu smakach": dwa rodzaje musztardy, pikantny sos jabłkowy, jabłko z miętą i „Romans na gałęzi", czyli mus jabłkowo-gruszkowy. Ten ostatni otrzymał nagrodę marszałka województwa za nowatorskie podejście do tradycji.

Później w słoikach pojawiły się inne owoce, a po przetwory – prezentowane i sprzedawane na jarmarkach i targach – zaczęło przyjeżdżać coraz więcej ludzi. Ich produkcja nie jest jednak celem samym w sobie. Stymuluje lokalną przedsiębiorczość – wszystko zorganizowane jest w ramach spółdzielni, w której zatrudnionych jest siedem osób mieszkających w Bończy. Dodatkowo, jeśli słoik kosztuje 7 złotych, to 3 dostaje producent, 4 zaś idzie na fundusz świetlicowy, dzięki czemu można opłacić koszty funkcjonowania budynku.

„To jak z małżeństwem"

Oglądamy kronikę. Klub Seniora spotyka się raz na tydzień. – Często do nich przychodzę, bo są różne sprawy do ustalenia. Co ciekawe, zawsze świętują czyjeś imieniny, chociaż w klubie jest 18 osób – śmieje się Małgorzata Dąbrowska.

Starsze osoby lubią spędzać czas w swoim towarzystwie, są chętne do współpracy i zabawy. W 2018 r. seniorki wystąpiły na scenie. W przebraniu, co wymagało przełamania obaw. Wszyscy mieli je zobaczyć w niecodziennych strojach, a następnego dnia spotkają je w sklepie. Ale zdobyły się na odwagę.

Na ścianie można znaleźć też zdjęcie z wydarzenia „Spływ na byle czym". Uczestnicy budowali tratwy z czegokolwiek chcieli, byle utrzymała się na wodzie i pokonała dystans od punktu A do punktu B. Jednej z ekip udało się przygotować łódkę przypominającą czapeczkę z gazety. Zrobiło to duże wrażenie na publiczności, więc dzieciaki, które nią popłynęły, zarobiły 1000 złotych nagrody. Dołożyły je do funduszu przeznaczonego na zakup nowej kamery.

We wsi funkcjonuje też Stowarzyszenie Made in Bończa, zarejestrowane w 2018 r. W ten sposób łatwo starać się o dotacje na najróżniejsze projekty. Udaje się je otrzymywać chociażby z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich czy programu „Działaj Lokalnie".

– Długo funkcjonowaliśmy jako grupa nieformalna, ale uznaliśmy, że przyda się nam osobowość prawna. Trzeba było jednak się dobrze nad tym zastanowić. ↦

↦ Wpierw trzeba zrobić coś razem, stworzyć grupę, a dopiero potem zakładać organizację. To jak z małżeństwem: ludzie, poznajcie się lepiej, pospotykajcie się, a dopiero potem podejmujcie decyzję, bo nakłada ona na was również obowiązki – wyjaśnia Dąbrowska.

Podstawą tworzenia projektów w Bończy jest także to, by nie zamierały wraz z końcem finansowania. Made in Bończa ucieka od tzw. grantozy, robienia czegoś tylko dlatego, że pojawiają się pieniądze. Wszystko ma być przemyślane i kontynuowane. Efekty są – w 2018 r. Bończa została wyróżniona jako jedno z najaktywniejszych sołectw na Mazowszu. Rok później reprezentowała całe województwo na dożynkach prezydenckich.

– Nie miało to nic wspólnego z sympatiami politycznymi, ale było dla nas bardzo ważne, że doceniono w ten sposób tak małą wieś jak nasza – mówi Małgorzata Dąbrowska.

Generał znalazł armię

Zapytana, jak to wszystko się zaczęło, skąd w ogóle potrzeba, by coś wspólnie robić, Małgorzata Dąbrowska odpowiada, że sama się nad tym zastanawia.

Jedna z teorii głosi, że to po prostu koincydencja czasowo-przestrzenna: spotkali się ze sobą liderka i odbiorcy. Sołtyska z głową pełną pomysłów i ludzie, którym się one spodobały. – Można mieć najlepsze idee, ale jeśli nikt nie chce za nimi podążyć, to jest się generałem bez armii. Zawsze powtarzam, że tyle sołtys może, ile mu wieś pomoże – mówi Dąbrowska. Jakiś czas temu do Bończy zjechali nawet socjologowie, żeby zbadać, jak w tak samoczynny sposób udaje się tworzyć społeczeństwo obywatelskie. Zastanawiali się, czy da się znaleźć model, który można by zastosować w innych miejscach.

Według sołtyski Bończy jest to proces, który wymaga zarówno czasu, jak i samoświadomości. – Przede wszystkim trzeba dać ludziom możliwość podejmowania decyzji. Jeśli mogą decydować o tym, jak wydać jakieś środki, widzą, że mają wpływ na to, co dzieje się dookoła nich, to chcą się angażować – tłumaczy. Nie bez znaczenia jest fakt, że w gminie Warka wyodrębniono z budżetu fundusz sołecki, odpowiednik budżetu partycypacyjnego – to mieszkańcy wsi sami głosują, na co wydać pieniądze. Ludzie bowiem sami wiedzą, czego im potrzeba – nowych latarni czy remontu chodnika.

> Nie jest oczywiste, że małe społeczności utrzymują ze sobą ścisły kontakt. Bywa, że **konflikty między domami przechodzą z pokolenia na pokolenie.**

Dlatego tak ważne jest, że świetlica w Bończy została wyremontowana wspólnymi siłami. Gdy samemu się coś zrobi, odnowi, otynkuje, położy podłogę, traktuje się potem to miejsce jak swoje. A gdy to wszystko się skumuluje, to pojawiają się chęci, by działać dalej i robić więcej. I w większym gronie.

Bakcyl bycia razem

Nie od razu bowiem wszyscy byli przekonani. Na początku była niewielka grupa zapaleńców, a reszta mieszkańców się przyglądała. Nie tyle z niechęcią, co z rezerwą. Jednak na przestrzeni lat coraz więcej osób angażowało się w kolejne akcje. O tym, jak się rozrosły, świadczy przykład festynu wiejskiego, od siedmiu lat organizowanego w sierpniu. Kiedyś było to święto sąsiedzkie, a w ubiegłorocznej edycji udział wzięło około tysiąca osób.

– Na palcach jednej dłoni można policzyć tych, którzy nie biorą udziału w jego przygotowaniu. Każdy coś robi: a to skosi trawę, a to będzie stać przy grillu, przygotuje scenę i dekoracje. Prawdziwe pospolite ruszenie – mówi Małgorzata Dąbrowska. I dodaje: – Uważam, że ludzie są z natury dobrzy. A jak ktoś ma w sobie dużo złości, to być może życie go poturbowało i musi się w ten sposób odgrodzić od świata. Ale zawsze może do niego wrócić. A gdy wyjdzie się do innych i zrobi coś wspólnie, to już tak zostanie. Jak się złapie bakcyl bycia razem, to nie da się od niego uwolnić.

Ważnym elementem całej układanki jest też zaufanie. Jakiś czas temu do Bończy przyjechała wycieczka z Podlasia – goście chcieli zobaczyć, jak na Mazowszu działa rolniczy handel detaliczny. Zdziwili się trochę, gdy na pytanie: „Jak tego wszystkiego pilnujecie, na jakich zasadach funkcjonujecie?", padła odpowiedź: „Proszę pana, my sobie ufamy".

Wszystkie te aktywności – festyny, dożynki, klub seniora – to w rzeczywistości tylko preteksty, by ludzie wyszli z domu, spotkali się i znaleźli coś, co ich łączy. A wcale nie jest oczywiste, że tak małe społeczności utrzymują ze sobą ścisły kontakt. Niektórym może przecież przeszkadzać brak anonimowości, do tego bywa, że konflikty między domami są przekazywane z pokolenia na pokolenie, choć nikt już do końca nie pamięta, o co właściwie chodziło.

– Ludzie w Bończy nie są inni niż gdziekolwiek indziej, ale w wielu miejscach może po prostu brakować iskry, kogoś lub czegoś, co pchnie do działania – mówi sołtyska. Przyznaje jednak, że nie wie, jak będzie wyglądać przyszłość. Kiedyś sadownictwo było dość intratnym źródłem utrzymania, praca w sadzie gwarantowała przyzwoite życie bez strachu o jutro. Ale sytuacja się zmienia. Rosyjskie embargo na jabłka niekorzystnie wpłynęło na sytuację ekonomiczną, do tego dochodzą postępujące zmiany klimatu.

Na razie w Bończy mieszka sporo małżeństw w wieku 30-40 lat, ale kto wie, czy ich dzieci nie będą chciały przenieść się do dużego miasta. Dlatego najmłodszym też postanowiono dać możliwość wpływu na to, co dzieje się we wsi. Powołano Młodzieżową Radę Sołecką, która stanowi organ doradczy zebrania wiejskiego. To ostatnie zgodziło się, żeby to młodzi decydowali o tym, na co przeznaczyć część (2 z 11 tys. złotych) wspomnianego już funduszu sołeckiego. – Nie chodzi o ich widzimisię, tylko o wzięcie pod uwagę ich perspektywy. Staramy się w ten sposób od najmłodszych lat uczyć dzieci demokracji i tego, by interesowały się najbliższą okolicą – wyjaśnia sołtyska.

Bończa nie jest samotną wyspą. Okoliczne wsie co jakiś czas inspirują się tym, co się tu dzieje – biorą choćby udział w konkursach na wieńce dożynkowe i palmy wielkanocne. A wspólne działanie może być impulsem do tego, by nie czekać rok na kolejną edycję, tylko zacząć robić więcej rzeczy razem. Dumni z osiągnięć mieszkańcy Bończy cały czas robią to, co sprawia im tyle przyjemności.

– Materia ludzka jest nieprzewidywalna, więc modlę się, by nic złego się nie stało. O przyszłości myślę mimo wszystko z optymizmem. Gdybym patrzyła na to z boku, to pewnie sama chciałabym być częścią społeczności Bończy – podsumowuje Małgorzata Dąbrowska.

© JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

ARKADIUSZ ZIOLEK / EAST NEWS

Przekonanie o cywilizacyjnej wyższości miasta miało niegdyś uzasadnienie w roli wsi jako dostawcy żywności. Pola uprawne w gminie Konstancin-Jeziorna.

W pułapce lepszości

JAROSŁAW FLIS

Kilka milionów polskich „patrycjuszy" przeżywa powyborczą frustrację. Może warto dowiedzieć się o sobie czegoś nowego, zamiast utwierdzać się w dotychczasowym obrazie świata.

Dialog dwóch kobiet w sile wieku, zasłyszany na przystanku w podkrakowskiej wsi:

– Znowu nie ma rozkładu, znowu nie ma rozkładu!

– Kiedyś tego nie było, ale odkąd zaczęła się tu osiedlać ta hołota z miasta...

Taką anegdotę mogę przytoczyć bezkarnie, lecz gdyby ją odwrócić i skierować przeciw mieszkańcom wsi, powszechnie uznano by to za niegodne. Obelgi kierowane z góry na dół bolą bardziej, niż z dołu do góry. Dlaczego jednak w ogóle ktoś myśli o tym podziale w kategoriach lepszy–gorszy?

Bo o tym, że myśli, przekonywać chyba nie trzeba. Raczej zaskakiwać niektórych może twierdzenie, że nie jest to oczywiste. Od ponad dekady w kontaktach z dziennikarzami toczę zmagania związane z jednym słowem – „prowincja". Wkładają je w moje usta, autoryzując wywiady i parafrazując moje wypowiedzi – choć sam nigdy bym go nie użył. Zwykle bardzo się dziwią, dlaczego widzę w tym problem.

Żeby rzecz wyjaśnić – z moich obserwacji wynika, że słowo to pada w dwóch sytuacjach. Zasadniczo jest używane przez tych, którzy uważają się za mieszkańców metropolii, celem podkreślenia różnicy pomiędzy światem im bliskim a tym, który oni uważają za oczywiście inny i pośledni. Mają przy tym głębokie przekonanie, że jedynie obiektywnie opisują rzeczywistość, która przecież taka właśnie jest. Czasami robią to ze szczerą intencją dowartościowania. Lecz ich nieadekwatność najlepiej widać u tych, których takie określenie w domyśle dotyczy.

Adresaci tego słowa używają go – jeśli w ogóle – tylko w jednej sytuacji: gdy rozmawiają z kimś, kto sam siebie za „prowincję" nie uważa, za to ich z pewnością. Robią to defensywnie, wyprzedzająco, żeby już samemu powiedzieć od razu to, co i tak ma paść. Przypadki takiej dobrowolnej kapitulacji nie zmieniają faktu, że sami z siebie tak się nie widzą, za najważniejszą zaś różnicę pomiędzy sobą a stroną wielkomiejską uważają poczucie wyższości tej drugiej.

Przyjdą z miasta i zabiorą

Przekonanie o cywilizacyjnej wyższości miasta nad wsią miało niegdyś solidne uzasadnienie. Wieś dostarczała nadwyżki żywności, dzięki której mogły rozwijać się bardziej wyspecjalizowane usługi – od rzemiosła, przez medycynę, po edukację i naukę. Do tego potrzebna była społeczna masa krytyczna – skoncentrowana właśnie w miastach. Usługi wymagały bardziej wykwalifikowanych pracowników, którzy – zarabiając więcej – byli też sami częstszymi konsumentami wyższych usług. Często ich praca wykonywana była na rzecz państwa czy dworu, a więc opłacana z podatków zbieranych na wsi. To zaś skrzywiało wymianę miast z obszarami wiejskimi i dostarczało tym pierwszym kolejnego przywileju. Stąd głęboko zakorzenionym elementem chłopskiej tożsamości było przekonanie o krzywdzie i zagrożeniu ze strony onych: przychodzili skądinąd i odbierali owoce ciężkiej pracy, by dać je tym, z których pożytek jest wątpliwy.

Czynniki miastotwórcze się potęgują – im większe miasto, tym szybciej dalej się rozwija. Nie znaczy to wcale, że wszyscy kiedyś zamieszkają w jednym megamieście. Nie brakuje wszak ↦

↦ czynników działających w przeciwną stronę, zrównujących atrakcyjność, lecz przede wszystkim cywilizacyjny status miasta i wsi. Kluczową rolę odegrały tu instytucje państwa narodowego, wprowadzając jednolite standardy usług publicznych. Upowszechnienie osiągnięć cywilizacyjnych – od edukacji po infrastrukturę techniczną – zaczęło coraz intensywniej podnosić standard wiejskiego życia.

Dziś, w dobie indywidualnej motoryzacji, internetu i dekoncentracji produkcji, nie ma już żadnych poważnych powodów, by widzieć w mieście jedyny motor rozwoju. Powszechna na świecie suburbanizacja, gdy poza centra miast przenoszą się nie tylko mieszkańcy, lecz także wytwórczość, handel i usługi, jest tego wyraźną oznaką.

Przeprowadzka do miasta nie uczyni cię bogatszym

Jednak na sytuację poszczególnych społeczności ciągle wpływają przeszłe struktury. Miejsc pracy dla wykształconych jest więcej w centrach administracyjnych i akademickich, które kiedyś zostały rozmieszczone w większych miastach (choć nie wszędzie na świecie jest to regułą). Korzyści skali dotyczą logistyki i rynku pracy. Nie znaczy to wcale, że osoba o takim samym wykształceniu będzie bogatsza, jeśli przeprowadzi się do większej miejscowości. Istotna część zróżnicowania zamożności na osi wieś–miasto jest złudzeniem i wynika z innego „zagęszczenia" osób wykształconych.

To trochę tak, jakby uwierzyć, że osoby studiujące fizykę są średnio wyższe od osób studiujących biologię. Owszem, pomiar wzrostu i wyliczenie jego średniej to właśnie pokaże, lecz zależność jest pozorna, bo wynika tylko z faktu, że na fizykę idzie więcej mężczyzn, a na biologię więcej kobiet. Średni wzrost mężczyzn i kobiet na obu kierunkach na pewno się nie różni. Mylące uśrednianie zamożności potęgowane jest jeszcze przez ekonomiczne statystyki, które przypisują całość podatków tej miejscowości, w której jest centrala firmy – choć przecież, szczególnie w sieciach handlowych, zysk wypracowywany jest gdzie indziej.

Uprzywilejowanie i arogancja mają nieodmiennie wspólną cechę – ci, których one charakteryzują, dostrzegają je rzadziej niż ich otoczenie.

W bliższym oglądzie wykształcenie ma znacznie większe znaczenie dla dobrostanu niż miejsce zamieszkania. Wiejska nauczycielka czy kierownik gminnej oczyszczalni są bogatsi od warszawskiej kasjerki i wulkanizatora. Nie dostrzegamy tego, bo proporcje pomiędzy liczebnością „patrycjatu" i „ludu" zmieniają się wraz z urbanizacją. Powstaje więc kolejne poznawcze zniekształcenie – utożsamienie miasta z „patrycjatem", wsi zaś z „ludem".

Już tylko dla porządku trzeba przypomnieć, że ani rozróżnienie wieś–miasto, ani lud–patrycjat nie są ostre. To raczej przechył, stopniowe przesuwanie równowagi. Każdy 50-latek dostrzeże różnicę pomiędzy swoim aktualnym zdjęciem a tym sprzed ćwierć wieku, choć przecież nie sposób wskazać granicę, po przekroczeniu której ona zaistniała.

Suma rozdrażnień

Kolejny element układanki jest jeszcze mniej oczywisty. W większych miejscowościach „lud" jest znacznie mocniej zmarginalizowany. W mniejszych kontakt z władzą czy udział w wydarzeniach kulturalnych jest udziałem „ludu" znacznie częściej niż w metropoliach. Czy to radni, czy inne osoby obecne na tym samym wernisażu, bliżsi są szerokim rzeszom lokalnych mieszkańców. Z drugiej strony wykształceni „miastowi" nie muszą też koniecznie intensywniej uczestniczyć w życiu kulturalnym. Dialog młodego małżeństwa – ona, krakuska, pyta męża pochodzącego z małej miejscowości:

– Czym w zasadzie różni się tam życie?

– Widzisz, tam nie ma wszystkich tych instytucji, z których tu korzystamy...

Mimo to miejski „patrycjat" żywi przekonanie, że mieszkańców metropolii w naturalny sposób charakteryzuje wyższa kultura i światowy szyk. Niby nic stąd nie wynika: ani miejski „lud" się nie ukulturalnia, ani wiejski „patrycjat" nie „chamieje". Powtarzanie tego w kółko przez wielkomiejskie w końcu media powoduje jednak narastające rozdrażnienie całych społeczności. Im bardziej zbliżają się dochody, style życia, ubiór i aspiracje, tym bardziej razi skrzywione uogólnienie.

Staje się ono pożywką tak wielu zjawisk, że zasługiwałyby na szersze przebadanie i osobne opisanie. Kilka wyrazistych konsekwencji widać gołym okiem. Uprzywilejowanie i arogancja mają nieodmiennie wspólną cechę – ci, których one charakteryzują, dostrzegają je rzadziej niż ich otoczenie. Być może w ogóle szkoda czasu na ich wytykanie, jeśli ów uprzywilejowany arogant jest zadowolony z siebie i odnosi sukcesy. Jeśli jednak partie i kandydaci utożsamiający się z „patrycjatem" przegrywają któreś już wybory z rzędu, jeśli kilka milionów polskich „patrycjuszy" przeżywa powyborczą frustrację, to może powinni dowiedzieć się o sobie czegoś nowego, zamiast utwierdzać się w swoim dotychczasowym obrazie świata.

Odruch podkreślania swojej wyższości kulturowej i bycia „do przodu" względem tych „na dole" najwyraźniej prowadzi do pułapki. Stanowi obciążenie dla polityków, odbieranych przez „lud" jako rzecznicy interesów wielkomiejskiego „patrycjatu", utrudnia im zdobycie większości. Nie jest to zapewne dla nich największy balast, ale dlatego łatwo byłoby się go pozbyć. Gorzej, jeśli dla przedstawicieli „patrycjatu" odruch taki okazuje się pierwszym identyfikatorem podziału swój–obcy. A „lud" potrafi bezbłędnie rozpoznać poczucie wyższości. Być może jest przewrażliwiony, lecz chyba nie ci, co go prowokują, powinni mu to uświadamiać.

Dlatego warto się trzy razy zastanowić, zabierając się do analiz polskiego społeczeństwa, polityki i wyborów. Nieodparta potrzeba uogólnienia i uproszczenia złożonej rzeczywistości może ją komplikować jeszcze bardziej. I utrudnić nie tylko zrozumienie sytuacji, lecz po prostu wspólne życie.

© JAROSŁAW FLIS

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

ANNA

Dziewit-Meller:
I cóż, że 70 milionów

Taki tydzień, że nie wiadomo, o czym najpierw tu pisać. Bo czyż można nie wypowiedzieć się dziś na temat komendanta policji, który wskazuje na konferencji dotyczącej nocnych zatrzymań w Warszawie, jakim chwytem najlepiej „unicestwia się" przeciwnika, co byłoby zabawnym przejęzyczeniem, gdyby w sumie tak bardzo nim nie było? Trudno też nie pisać o tym, co dzieje się za wschodnią granicą: dzięki odwadze kilkorga polskich dziennikarzy mamy szansę to obserwować z coraz większym przerażeniem. Tak jak i o radosnej beztrosce mojego drugiego po Szumowskim ulubionego ministra, czyli Piontkowskiego, który ogólnie ma chyba fajną robotę, taką raczej lekką, bo od wszystkiego, co bardziej złożone, ma dyrektorów szkół.

Dobra jest też na pewno historia o planowanych podwyżkach dla posłów, w momencie, w którym właśnie opublikowany został raport dotyczący polskiej gospodarki, gdzie czarno na białym stoi, że dane za drugi kwartał 2020 r. są najgorsze w historii Polski. W sumie jednak – kiedy sobie dosypać, jak nie teraz, gdy idą ciężkie czasy? Myślę, że suweren powinien to zrozumieć, w końcu zawsze się tu szanowało ludzi zaradnych.

Świat się toczy w ciekawą stronę. Nie wiadomo, na co patrzeć w pierwszej kolejności, jak się spektakularnie wali. Czuję wieczorami bolesne skutki oczopląsu. Wśród hitów mijającego tygodnia jednak na pewno wymienić muszę projekt ustawy, który ma zapewnić bezkarność tym, którzy w czasie trwającej epidemii dopuszczą się popełnienia przestępstw i nadużyć. W uzasadnieniu tego nadzwyczajnego kasztana legislacyjnego posłowie piszą: „Celem ustawy jest wprowadzenie rozwiązania, które pozwoli wyłączyć bezprawność, a w konsekwencji przestępczość, czynu polegającego na naruszeniu obowiązków służbowych lub innych przepisów przez osobę działającą na rzecz zapobiegania oraz zwalczania choroby zakaźnej COVID-19. Konstrukcja proponowanego kontratypu nawiązuje do konstrukcji stanu wyższej konieczności". Przepisuję to dla Państwa i czynię to z trudem, bo pomiędzy kolejnymi słowami muszę poturlać się trochę po podłodze ze śmiechu. Powiem szczerze: jajcarze z PiS-u naprawdę biorą sprawy we własne ręce, na nic wszystkie wspaniałe memy o tym, że minister Sasin wywalił w błoto 70 milionów złotych – wywalił, bo mógł, nie mamy pańskiego płaszcza.

Chętnie się podszkolę, jeśli Państwo mają wiedzę na ten temat i mogą mi w listach do redakcji odpowiedzieć, jak szeroko można zabrnąć z interpretacją takiego fajnego przepisu o „innych przepisach"? Przykład z życia: widziałam wczoraj w sieci kobietę, której ktoś w sklepie kazał założyć maseczkę, ona nie chciała i wróciwszy do auta, nagrała filmik życząc w nim śmierci ludziom, którzy kazali jej włożyć maseczkę, a także wszystkim innym wkładającym je „na swoje ryje". I teraz pytanie: czy gdyby taka kobieta napadła na mnie za noszenie maseczki lub za nachalne moje pytanie, gdzie podziała swoją (a robię to, *sorry*), a ja bym ją zatrzymała, nawrzeszczała, co myślę o takich ludziach i ich stanie umysłowym, lub przymusiła do założenia maseczki – byłoby to działanie objęte ustawą? W końcu przeciwdziałam COVID-19, nie?

Albo to – gdyby tak np. pewnego wrześniowego dnia zabrać w cholerę dziecko z otwartej już, przepełnionej szkoły, do której będzie musiało chodzić, choć w bliskiej rodzinie ma osoby chore na raka i z niską odpornością po radioterapii, to czy łamiąc obowiązek szkolny, chroniąc się przed COVID-19, podpada się pod tę ustawę czy nie?

Pytań mam wiele. Ale zacznijmy od tych dwóch. Dopisujcie swoje, przeciwdziałanie chorobie niejedno ma imię (ale na nazwisko ma zawsze „Sasin", pamiętajcie). ©

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl
- w każdą środę – do bieżącego wydania
- do ponad 60 tys. tekstów archiwalnych, dodatków i podkastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu – na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra i czytaj „Tygodnik" **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

DLACZEGO MIAŁBY KŁAMAĆ

W tej nietypowej pielgrzymce – bez dyscypliny, zakazów, nakazów – szedł kto chciał. Hipisi, abstynenci, alkoholicy i narkomani. I ci, którzy szli po małolaty.

TEKST ANNA GOLUS
ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

ROK 2019:
POCZĄTEK PSYCHOTERAPII ANNY
Anna: To moja wina.
Psychoterapeutka: A gdyby coś takiego spotkało pani córkę? To byłaby jej wina?
Anna: Nie! Ale jej to nie spotka, bo ona umie powiedzieć „nie".
Psychoterapeutka: No właśnie. A pani nie umiała i on to wykorzystał. Był dorosłym mężczyzną, a pani dzieckiem. To nie pani wina.
Anna: Moja.

ROK 2000:
PAMIĘTNIK 15-LETNIEJ ANI
Dziś ok. 18.00 zaczepił mnie jeden hipis. Zaczęliśmy gadać. Poszliśmy do cafe internet i H. pokazał mi strony internetowe dzieci kwiatów! Wydrukował mi też trasę pielgrzymki hipisowskiej z Gniezna do Częstochowy. Przed 20.00 już się całowaliśmy. Umówiliśmy się na jutro o 14.00... Wciąż nie mogę w to uwierzyć. A tak przy okazji: H. ma 39 lat.

ROK 2019:
FACEBOOKOWA GRUPA UCZESTNIKÓW PIELGRZYMEK MŁODZIEŻY RÓŻNYCH DRÓG
Janek: Myślisz, że ten Jezus, gdyby kilkanaście lat temu pojawił się na pielgrzymce, widział chlaństwo, ćpanie, zabawy do rana, tolerancję dla pedofilów, „pacyfistów" biegających z nożami, odłożenie Boga i modlitwy na bok, byłby szczęśliwy?
Małgorzata: Dla pedofilów? To chyba nie na pielgrzymce.
Janek: Tak, pedofilów. Jest to jedna z tych rzeczy, których do dzisiaj nie mogę zrozumieć: tolerancja wobec kilku starych „polujących" na młode „hipiski" – jeszcze dzieci – aby się z nimi przespać, dzieci, które często nie miały w domu miłości i którym łatwo było zawrócić w głowie, którym w ten sposób rujnowano często życie. I na każdej pielgrzymce ten sam schemat kilkakrotnie powtarzany. Tacy ludzie powinni kończyć w kryminale, a na pielgrzymki powinni mieć zakaz wstępu.

ROK 2000:
PAMIĘTNIK ANI, DWA DNI PO TYM, JAK POZNAŁA H.
Wolna miłość... H...

ROK 2000:
PAMIĘTNIK ANI, TRZY DNI PO TYM, JAK POZNAŁA H.
Naprawdę ze wszystkich sił staram się nie zakochać w H. Naprawdę. Ale dziś, kiedy zaprosił mnie do kina, kiedy poszliśmy do kawiarni, kiedy kupił mi czerwoną różę, ewangelię hipisowską („Prorok" – Khalil Gibran), owoce, kiedy był taki... taki wspaniały, kiedy zwierzał mi się i szukał u mnie pocieszenia, kiedy powiedział bardziej do siebie niż do mnie, że chciałby uciec ze mną na parę lat do Indii... O Boże...

ROK 2012:
INTERNETOWE FORUM UCZESTNIKÓW PIELGRZYMEK MŁODZIEŻY RÓŻNYCH DRÓG (WWW.DOZIEMIOBIECANEJ.PL/FORUM), WĄTEK „MOLESTOWANIE SEKSUALNE NA PIELGRZYMKACH I ZLOTACH"
Carina: Chciałabym też usłyszeć (albo przeczytać) zdanie organizatora tych imprez, co o tym myśli i jaką ma wiedzę na ten temat? Przecież zapraszając na pielgrzymkę dzieci i różnych włóczęgów, często z przeszłością kryminalną, co widać po ich tatuażach, doprowadza właśnie do możliwości molestowania nieletnich dziewczyn przez dorosłych, często bardzo zdemoralizowanych mężczyzn. Dając im wspólny nocleg, czy to na dużej sali, czy wysyłając po kilka osób do domów prywatnych, bez jakiegokolwiek nadzoru, w grupach składających się ze starszych mężczyzn lub degeneratów z przeszłością kryminalną lub narkotykową i nieznających ich nastolatek, stwarza właśnie możliwość (oby tylko) do molestowania. Czy dalej mamy o tym milczeć i w obawie

↦

↦ przed ewentualnymi konsekwencjami nagłośnienia problemu udawać, że go nie ma?
Kaja: Pytanie, na ile jest to prawdziwy problem, a na ile kolejna prowokacja mająca na celu zdyskredytować pielgrzymkę? Przecież jeśli coś takiego faktycznie miało/ma miejsce, to dlaczego akurat teraz ktoś zgłasza ten problem i dlaczego na forum, a nie osobiście np. do organizatora pielgrzymki „po zajściu", przedstawiając konkrety. Kto, kiedy, co i jak?
Dosia: Problem istniał (być może nadal istnieje?), był powodem mojego wycofania się z pielgrzymek wiele lat temu.
Majka: Zadam dla niektórych banalne pytanie: dlaczego jest tyle ataków na pielgrzymkę Młodzieży Różnych Dróg? To jest zadziwiające.
ChrzanKa: Dla mnie jest to jasne, dlaczego pielgrzymka jest atakowana! (...) Jeśli dana wspólnota rośnie w Mocy Bożej, to pomyślcie sami! Komu zależy na tym, żeby to rozwalać? Kto się wścieka? Diabeł będzie mieszał i to coraz bardziej. Trzeba być tego świadomym.
A. Szpaku: Dziewczynom proponujemy wobec gwałcicieli parę rad na pielgrzymkach i zlotach:
1. Użyć na nich zębów, pazurów, pięści i innych narzędzi.
2. Krzyczeć: ratunku, pomocy... itp.
3. Oskarżyć na najbliższym posterunku milicji.
4. Nie dawać okazji...
5. Trzymać się starego porzekadła „Jak suka nie da, to pies nie dostanie".

ROK 2000:
Pielgrzymka Młodzieży Różnych Dróg
Ania i H. idą na pielgrzymkę jako „para", śpią w prywatnych domach, we wspólnych łóżkach i nikt się temu nie dziwi. Ich „związek" szybko się rozpada, bo wśród wielu nastolatek „różnych dróg" H. bez problemu znajduje i wykorzystuje kolejną młodą dziewczynę. Ks. Andrzej Szpak, który prowadzi tę pielgrzymkę, i inni obecni na niej duchowni nie reagują, nic nie mówią z ambony ani zza zbudowanego z plecaków ołtarza, że takie relacje są krzywdzące dla młodych dziewcząt, nie przepędzają H., który przecież nie po raz pierwszy wykorzystuje tę pielgrzymkę do polowania na nastolatki.

OD ROKU 1979:
Pielgrzymka Młodzieży Różnych Dróg
Historia tej pielgrzymki sięga 1979 r., kiedy niewielka grupa hipisów idzie z charyzmatycznym salezjaninem ks. Andrzejem Szpakiem z Warszawy na Jasną Górę. Przez trzy lata hipisi i Szpak pielgrzymowali w ramach warszawskiej pielgrzymki akademickiej, a od 1982 r. osobno, za każdym razem z innej miejscowości, jako „Pielgrzymka Młodzieży Różnych Dróg".
W tej nietypowej pielgrzymce bez dyscypliny, zakazów i nakazów szybko zaczęli bowiem chodzić przedstawiciele innych subkultur: punki, metale, rastafarianie i każdy, kto chciał. Szli katolicy, chrześcijanie innych wyznań, buddyści, agnostycy, ateiści i sekciarze. Szli abstynenci, alkoholicy i narkomani. Młodzi i starzy. Jedni się nawracali, inni tracili wiarę albo możliwość praktykowania jej poza szpakowiskami (bo msze i spotkania ze Szpakiem to były duchowe odloty i po takim „świętym haju" trudno było odnaleźć się na zwyczajnej mszy). Jedni wyzwalali się z nałogów, inni w nie wpadali.
Szpak nie odrzucał nikogo i prowadził tę pielgrzymkę do końca swojego życia w 2017 r. Dziś pielgrzymka nadal jest organizowana i czerpie ze swojej niebanalnej tradycji, choć nie różni się już zbytnio od innych pielgrzymek – stopniowo stawała się coraz bardziej katolicka, zwyczajna i rodzinna (co nie wynikało wyłącznie z dojrzewania i nawracania „młodzieży", ale też z dołączania do Szpaka osób związanych z Oazą czy Neokatechumenatem).

ROK 2000:
pamiętnik Ani, pięć dni po tym, jak poznała H.
Wymiękam. Już zresztą prawie całkiem wymiękłam. Nie mam siły, żeby wstrzymywać się przed tym cholernym, przygnębiającym, dobijającym, trudnym, bolącym, lecz najpiękniejszym i najważniejszym na świecie uczuciem. Zresztą będzie, co ma być....

ROK 2019:
facebookowa grupa uczestników Pielgrzymek Młodzieży Różnych Dróg
Dorota: Małgosia, tak było. Osoby poniżej 15 lat. Sama miałam na pierwszej pielgrzymce lat 14 i tak było, jak pisze Janek. Lata pielgrzymek 1984-1986.
Marlena: Dorota, ale wyglądałaś na więcej. Nie było tych 13-tek tak dużo.
Małgorzata: Dorota, były osoby poniżej 15-tki. Ale że sypiały z facetami? Hmmm... (...)
Dorota: Marlena, wyglądałam, ale nikt o wiek nie pytał. Widziałam, co widziałam. Małgorzata, nikt nie pisze o spaniu z kimś, tylko o „uderzaniu" do młodych lasek.
Małgorzata: Dorota, ale było o pedofilii, a to nie tylko „uderzanie".
Dorota: Małgorzata, pielgrzymka – było jak na zlotach, a jeżeli na zlotach nie bywałaś, to nie wiesz, jak było. A jeżeli bywałaś, to sama wiesz i nie ma co ubierać w piękne słówka.

ROK 2000:
pamiętnik Ani, siedem dni po tym, jak poznała H.
H. powiedział mi dziś na placu zabaw, że mnie kocha.

ROK 2019:
facebookowa grupa uczestników Pielgrzymek Młodzieży Różnych Dróg
Mariusz: Pielgrzymka dróg rodnych, ale już nie smrodnych.
Janis: Czyli Ci śmierdzimy?
Mariusz: Janis, przecież piszę, że już nie. Nie ma już teraz na pielgrzymce (przynajmniej nie widziałem) starych hipów wykorzystujących nieletnie dziewczyny zafascynowane tą ideologią, oczarowane wizją „wolnej miłości". Nie ma już przypadków, kiedy pierwszy strzał w żyłę odbywa się właśnie na „Szpakowskiej". Nie ma już bijatyk. Jest dużo smrodu hipokrytów, do których sam się zaliczam, ale z tej dwulicowości nie ma niechcianych ciąż, nowych narkomanów, złamanych nosów...

ROK 2000:
pamiętnik Ani, osiem dni po tym, jak poznała H.

Boję się, że H. kłamie. Po ostatnich przejściach trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby się we mnie bezinteresownie zakochać. Ale z drugiej strony, dlaczego H. miałby niby kłamać?

ARTYKUŁ 199 KODEKSU KARNEGO
Seksualne nadużycie stosunku zależności lub krytycznego położenia
§ 1. Kto, przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia, doprowadza inną osobę do obcowania płciowego lub do poddania się innej czynności seksualnej albo do wykonania takiej czynności, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.
§ 2. Jeżeli czyn określony w § 1 został popełniony na szkodę małoletniego, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.
§ 3. Karze określonej w § 2 podlega, kto obcuje płciowo z małoletnim lub dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej albo doprowadza ją do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania, nadużywając zaufania lub udzielając w zamian korzyści majątkowej lub osobistej albo jej obietnicy.

ROK 2020:
ANNA PO PONAD ROKU PSYCHOTERAPII
Psychoterapeutka: Nadal czuje się pani winna?
Anna: Nie. Miałam 15 lat, byłam dzieckiem, a on dorosłym mężczyzną, zostałam wykorzystana. Szkoda, że to się przedawniło. Ale nie zostawię tego tak.

■ ■ ■

SPISUJĘ POWYŻSZY SZKIC I WYSYŁAM DO redakcji „Tygodnika Powszechnego". Słyszę, że trzeba podjąć ten temat, ale nie ja powinnam to zrobić, bo nie można być bohaterką i autorką takiego tekstu. Rozumiem to i jestem bliska rezygnacji z pisania, zwłaszcza że na myśl o kontakcie z H. czy duchownymi, którzy nie reagowali, gdy on i jemu podobni wykorzystywali przez parę dekad kolejne bardzo młode dziewczyny, mam na przemian lęki i mdłości. Ale nie chcę być ofiarą, nawet tylko w reportażu, nawet anonimowo, już nigdy i nigdzie. Chcę zmierzyć się z tym sama.

Ania i H. na pielgrzymce śpią we wspólnych łóżkach.
Nikt się temu nie dziwi. Ich „związek" szybko się rozpada. H. bez problemu znajduje kolejną nastolatkę.

Pedofile?

Zaczynam od lektury własnego pamiętnika i forów internetowych uczestników pielgrzymki. Grupa na Facebooku („40 rok w drodze do Ziemi Obiecanej"), obecnie licząca 1375 członków, nie jest wprawdzie publiczna, ale wystarczy powiedzieć, że znało się Szpaka albo było się na choć jednej z już ponad 40 pielgrzymek, by zostać przyjętym i móc poczytać o „tolerancji wobec kilku starych »polujących« na młode »hipiski« – jeszcze dzieci – aby się z nimi przespać". Autor tego komentarza określa H. i jemu podobnych mianem pedofilów, bo ich nastoletnie ofiary pod względem psychoseksualnym, emocjonalnym i społecznym były jeszcze dziećmi, a dojrzały mężczyzna widzi w 15-letniej dziewczynie – bez względu na to, jak bardzo rozwinięte jest jej ciało – dziecko, nie obiekt seksualny.

Mężczyźni uwodzący nastoletnie, znacznie młodsze od nich dziewczęta na pielgrzymkach Szpaka (czy, jak w tym przypadku, przed tą pielgrzymką, potraktowaną jako wabik) nie są jednak pedofilami. Pedofil w znaczeniu medycznym to ktoś, kto czuje pociąg seksualny wyłącznie do dzieci przed okresem dojrzewania, ale nie zawsze realizuje ten popęd. Można być pedofilem, ale wcale nie krzywdzić dzieci. Można też krzywdzić seksualnie dzieci, nie będąc pedofilem – tzw. czyny pedofilne bywają dokonywane również przez osoby, które czują pociąg do dorosłych, ale zastępczo realizują go wykorzystując dzieci.

Mianem pedofila określa się jednak w mediach każdego, kto podejmuje jakąkolwiek aktywność seksualną z osobą przed 15. rokiem życia, bo polskie prawo bezwzględnie chroni dzieci do 15. roku życia. Tzw. wiek przyzwolenia, czyli wiek, od którego według prawodawców można wyrazić świadomą zgodę na stosunek seksualny, to w naszym kraju właśnie 15 lat – bez względu na to, ile lat ma partner. W niektórych krajach różnica wieku ma znaczenie i osoby takie jak H. są ścigane (bo uznaje się za oczywiste, że każdy stosunek seksualny dorosłego i nastolatka, gdy różnica wieku między nimi przekracza kilka lat, jest wykorzystaniem seksualnym tego drugiego). U nas natomiast takie osoby przez kilka dekad znajdowały sobie azyl na pielgrzymce prowadzonej przez księdza, który radził znajdującym się pod jego opieką dziewczynom „trzymać się starego porzekadła »Jak suka nie da, to pies nie dostanie«".

Być może takich mężczyzn można określić mianem nimfofilów czy efebofilów, którymi to terminami nazywa się niekiedy ludzi odczuwających pociąg do osób w okresie dojrzewania (Zbigniew Lew-Starowicz w jednym z wywiadów precyzował, że granicą jest tu 16.-17. rok życia). Najprawdopodobniej jednak ta ich preferencja wynikała wyłącznie z tego, że łatwiej jest uwieść nastoletnią zagubioną dziewczynę niż dorosłą, dojrzałą kobietę.

Psychopaci?

W 2005 r. znowelizowano kodeks karny, rozszerzając artykuł 199 o dwa paragrafy, teoretycznie zapewniające ochronę przed wykorzystywaniem seksualnym osobom w wieku 15-18 lat, dotychczas niechronionym wcale (osoby do 15. roku życia są chronione zapisami art. 200 kk). Informacja o tym, że nie wolno już nadużywać zaufania nastolatek, najwyraźniej nie dotarła na szpakowiska, skoro w wydanej w 2013 r. książce Karoliny Kmiecik-Jusięgi „Szpaku. Metody pracy księdza Andrzeja Szpaka z Młodzieżą Różnych Dróg" czytamy, że ludzie tacy jak H. nadal pojawiali się na pielgrzymkach i zlotach.

Kmiecik-Jusięga pisze: „Na szpakowiskach pojawiały i pojawiają się także ↦

↦ osoby z rozmaitymi zaburzeniami w zachowaniu, wynikającymi z niedojrzałości emocjonalnej, chorób psychicznych, często o charakterze schizofrenicznym oraz o psychopatycznym rysie osobowości. Te osoby w konfrontacji z nadwrażliwymi emocjonalnie tworzą niejednokrotnie »mieszankę wybuchową«, która prowadzi do bardzo negatywnych konsekwencji, szczególnie w życiu tych drugich".

Niestety autorka nie rozwinęła tego wątku. W innym miejscu zawarła natomiast katalog uczestników pielgrzymek Szpaka. Klasyfikacja ta zawiera kilkanaście grup pielgrzymów, które, jak zaznacza Kmiecik-Jusięga, pojawiały się w całej historii pielgrzymki (czyli w momencie wydania tej książki przez 35 lat). Jedną z tych grup autorka charakteryzuje w następujący sposób:

„Psychopaci – głównie mężczyźni pozostający na granicy prawa karnego i moralnego, nierzadko po wyrokach i odbytych karach pozbawienia wolności, którzy uczestnicząc w pielgrzymce, mieli na celu deprawowanie młodych dziewcząt, zwabianie ich do swoich mieszkań bądź też okradanie. Do tej grupy można także zaliczyć złodziei, którzy przyjeżdżali na pielgrzymkę, znając jej specyfikę, tylko po to, by przywłaszczać sobie cudzą własność. Zgłaszali się na ochotnika do transportu bagaży i okradali pielgrzymów. Wyrachowani, sprawiający pozory inteligentnych, oczytanych, myślących, ale z wyimaginowaną przeszłością, o której potrafili długo opowiadać swoim ofiarom. Także wykorzystujący seksualnie zaślepione młode dziewczęta, przekonane o swoich zdolnościach »resocjalizacyjnych« czy »terapeutycznych«".

Dlaczego tacy „psychopaci" nie byli wypraszani z organizowanych przez księdza zlotów i pielgrzymek? W tej publikacji – choć jej autorką jest doktor pedagogiki, a recenzentem doktor psychologii i doktor habilitowany nauk teologicznych, franciszkanin Borys Jacek Soiński, profesor UAM – nie ma odpowiedzi na to pytanie. Chyba że za wyjaśnienie uznamy fragment: „Należy dać szansę każdemu, twierdzi ks. Szpak. Zdarzało się, że akceptował i tłumaczył najgorsze zachowania, takie jak kradzieże".

W innym miejscu czytamy, że „istnieje mentalność grupowa osób skupionych wokół ks. Szpaka. Polega ona na specyficznej wrażliwości i akceptacji wszelkich, nawet najbardziej dziwacznych postaw i zachowań. Nie toleruje się jedynie agresywnych i takich, które mają podłoże patologii seksualnych, choć te nie zawsze są zauważane przez większość". Najwyraźniej „związki" 40-letnich mężczyzn i 15-letnich dziewcząt nie miały w opinii tej grupy podłoża patologii seksualnej. Były przecież widziane przez większość, bo nikt się z nimi nie krył. Nawet w jednym z filmów dokumentalnych o szpakowiskach („Hej, Szpaku" z 2004 r.) widać starego hipisa z bardzo młodą dziewczyną. Ona wygląda na 15 lat, a on z bezzębnym uśmiechem mówi, że jest jego „narzeczoną" od wczoraj.

Hipisi?

A może tolerowano H. i jemu podobnych, bo traktowano ich jak uzależnionych (od seksu) i dążono do tego, by ich nawrócić? Kmiecik-Jusięga pisze, że „skuteczność, szczególnie w pracy z uzależnionymi, to nie liczba wyleczonych (zaleczonych), ale tych, którzy uwierzyli w Boga. (...) Szpak mówił: ja nie wiem, czy on wyjdzie z narkomanii, nie wiem, czy on będzie zdrowy – ja walczę, żeby on umarł jako człowiek wierzący, żeby godnie umierał".

A może tolerowano ich, bo traktowano ich jak dzieci? W innej książce o Szpaku, wywiadzie z nim autorstwa Mariusza Czai „Idź, Mojżeszu. O pielgrzymce, hipisach i ziemi obiecanej" (wyd. 2015), duszpasterz hipisów mówi: „Niestety hipisi często byli ludźmi o trochę spóźnionym rozwoju. Długo czasami trzeba było czekać, żeby dojrzali osobowo. Taki człowiek nie jest zdolny do zawarcia małżeństwa, do założenia rodziny". Czaja nie zapytał jednak Szpaka o akceptację „psychopatów", a teraz już nikt o nic go nie zapyta.

Pytam więc innych duchownych, których pamiętam z pielgrzymki (o. Borysa Jacka Soińskiego, dominikanina, który chce zachować anonimowość, i pastora Społeczności Ewangelicznej w Łodzi Fryderyka Dariusza Domaradzkiego): dlaczego przez parę dekad Szpak i inni duchowni obecni na pielgrzymce (a jak czytamy u Czai, było ich w sumie „stu, a może i więcej") tolerowali H. i innych „starych hejów" wykorzystujących seksualnie bardzo młode dziewczyny?

Pastor Domaradzki odpowiada, że choć brał udział w ponad 30 pielgrzymkach (po 1993 r. przez dwa, trzy dni), nie był świadkiem takich zachowań. Dominikanin przypomina, że to była specyficzna pielgrzymka młodzieży różnych dróg i ludzi w różnym wieku, w tym starych hipisów, którzy uważali, że to ich dzieło, nie Szpaka, a do innych duchownych mówili: „Pielgrzymka jest dla hipisów, Szpak ma swoje zasługi, a wy przychodzicie się tu tylko zabawić na chwilę, by potem opowiadać przed innymi, jacy jesteście świetni i odważni, bo nie boicie się narkomanów i degeneratów. A potem macie to wszystko w d...". Wyjaśnia też, że duszpasterzowanie na tej pielgrzymce „to było przede wszystkim bycie i służenie tymi darami czy talentami, które mieliśmy. Ja np. dużo grałem i rozkręcałem wątki muzyczne. Kto był księdzem, jak Borys, na okrągło spowiadał, pamiętam franciszkanów, którzy ogarniali rzeczy techniczne. Generalnie rządziła zasada: hipisi się ogarniają sami, bo jest to ich pielgrzymka, a my służymy, w czym możemy".

Na moje pytanie odpowiada natomiast: „Zupełnie nie miałem świadomości nadużyć, o których piszesz. Byłem świadomy koedukacji często podpieranej hipisowskim hasłem: »my tu sobie krzywdy nie robimy«". Dopytany, czy naprawdę nie widział takich „par" (jak H. i ja) i mężczyzn, którzy na każdej pielgrzymce mieli kolejne niepełnoletnie „partnerki", wyglądające jak ich córki albo wnuczki, pisze: „Widziałem wiele ciągle zmieniających się układów, ale nie postrzegałem tego jako pary. Pamiętam jedną parę (bo tu widziałem, że to jest para), co do której miałem niepokój i chciałem porozmawiać, bo różnica wieku była znacząca, ale dziś są szczęśliwym małżeństwem z czwórką dzieci, więc nie wiem, na ile słuszne były moje niepokoje, choć może były?".

Dodaje też: „Jestem za stawaniem w prawdzie i nazywaniem rzeczy po imieniu. Mając świadomość sposobu funkcjonowania mediów, obawiam się jednak powstania zbyt prostej łatki pt. »ks. Andrzej Szpak zgadzał się na pedofilię na pielgrzymce«. I zadaję sobie pytanie, czy o to nam chodzi? I w kontekście śp. Andrzeja, i obecnej pielgrzymki. Jakie dobro wyniknie z takiej, mam nadzieję nie spłaszczonej, prawdy/doświadczenia? Piszesz – decydujesz – bierzesz odpowiedzialność. Trudne! Można zadawać pytanie: kto jest odpowiedzialny za to, co się stało? Kto jest winien? To ważne py-

tania. Jaka jest odpowiedź? Myślę, że nieprosta".

Ojciec Borys (recenzent książki Kmiecik-Jusięgi) twierdzi, że „nic mu nie wiadomo o tym, aby jakieś osoby »przyjeżdżały tam głównie lub wyłącznie w celu wykorzystywania kolejnych nastolatek«". Zapewnia również, że „nie wiadomo mu o żadnym przypadku wykorzystywania seksualnego osoby poniżej 15. roku życia przez osobę dorosłą na pielgrzymkach hipisowskich organizowanych przez śp. ks. Andrzeja Szpaka", choć wyraźnie pytam o „dziewczęta niepełnoletnie", „nastolatki", podkreślając, że chodzi mi także o osoby w wieku 15–18 lat. Pisze też: „Zawsze jednak, jak w każdym innym środowisku, np. dziennikarskim, są osoby, które prowadzą podwójne życie, o którym »ktoś coś wie« i »o czym się mówi«, ale nie wszyscy w redakcji o tym wiedzą, zwłaszcza przełożeni. Nie wiem, na ile można wtedy mówić o tolerowaniu takiego stanu rzeczy przez głównego redaktora".

Na koniec podkreśla, że na pielgrzymki hipisowskie przyjeżdżał, tak jak na festiwale muzyczne, czyli „w celach duszpasterskich, a nie jako organizator", i przypomina o tajemnicy spowiedzi.

Indywidua?

Być może powinnam była zadać to pytanie tak jak wielokrotna uczestniczka pielgrzymek w wywiadzie przeprowadzonym w 2013 r. i opublikowanym na stronie pielgrzymki doziemiobiecanej.pl z okazji „25. rocznicy Święceń Kapłańskich Borysa OFM, którego wkład w naszą pielgrzymkę był ogromny" (nie ujawniam jej personaliów):

„*KCh:* Nie wiem, czy to jest temat... Ale tak z ciekawości... Najwyżej się wytnie. Ja sama na pielgrzymce widziałam młode dziewczyny wokół starego hipisa, tacy podrywacze po prostu (śmiech).
Borys Soiński: Tak, to było zjawisko...
KCh (ze śmiechem): Było to zjawisko, nie?
BS: ...dość widowiskowe. I ciekawe właśnie było, że taki hipis potrafił zafascynować wiele młodych dziewczyn. Myśmy to obserwowali z perspektywy czasu, że ktoś przez kilkanaście pielgrzymek się pojawiał i ciągle inne dziewczyny koło niego były.
KCh: I to dużo młodsze, piękne, niegłupie.

Zapytałam H., czy nadal uważa, że takie „związki" jak nasz są w porządku. H. manipulował, zmieniał temat.
Przypominał, że przecież wtedy nie narzekałam.

BS: No dużo młodsze. (...) Były takie osoby, indywidua, które właściwie z ruchem hipisowskim nie miały nic do czynienia, ale wiedziały, że mogą tutaj łowić sobie nowe zdobycze.
KCh: Ale marginalny był chyba taki problem stosunkowo?
BS: Marginalny, ale widoczny.
KCh: Widoczny?
BS: Widoczny. Ja się sam spotkałem z atakami na mnie i na księdza Andrzeja, że pielgrzymka demoralizuje, że jakaś tam osoba niepełnoletnia trafiła na tę pielgrzymkę i weszła w środowisko i zeszła na złą drogę, i że te pielgrzymki powinny być zakazane, a ksiądz Andrzej powinien był ukarany. Właśnie osoby, które zostały wykorzystane, które zostały wciągnięte, bo to często się też łączyło z narkotykami".

Dzień po tym, jak o. Borys odpisał na mojego maila, wywiad usunięto ze strony internetowej pielgrzymki, a nawet z pamięci podręcznej wyszukiwarki Google. Nadal jednak można go było znaleźć np. w wyszukiwarce Bing i posłuchać, jak Borys opowiada, że przez kilka pierwszych lat organizował pielgrzymkę („jako kleryk byłem zaangażowany w organizację, kwatermistrzostwo, objeżdżanie, załatwianie (...), żeby Szpak nie musiał myśleć o wielu sprawach") i że prosił wówczas Szpaka, by wyrzucał z pielgrzymki niektóre osoby, np. nadużywające alkoholu, co zdarzyło się tylko raz („parę razy Szpakowi tak próbowałem wejść na sumienie, że trzeba kogoś wyrzucić (...) Szpak był nieugięty, nigdy nikogo nie chciał wyrzucić. Raz się zgodził i nawet odprowadziliśmy delikwenta, żeby odjechał, patrzyliśmy jeszcze, czy nie wysiądzie. No, ale on był chory psychicznie i on był zagrożeniem dla siebie").

Ze strony pielgrzymki usunięto również cytowany powyżej forumowy wątek o molestowaniu seksualnym. Przewidując taką sytuację, zapisałam wszystkie cytowane tu strony. Z internetu usunięto też całą stronę jednego z uczestników pielgrzymki, do którego zwróciłam się, szukając kontaktu do H. – www.hipisi.pl. Nie było na niej żadnych tekstów wartych cytowania w tym artykule, za to sporo fotografii mogących go zilustrować (przedstawiających bardzo młode dziewczęta w objęciach znacznie starszych mężczyzn). Jednak jak wyżej: nic straconego.

Podczas pisania tego tekstu skontaktowałam się również z H. Zapytałam, czy nadal uważa, że takie „związki" jak nasz są w porządku, i jak to możliwe, że 40-letni mężczyzna interesuje się 15-letnią dziewczyną. H. próbował manipulować mną, zmieniać temat, przypominać, że przecież wtedy nie narzekałam i że nie tylko on postępował w ten sposób, bo nawet jakiś doktor po KUL-u miał na pielgrzymce 15-letnią dziewczynę, a Pan Jezus też był w więzieniu, ale w końcu, po wielokrotnym powtórzeniu pytania, stwierdził, że różnica wieku to nie problem, bo to była „taka specyfika", i że nie miał żadnych dylematów moralnych.

Podobne pytanie (czy według hipisów „związek" 40-letniego mężczyzny z 15-letnią dziewczyną to „wolna miłość"?) zadałam innemu staremu, starszemu od H. hipisowi, który opisuje na stronie www.hipisiwrozstajach.wordpress.com historię polskiego ruchu hipisowskiego i pielgrzymek Szpaka. Nie otrzymałam odpowiedzi. ©

AUTORKA *jest publicystką, inicjatorką kampanii „Kocham. Nie daję klapsów" oraz akcji „Książki nie do bicia", specjalizuje się w tematyce praw dziecka. Ostatnio wydała „Dzieciństwo w cieniu rózgi. Historia i oblicza przemocy wobec dzieci".*

Autorka dziękuje swojej psychoterapeutce Ewie Topór-Nawareckiej

WILLIAM LOVELACE DAILY EXPRESS / GETTY IMAGES

Marsz z Selma do Montgomery. Na czele idą m.in. Martin Luther King (w czarnym płaszczu), John Lewis (w białym płaszczu), pastor Ralph Abernathy (w krótkiej kurtce), rabin Abraham Joshua Heschel (z lewej strony M.L. Kinga) i pastor Fred Shuttlesworth., 21 marca 1965 r.

W imię Boga i demokracji

ZUZANNA RADZIK

W roku, w którym Ameryka kipi od protestów przeciw rasizmowi, odeszli dwaj wielcy przywódcy ruchu na rzecz praw obywatelskich.

Tego samego dnia, 17 lipca 2020 r., zmarli kongresmen John Lewis i pastor C.T. Vivian, którego Martin Luther King nazywał największym kaznodzieją wszech czasów. Widać ich na słynnym zdjęciu z marszu z Selmy do Montgomery (Alabama): idą na przedzie, ramię w ramię z Kingiem, rabinem Abrahamem Joshuą Heschelem, Ralphem Bunche'em i ks. Fredem Shuttlesworthem.

Dwa tygodnie wcześniej, 7 marca 1965 r., sześćset osób szło z Selmy do Montgomery, domagając się prawa do głosowania dla czarnoskórych obywateli oraz protestując przeciw morderstwu aktywisty Jimmiego Lee Jacksona. Uzbrojeni po zęby policjanci stanowi zatrzymali pochód na moście Edmunda Pettusa (nazwanego tak na cześć konfederata, senatora i przywódcy Ku Klux Klanu w Alabamie), a gdy protestujący odmówili rozejścia się, zaatakowali ich gazem, pałkami owiniętymi drutem kolczastym oraz pejczami. Rannych zostało kilkadziesiąt osób, stąd ten dzień nazywany jest „krwawą niedzielą".

Czarnymi Amerykanami idącymi w obu tych protestach kierowała duchowość niosąca nadzieję, że Bóg zainterweniuje w obliczu wielkiej niesprawiedliwości, tak jak wtedy, gdy rozdzielił przed Izraelem wody Morza Czerwonego. Łączyło ich też – uniwersalne dla wszystkich religii – przekonanie, że w oczach Stworzyciela wszyscy jesteśmy równi.

Sumienie narodu

Trudno nie pamiętać o religijnych korzeniach tego ruchu patrząc na to, ilu stało na jego czele religijnych przywódców. Wielu wolontariuszy dołączało do rajdów wolności z pobudek religijnych. Jednym z duchowych ojców ruchu był baptystyczny pastor Cordy Tindell Vivian. Zaczął działalność od bezprzemocowego, siedzącego protestu w Peorii w Illinois jeszcze w latach 40. Połączywszy siły z Kingiem, objeżdżał kraj wyszukując i szkoląc aktywistów. Wspólnie organizowali rajdy wolności, szli z Selmy do Montgomery... Czasem można odnieść wrażenie, jakby aktywiści tego pokolenia dzielili jedną biografię. W Selmie, na schodach do magistratu, dokąd Vivian eskortował czarnoskórych, którzy przyszli rejestrować się na głosowanie, Viviana uderzył szeryf. Cios był tak silny, że funkcjonariusz złamał sobie rękę.

Na zdjęciu z aresztowania po rajdzie wolności w Jackson w stanie Missouri Vivian stoi dumnie wyprostowany, z lekkim wąsikiem i w koloratce. Jak na wielu zdjęciach potem. Był kopany, bity, podtapiany. Na zdjęciach prezentował się zawsze wyprostowany, jakby chciał powiedzieć, że żadne z tych doświadczeń go nie pokonało.

Jako pierwszy z przywódców ruchu napisał książkę o sensie tych zmagań. Tłumaczył: „Martin Luther King wyciągnął zmagania czarnoskórych z ram ekonomicznych i umieścił w kontekście moralnym i duchowym. I to w tej przestrzeni ruch skonfrontował się z sumieniem narodu". O dziedzictwie ruchu mówił też:

„Nasz sukces zbudowało prowadzone bez przemocy, bezpośrednie działanie".

Pastor Vivian nie ukrywał religijnej motywacji stojącej za jego zaangażowaniem. „Jeśli istnieje Kościół chrześcijański, który akceptuje tylko białych, to oni zaprzeczyli swojej wierze. Nie można być chrześcijaninem i rasistą jednocześnie – tłumaczył pod koniec życia w rozmowie z Amy Goodman. – Pozbawione przemocy bezpośrednie działanie jest czymś, co daliśmy Ameryce. Wiedzieliśmy, że nie wygramy, zabijając. Światło nie przychodzi przez ciemność".

Początek

Podczas „krwawej niedzieli" na moście w Selmie 26-letni wówczas John Lewis został brutalnie pobity. Telewizyjne obrazy bezlitosnego pałowania protestujących wzburzyły kraj. Telewizja ABC przerwała oglądany przez 48 milionów Amerykanów film „Proces Norymberski", by nadać specjalny raport z Selmy. Osiem dni później prezydent Lyndon B. Johnson zaprezentował w Kongresie i podpisał Voting Rights Act, zrównujący prawa wyborcze białych i czarnych Amerykanów. W ciągu pięciu kolejnych miesięcy prawo zostało ostatecznie przyjęte.

King wezwał przywódców religijnych, by wsparli protestujących. Na wezwanie odpowiedziała katolicka organizacja National Catholic Conference for Interracial Justice, wzywając księży sympatyzujących ze sprawą równouprawnienia czarnych, by dołączyli do solidarnościowego protestu. „Załóżcie koloratki i sutanny – apelował szef organizacji Mathew Ahmann. – Nawet jeśli już ich nie nosicie, wyciągnijcie je spod łóżka". Jego zespół obdzwonił sieć 112 lokalnych organizacji, namawiając księży do pielgrzymki do Selmy. Wśród 25 tysięcy maszerujących ku schodom Kapitolu stolicy stanu Alabama było 900 katolickich duchownych i aktywistów.

Dla Johna Lewisa, urodzonego w 1940 r. w Troy w Alabamie, czyli na segregującym obywateli Południu, sytuacja na moście w Selmie to nie był ani początek, ani koniec. Zaczęło się pewnej niedzieli, gdy 15-letni John, jeden z dziewięciorga rodzeństwa wychowywanego w ubogiej rodzinie, usłyszał o Rosie Parkes, bohaterce bojkotu segregacji rasowej w komunikacji miejskiej w Montgomery. Usłyszał też przez radio kazanie Kinga i poczuł, że to słowa skierowane do niego. King mówił o pokoju, miłości, pojednaniu, braku przemocy, możliwości zmiany.

Lewis, doświadczając segregacji i dyskryminacji, pytał: dlaczego? Słuchając Biblii w kościele i w szkółce niedzielnej, zaczynał wierzyć, że to musi się zmienić. Rok wcześniej usłyszał o decyzji Sądu Najwyższego znoszącej segregację w szkołach, ale w praktyce niewiele się zmieniło.

Poczuł, że wszystko się uda, jeśli uwierzy, że to, do czego się zmierza, już się spełniło. Będzie żył, jakby społeczeństwo już było bardziej sprawiedliwe. Chodziło o „bycie tak pewnym swoich marzeń, jak pewny jesteś najtwardszych faktów".

Obudź się, Ameryko!

Skąd wziąć taką siłę? Lewis tłumaczył, że w połowie lat 50., zanim to wszystko się zaczęło, z grupą kolegów spotykali się we wtorki wieczorem w kościółku metodystycznym w centrum Nashville. Uczyli się filozofii, poznawali życie Gandhiego, historię obywatelskich protestów oraz zasady wielkich religii świata. Trenując umiejętność powstrzymywania się od przemocy (*non-violence*), odgrywali sytuacje, w których spotykali się z agresją: gdy jest się atakowanym, spychanym z krzesła, kopanym, opluwanym. Uczyli się, jak zasłaniać ważne części ciała, jak patrzeć prześladowcy w oczy.

„To nie jest coś, co jest naturalne. Drogi pokoju, miłości i *non-violence* trzeba się nauczyć. W religijnym i moralnym sensie w każdym człowieku jest boska cząstka, nie wolno robić mu krzywdy – tłumaczył w rozmowie z Kristą Tippett. – Apeluj do dobra ukrytego w ludziach i nigdy się nie poddawaj".

Sześć lat później, w 1961 r., już jako student teologii zaczął jeździć w rajdach wolności. To nie było łatwe zadanie – wsiąść do autobusu dalekobieżnego z Waszyngtonu do Nowego Orleanu i nie poddać się segregacji ze względu na kolor skóry. Po latach Lewis wspominał, że jasne było, iż spotkają się z agresją i że nie mogą na nią fizycznie odpowiedzieć: „Nasza misja była pozbawiona przemocy. Wiedzieliśmy, że jest niebezpieczna, spisaliśmy testamenty na wypadek, gdybyśmy mieli nie wrócić. W czasie rajdu wolności byłem przygotowany na śmierć".

Pobito ich zarówno na jednym z postojów, jak i potem w Montgomery w Alabamie, gdzie wykonano słynne zdjęcie, na którym John Lewis i Jim Zwerg stoją obok siebie, zalani własną krwią. Zwerg trzyma w jednej dłoni zakrwawioną chusteczkę, a drugą wymacuje miejsce wybitego zęba. Aresztowano ich na dwie noce, a gdy wyszli, tłum zebrany pod Pierwszym Kościołem Baptystycznym w Montgomery zaczął palić samochody.

Między 1960 a 1966 r. Lewisa aresztowano 40 razy, był wielokrotnie bity i więziony, w tym przez 31 dni w znanym z brutalności więzieniu Parchman. Mówił potem, że to miejsce zaprojektowane, by złamać najtwardszych. Więźniowie byli zmuszani do ciężkiej pracy, linczowani, mordowani bez świadków i śladu.

Dzięki swojemu zaangażowaniu Lewis, mimo młodego wieku, stał się bliskim współpracownikiem Kinga. Trafił do tzw. wielkiej szóstki, która zorganizowała 28 sierpnia 1963 r. marsz na Waszyngton. Jego celem była presja na rzecz praw obywatelskich i ekonomicznych czarnych Amerykanów. Do dziś pozostaje największym w amerykańskiej historii wiecem dotyczącym praw człowieka. Warto wspomnieć, że marsz odbył się z błogosławieństwem katolickiego arcybiskupa Waszyngtonu. Patrick O'Boyle potępiał przemoc, porównywał aktywistów do Mojżesza szukającego lepszego świata, wzywał Ducha Świętego, by otworzył oczy chrześcijan na rasową dyskryminację.

Na wiecu rozsławionym przemówieniem Kinga o marzeniu („I have a dream") John Lewis był najmłodszym mówcą. 23-latek porwał dwustutysięczny tłum mówiąc: „Siła naszych żądań, nasza determinacja i liczebność rozedrze posegregowane Południe na tysiące części, w imię Boga i demokracji. Musimy powiedzieć: Obudź się Ameryko, obudź się! Nie możemy się zatrzymać!".

Pamięć

W 1986 r. jako drugi Afroamerykanin został wybrany do Kongresu z Georgii, reprezentując okolice Atlanty. Jako polityk był znany z obrony najsłabszych, koledzy nazywali go „sumieniem Kongresu". Zaangażowanie w politykę widział jako przedłużenie swojej wiary i zaangażowania w ruch praw obywatelskich. Dbał o dziedzictwo ruchu, prowadził pielgrzymki do Selmy i Montgomery, zabierając innych polityków i działaczy społecznych, by pokazać im miejsca kluczowych wydarzeń i przypominać o wadze zmian, jakie przyniosły. Lewis powtarzał, ↦

↦ że to odwaga i zjednoczona praca do nich doprowadziły.

Pytany o to, jak mimo tylu złych doświadczeń nie dał się sparaliżować nienawiści, tłumaczył: „Zaakceptowałem nauczanie Jezusa, drogę miłości, drogę unikania przemocy, w duchu wybaczenia i pojednania". Miłość i działanie – powtarzał. „Gdy się modlisz, ruszaj stopą" – głosi afrykańskie przysłowie, które Lewis wielokrotnie przywoływał.

Zależało mu, by ludzie pamiętali, że ruch praw obywatelskich jest głęboko osadzony w korzeniach religijnych, w wierze w Boga, w drugiego człowieka oraz w tym, że wszyscy są stworzeni równi.

Przez pół wieku zmagań nauczył się – mówił – że prawdziwa zmiana społeczna zaczyna się w naszych sercach i umysłach: „Pierwszym polem bitwy jest zmaganie w sumieniu (...). Żeby zrewolucjonizować społeczeństwo, musimy zrewolucjonizować sami siebie. Musimy sami być zmianą, której chcemy, by wymagać transformacji od innych". Aktywiści ruchu dowodzili, że żadne prawo, żadna trwająca od wieków tradycja, żadna siła militarna nie mogą podważyć ani pokonać tego, co boskie.

Co to jest wiara

John Lewis był człowiekiem głębokiej wiary. Powtarzał: „Wiara to bycie tak pewnym tego, co Duch podszepnął ci do ucha, że twoje przekonanie jest w efekcie niewzruszone. Nic nie sprawi, że zwątpisz, iż to, co usłyszałeś, stanie się rzeczywistością. Nawet jeśli sam tego nie dożyjesz, wiesz, że tak się stanie. To jest wiara".

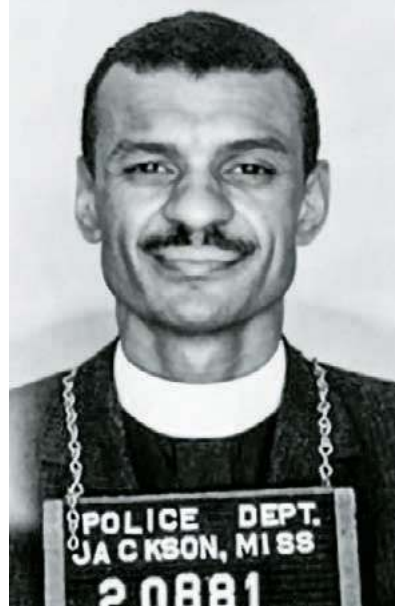

TWITTER / @PHIL_LEWIS

Pastor C.T. Vivian na fotografii policyjnej po aresztowaniu na marszu w Jackson w 1961 r.

Ruch na rzecz praw obywatelskich świadomie odwoływał się do siły wiary. „Używaliśmy jej jako tarczy przed fałszywym przekonaniem, że ktokolwiek ma prawo do zadawania nam bólu i wprowadzania ograniczeń – tłumaczył Lewis. – Wierzyliśmy, że skoro jesteśmy dziećmi tego samego Stworzyciela, to dyskryminacja jest błędem opartym na nieprawidłowej logice, złudzeniem ludzkiego ego. Oparliśmy nasze prawo do ludzkiej godności na wierze w boskie pochodzenie, które łączy nas z innymi ludźmi".

„Ta jedność – tłumaczył dalej – była wewnętrznym aspektem naszego bycia. Nie mieliśmy nic do udowodnienia. Nasza wartość została ustanowiona, zanim się urodziliśmy. Protesty były afirmacją tej wiary. Z niej wywiedliśmy też przekonanie, że siły wszechświata przyjdą nam z pomocą. Żadna cela, żadna groźba, żaden akt przemocy nie mogły odebrać nam siły".

Wyjaśniał też, że to nie był przypadek, iż ruchowi przewodzili przede wszystkim duchowni. „Byli przekonani, że są powołani do pracy na rzecz praw obywatelskich i że to wyraz ich wiary – opowiadał Lewis. – A wiara religijna jest silnym spoiwem każdej grupy pracującej dla zmiany społecznej. Wspólne zasady naszych wierzeń łączyły nas w poprzek różnic rasowych, etnicznych, regionalnych czy ekonomicznych".

Siła studenckiego pokojowego ruchu Student Nonviolent Coordinating Committee, który w latach 60. budował John Lewis, polegała na jego oddolnym charakterze i ufności w sieć aktywistów, a nie w charyzmatycznych przywódców. Być może stąd w Black Lives Matter, które również jest ruchem rozproszonym, Lewis widział kontynuację pracy swojego życia, czemu dał przed śmiercią świadectwo.

©℗ ZUZANNA RADZIK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc kobiet".

TYGODNIK POWSZECHNY

Instynkt nieba

ARTUR SPORNIAK

Religijna perspektywa poszerza zakres szczęścia. Ale nie osiągniemy go bez prostych ludzkich spraw – przekonuje ks. Grzegorz Strzelczyk.

Latem 1985 r. jechałem z Podkarpacia na studencki obóz nad Bałtyk. Podczas przesiadki w Rzeszowie miałem trochę czasu. W pobliżu dworca była księgarnia, a przed nią kolejka. Okazało się, że „rzucili" traktat „O szczęściu" Tatarkiewicza. Jednorazowo można było nabyć dwa egzemplarze. Szczęśliwie udało mi się stanąć dwa razy – do mojego wakacyjnego plecaka trafiły dodatkowe trzy kilogramy, które pojechały do Łeby. Od tego czasu szczęście kojarzy mi się z ciężarem na plecach.

Z lektury traktatu Tatarkiewicza można wynieść przeświadczenie, że nie ma co za szczęściem biegać – jest zbyt ulotne, wieloznaczne i subiektywne, prócz tego zależy od wielu czynników, nad którymi nie mamy kontroli. Szczęścia zwykle doświadczamy „przy okazji". Gdy próbujemy skupić na nim uwagę, umyka.

Problem w tym, że trudno powiedzieć sobie: szczęście nic mnie nie obchodzi. Należy ono do tej kategorii pojęć (obok np. miłości – równie ulotnej i niezbędnej), których nie da się sprecyzować, ale bez których trudno opisać to, co istotne w naszym życiu. Dlatego wciąż są śmiałkowie, którzy myślą o szczęściu, a nawet próbują je oswajać praktycznymi radami, przelewając je na papier.

„Znak" właśnie wydał książkę z tej serii, na co wskazuje już sam prowokacyjny tytuł: „Ćwiczenia ze szczęścia" (czy szczęście można w ogóle ćwiczyć?). Autorem jest ks. Grzegorz Strzelczyk, kapłan, teolog, rekolekcjonista, od niedawna także proboszcz. Książka jest przeredagowanym – jak zaznacza wydawnictwo – zapisem rekolekcji prowadzonych dla sióstr zakonnych. To uwaga o tyle ważna, że ktoś mógłby pomyśleć: to książka nie dla mnie. To byłby błąd. Wydawnictwo usunęło lub zmieniło te fragmenty, które odnoszą się wprost do życia zakonnego i mogłyby być niezrozumiałe dla innych. Natomiast samo zaproponowane w niej przesłanie o szczęściu ma charakter uniwersalny.

Piszę to świadomie, choć to zapis rekolekcji, których głównym tematem są ewangeliczne błogosławieństwa. Mimo to nawet ateiści z kilku powodów mogą się tą pozycją zainteresować. Na przykład jeśli są ciekawi, dlaczego chrześcijanie robią pewne rzeczy na pierwszy rzut oka nieracjonalne, które jednocześnie wiele kosztują (miłuj nieprzyjaciół!), to mają dobrą okazję znaleźć niebanalną odpowiedź. „Ćwiczenia ze szczęścia" są w istocie zwięzłym, praktycznym i celnym wprowadzeniem w chrześcijaństwo. Autor należy bowiem do najbardziej samodzielnie myślących teologów w Polsce. A przy tym ma dar jasnego wywodu.

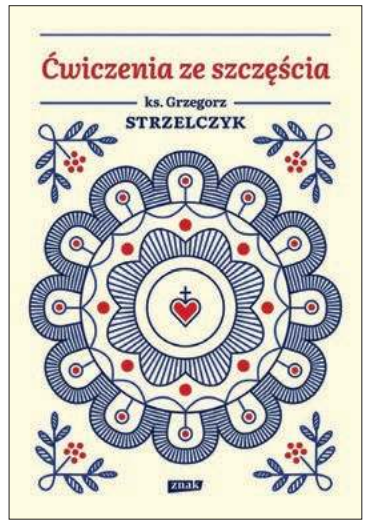

Ks. Grzegorz Strzelczyk
ĆWICZENIA ZE SZCZĘŚCIA
Znak 2020

Drugi powód wynika z porządku związanego z wiarą: łaska zawsze zakłada naturę i buduje na niej, a ponadto musi się liczyć z konkretną kulturą, w której żyje człowiek. Widać to np. w tym, jak autor rozumie szczęście. Według niego „to najbardziej harmonijnie z możliwych ułożona relacja z sobą, z bliźnimi, z Bogiem i z materią" – Bóg, choć dla wierzącego jest najważniejszym odniesieniem, nie jest odniesieniem jedynym. À propos kultury, w książce znajdziemy ciekawą analizę tych elementów współczesności, które sprzyjają i które utrudniają wcielanie Ewangelii w życie.

Wreszcie trzecim argumentem jest sama uniwersalność duchowości. Ks. Grzegorz Strzelczyk jest specjalistą (oraz praktykiem) od duchowości. Jego spostrzeżenia w tej sferze mogą mieć praktyczną wartość, niezależnie od tego, czy wierzymy w Boga. Każdy może skorzystać np. z ciekawych wywodów na temat wartości dobrowolnego ubóstwa w wybranych przez siebie sferach życia.

Ale oczywiście z książki tej skorzystają najbardziej ci, którzy odczuwają potrzebę pogłębienia wiary i otwarcia szerszej perspektywy dla własnego szczęścia. Są to ćwiczenia, a zatem mają swój plan. Najpierw wsłuchujemy się we własne intuicje i pragnienia: czym dla mnie jest szczęście? Jakie mam pragnienia? Czy w ogóle je mam i czy je przeżywam (bo to nie to samo)? By na te pytania znaleźć odpowiedź, najlepiej jest „zostać samemu ze sobą, z własnymi myślami, jak najdłużej". Tu może się okazać, że nasze pragnienia wymagają pielęgnacji (autor nazywa „przedpieklem" sytuację, gdy wycofujemy się w życiu z pragnienia szczęścia). Potem odkryte, uświadomione czy wydobyte z naszych duchowych czeluści pragnienia konfrontujemy z Ewangelią. Ten etap może też boleć – np. w jakiejś sytuacji odruchowo rodzi się pragnienie zemsty. Ewangelia na to nie pozwala.

To konfrontowanie życia z Ewangelią ks. Strzelczyk szczegółowo rozpisał w rozdziałach analizujących błogosławieństwa według Łukasza i Mateusza. Dowiemy się, że będziemy się zmagać z groźną pokusą „odbierania Bogu swojego zaufania" (tym jest niewiara). Że Królestwo Niebieskie zaczyna się, gdy przyjmujemy Boże miłosierdzie i pozwalamy Bogu być na pierwszym miejscu. Że Łukaszowe „biada" to nie Boże groźby, tylko przestrogi, gdyż rzeczą ważną dla naszego szczęścia jest, by nie traktować Boga jako mściciela.

Ostatecznie owa konfrontacja ma prowadzić do intrygującego celu: „rezygnacji z instynktu samozachowawczego". ©℗

REWOLUCJA ULICZNA I MENTALNA

„Nienawidzę jego i jego kłamstw. OMON-owcy to jego bandyci, będą go bronić do upadłego” – mówi ze łzami starsza Białorusinka. Kolejny dzień protestuje przeciw sfałszowaniu wyborów.

WOJCIECH WOJTASIEWICZ Z MIŃSKA

Wieczorem przed wyborami stolica Białorusi wygląda przyjemnie. Restauracje pełne, po alei Niepodległości pędzą auta. Gdzieniegdzie billboardy informują o zbliżającym się głosowaniu. Są też tablice z informacjami o kandydatach; jest ich pięcioro, w tym urzędujący prezydent Alaksandr Łukaszenka. Tablice wieńczą czerwono-zielone flagi państwowe, których kolory nawiązują do barw sowieckiej Białorusi (opozycja używa flagi biało-czerwono-białej z okresu 1991-95).

W wieczorną idyllę wdziera się rzeczywistość. – W całym kraju wrze, ludzie masowo przychodzili na wiece Swiatłany Cichanouskiej – opowiada znajoma Białorusinka. – Tutaj żyje się nam coraz gorzej, maleje realna wartość płac i emerytur. Średni zarobek w Mińsku to równowartość 500 dolarów, na prowincji 200-300, ale większość zarabia mniej. A ceny mamy jak w Polsce. Poza tym wszystko tu szwankuje, szczególnie opieka zdrowotna.

Znajoma obawia się, że po sfałszowanych wyborach – to, że będą sfałszowane, nie budzi jej wątpliwości – znów wielu młodych wyjdzie „na płoszczę”, jak w 2010 r., i znów zostaną rozpędzeni. Wtedy, dekadę temu, po nieuczciwych wyborach, milicja rozbiła demonstrację na placu Październikowym. – Nie wiem, co robić. Jestem programistką, jak na warunki białoruskie zarabiam dobrze. Ale się tutaj duszę. Jednak nie chcę zostawiać rodziców i dziadków, nie chcę emigrować – mówi dziewczyna.

Wszystkie ogólnokrajowe telewizje i gazety są państwowe, sączą propagandę sukcesu. Niezależne media mają ograniczony zasięg. – Nawet mój ojciec, który nie znosi Łukaszenki, boi się ewentualnej zmiany władzy, żeby nie było gorzej. Głośno zastanawia się, kim jest ta Swieta i kto za nią stoi. Przecież to narracja z państwowej telewizji – irytuje się znajoma.

Chwila

Następnego dnia spotykam się z Antonem Trafimowiczem z niezależnego Radia Swaboda. Siedzimy na tyłach kawiarni, aby spokojnie rozmawiać. – To historyczna chwila, od początku lat 90. w wiecach opozycji nie uczestniczyło tak dużo osób. Jak na Białoruś to tłumy – Anton uważa, że przygniatająca większość Białorusinów jest niezadowolona z sytuacji w kraju, zwłaszcza tej ekonomicznej. Jest przekonany, że pragnienie zmiany bierze górę nad strachem. Przekonuje, że już w wyborczą niedzielę władze na pewno wy-

SERGEI GRITS / AP / EAST NEWS

łączą internet, aby utrudnić organizowanie protestów.

– Łukaszenka popełnił błąd, dopuszczając Cichanouską do wyborów. Myślał, że będzie kwiatkiem do kożucha, a okazała się poważną kandydatką, która ma świetny kontakt z tłumem – mówi Trafimowicz.

37-letnia Swiatłana Cichanouska, z wykształcenia filolożka angielska i gospodyni domowa (sama o sobie mówi: „kura domowa"), postanowiła wziąć udział w wyborach w zastępstwie męża Siarhieja, popularnego blogera i krytyka Łukaszenki. On sam jeszcze w maju zamiast na listę kandydatów trafił do więzienia. Aresztowany został też Wiktar Babaryka, inny poważny rywal Łukaszenki, a kolejny, Waleryj Cepkała, wolał uciec do Rosji.

Cichanouską w kampanii wsparły Weranika Cepkała (żona niedoszłego kandydata) i Maryja Kalesnikawa, szefowa (niedoszłego) sztabu Babaryki. Stworzyły kobiece trio, które objeżdżało mniejsze i większe białoruskie miasta [patrz „TP" nr 32 – red.]. Na ich wiece przychodziły tłumy – w Mińsku ok. 70 tys. ludzi. Władze się wystraszyły i w ostatnim tygodniu przed głosowaniem w miejscach, gdzie planowano ich wiece, rozpoczynano naprędce remonty, uniemożliwiając ich przeprowadzenie.

Strach

W przedwyborczy czwartek opozycja zapowiada swój finalny wiec w parku Przyjaźni Narodów. W odpowiedzi reżim organizuje tam koncert z okazji Święta Wojsk Kolejowych (to osobna formacja, istniała jeszcze w czasach sowieckich). Park zostaje ogrodzony barierkami i obstawiony przez milicję. Aby uczestniczyć w koncercie, trzeba poddać się kontroli osobistej.

W drodze do parku spotykam znajomą, którą kilka lat temu poznałem w Polsce. Co chwila ogląda się za siebie. Spotkanie umawialiśmy przez komunikator Signal, który obok Telegrama jest tu najpopularniejszym sposobem komunikacji, podobno bezpieczniejszym niż Messenger. Dziewczyna jest wolontariuszką w sztabie Cichanouskiej, odpowiada za komunikację medialną. Mówi, że musi być ostrożna, boi się aresztowania.

Jesteśmy w parku. Ludzi na koncercie jak na lekarstwo. Wyciągam rządową gazetę „SB. Belarus' segodnia". Nagle podchodzi młody człowiek. – Chciałeś uczestniczyć w wiecu Cichanouskiej? – pyta. Udaję, że nie wiem, o co chodzi. Odchodzi. Za chwilę obok maszeruje grupa starszych panów z flagami partii komunistycznej. Mam wrażenie, że milicji i tajniaków ↦

Piąty dzień białoruskich protestów. Mińsk, 13 sierpnia 2020 r.

↦ jest tu więcej niż chętnych do słuchania orkiestry wojskowej.

W smartfonie otwieram stronę niezależnej telewizji Biełsat. Jest komunikat, że wiec Cichanouskiej odbędzie się na placu Kijowskim. Ale gdy tam docieram, na placu gra już kapela sprowadzona przez władzę. Liczni milicjanci uwijają się jak mrówki, instalują barierki, by nie dopuścić do zgromadzenia zwolenników opozycji. Jednak ludzie zaczynają się zbierać, liczba „spacerowiczów" rośnie. W końcu tłum jest gęsty. Podjeżdża też kilka milicyjnych samochodów więźniarek. Wszyscy czekają na Swietę, ale się nie pojawia. Później okaże się, że jej ochroniarze i doradcy odradzili jej to z obawy przed aresztowaniem.

Ludzie zaczynają klaskać i wznosić okrzyki: „Niech żyje Białoruś", „Wolność", „Swieta", „Odejdź" (to pod adresem Łukaszenki) i „Wierzymy, możemy, zwyciężymy". Milicjanci ustawiają punkty, by poddawać kontroli osobistej tych, którzy chcą wejść na plac. Część ludzi wchodzi. Skandowanie jest tak głośne, że zagłusza muzykę.

Nagle wszyscy zamierają. Dwóch dźwiękowców puszcza nieformalny hymn opozycji, song „Pieremien" („Zmiana"), i podnosi ręce. Jeden w geście zwycięstwa, drugi zaciśniętą pięść. To symbole oponentów Łukaszenki. Trzecim symbolem są dłonie w kształcie serca. Wybucha euforia, słychać okrzyki: „Zuchy!".

Rozmawiam z ludźmi. Dwie młode dziewczyny mówią, że mają dość państwa policyjnego. Starsza kobieta z dorosłymi już dziećmi podkreśla, że samozachwyt władzy widoczny w rządowej telewizji jest nie do zniesienia.

Nagle poruszenie. Przybyła Maryja Kalesnikawa. Witana brawami, obchodzi plac. Chce się na niego dostać, ale milicjanci zagradzają jej drogę. – Dziękuję wszystkim za przybycie. Jesteście wspaniali. Po demonstracji proszę was o pokojowe rozejście się do domów. Działajmy zgodnie z prawem. Nie dajmy pretekstów władzy – apeluje 38-letnia Kalesnikawa.

Odchodzi, a tłum podąża za nią, skandując hasła. Kalesnikawa odjeżdża, ale wielu ludzi idzie dalej w kierunku centrum. Kierowcy aut trąbią, okazując wsparcie demonstrantom. Docieramy na aleję Niepodległości. Zauważam może trzydziestoparoletnią kobietę z biało-czerwono-białą flagą. Pytam, czy się nie boi.

WOJCIECH WOJTASIEWICZ

38-letnia Maryja Kalesnikawa, jedna z liderek opozycji. Mińsk, 6 sierpnia 2020 r.

– Ja już niczego się nie boję. Mam dosyć życia w takim kraju. On musi odejść. Oprócz wojska, milicji i służb nikt go już nie popiera. Wygramy to starcie – deklaruje kobieta, która przedstawia się jako pracowniczka banku.

Kropla

W piątek idę do sztabu Cichanouskiej na rozmowę z jej rzeczniczką. Biuro mieści się w małym pokoju w centrum handlowym, użyczonym przez biuro podróży, którego pracownicy są na urlopie. Rzeczniczka Hanna Krasulina i wolonatariusze tłoczą się na korytarzu, pod drzwiami wianuszek dziennikarzy.

– On sam nie ustąpi, będzie walczył o władzę do końca. Użyje wszelkich środków, w tym wojska. Nie wierzę w coś na kształt okrągłego stołu – mówi Krasulina.

– Kroplą, która przelała czarę goryczy, był stosunek Łukaszenki do pandemii. Mówił, że wirusa nie ma, bo on go nie widzi, że wystarczy napić się wódeczki, pójść do bani lub przejechać się na traktorze i wszystko będzie dobrze – dodaje. – Nie, nie wzywamy ludzi na ulice. Każdy dorosły zdecyduje, jak obronić swój głos – odpowiada na pytanie, czy należy spodziewać się demonstracji po spodziewanym sfałszowaniu wyborów.

Nagle otwierają się drzwi do pokoju. Za drzwiami stoi Cichanouska, żegna jednych dziennikarzy i zaprasza następnych. Korzystając z zamieszania, podchodzę do niej. Zamieniamy kilka słów, robimy wspólne zdjęcie. Widać, że jest zmęczona, ale cały czas się uśmiecha.

Po wyjściu ze sztabu jadę metrem w okolice placu Październikowego. Nagle pojawia się sznur aut, które głośno trąbią. Ludzie na chodnikach klaszczą, podnoszą palce w geście zwycięstwa. Nagle podjeżdża bus, wyskakuje z niego kilku ubranych na czarno mężczyzn w kominiarkach. Łapią szczupłego mężczyznę, ciągną go za długie włosy. Wpychają do busa i odjeżdżają. Robi się groźnie.

W sobotę, w przeddzień głosowania, przez centrum Mińska przeciąga kolumna samochodów wojskowych.

Odliczanie

W niedzielę centrum miasta jest jak wymarłe. Na plac Październikowy zwieziono mnóstwo barierek. Wkoło kręcą się grupy milicjantów, inni siedzą w autobusach zaparkowanych przy placu. Po południu część okolicznych knajp się zamyka.

Siedzę w kawiarni na wprost otwartych drzwi, robię ukradkiem zdjęcia mundurowym ustawiającym barierki. Internet działa coraz słabiej. Strona Biełsatu jest niedostępna. Następnie padają Facebook i Messenger. Ze znajomymi dziennikarzami z Polski kontaktuję się przez Telegram, ale po chwili i on nie działa.

Idę w kierunku budynków rządowych. Wszystko szczelnie obstawione milicjantami. Barierki. Pod pałacem prezydenckim wozy opancerzone, więźniarki, armatki wodne. Wejścia na podwórka zastawione kontenerami z gruzem.

O godzinie 21, już po zamknięciu lokali wyborczych, na placu Zwycięstwa ma się odbyć demonstracja opozycji. Ludzi nie ma zbyt wielu. W pobliskiej kawiarni, gdzie czekam na rozwój wydarzeń, zjawia się dwóch białoruskich dziennikarzy w niebieskich kamizelkach z napisem „Prasa". Też nie wiedzą, czy i gdzie będzie wiec. Idziemy w kierunku placu Październikowego. Po drodze przechodnie pytają, czy wiemy, dokąd trzeba iść.

Koleżanka dziennikarka robi zdjęcie starszemu panu. – Dzieci, ja się już swoje nademonstrowałem. Mam dość. Już nie wierzę, że coś się w naszym kraju zmieni – mówi mężczyzna. – W 2010 r. widziałem, jak OMON-owcy pałowali i ciągnęli za włosy kobietę. Uciekłem, bo byłbym następny. Ale trzymam za was kciuki. W was nadzieja...

Plac Październikowy zamknięty. Białoruscy dziennikarze zostają przepuszczeni. Nie ryzykuję, nie mam akredytacji. Próbuję dostać się na plac bocznymi ulicami, ale wszystkie są obstawione milicją. Idę kupić wodę do sklepu. Dziewczyna przede mną chce płacić kartą, terminal nie działa. Denerwuje się i złorzeczy.

– I o co ta awantura i złość. Już wszystko wiadome. Wygrał – burczy pod nosem sprzedawczyni.

Wybuch

Dostaję esemesa z Polski z wynikami oficjalnych państwowych sondaży exit poll: na Łukaszenkę miało głosować 80 proc., na Cichanouską zaledwie 7 proc. To jawna kpina, nikt w to nie wierzy. Dostaję kolejnego esemesa, że protest będzie pod tzw. stelą – ogromnym wieżowcem z napisem „Mińsk – miasto bohater", zbudowanym na cześć Białorusinów poległych podczas II wojny światowej.

Biegnę tam. Są tu już tysiące ludzi. Słychać strzały. Co jakiś czas tłum ucieka w popłochu, ale za chwilę wraca. Ludzie skandują. Pojawia się szpaler milicjantów z tarczami. Czuć gaz łzawiący. Ludzie zasłaniają nosy i twarze koszulkami. Nagle jakaś kobieta ze łzami w oczach krzyczy do partnera: – Proszę cię, chodźmy do domu! Oni nas zabiją!

– Jak chcesz, to idź, ja gnojowi nie popuszczę – odpowiada wzburzony mężczyzna.

Uciekamy w boczną ulicę. Widzę zakrwawionego młodego mężczyznę, ma ranę na głowie. Dominują młodzi ludzie, 20-30 lat. Idziemy na kładkę nad ulicą. W końcu ktoś krzyczy: – Nie będziemy tu tak stać jak idioci. Idziemy do centrum!

– Nie, ja tam mieszkam. Tam ich pełno, złapią nas. Chodźcie w lewo i w dół – przekonuje może 50-letnia kobieta.

W oddali strzały i wybuchy. Rozmawiam z grupką młodych. To dwie pary: dwóch programistów, farmaceutka i stomatolożka. Stoją przytuleni. Za chwilę dołącza kolejna para, za trzy dni mają ślub. Żartują, że chcieliby dożyć. Tłum gęstnieje, w końcu zebrani tamują ruch. Na zatrzymany autobus wskakuje chłopak z zakazaną flagą. Wybuch euforii, brawa. Ale już pojawiają się milicjanci. Przeciąganie liny trwa około godziny. Do milicjantów podchodzi chłopak, rzuca: – Ile dostajesz za pałowanie rodaków?

– Za 800 rubli mogę wyjebać twoją matkę – odpowiada z nienawiścią mundurowy.

Milicjanci strzelają (jak się okaże, kulami gumowymi i hukowymi). Tłum kilka razy ucieka, ale za każdym razem wraca.

Narzeczeni decydują, że idą do domu. Wtedy następuje frontalny atak. Uciekamy ile sił w nogach. Gubię nowych znajomych. Jesteśmy w dolnej części Starego Miasta. Traf chce, że za chwilę się odnajdujemy. Już pierwsza w nocy. Oni chcą już wracać do domu. Wymieniamy się kontaktami. Mówią, którą drogą mam wracać do hostelu.

Demonstranci wciąż biegają po chodnikach. Auta trąbią. Nagle na chodnik wjeżdża milicyjny bus. Uciekam. Na skrzyżowaniu przy hostelu znowu tłum. Wznoszą hasła. Słychać strzały i widać unoszące się chmury gazu.

Już w hostelowym pokoju, przez kolejne godziny słyszę nieustający huk.

Konfrontacja

W powyborczy poniedziałek napływają informacje o fałszerstwach. W hostelu ludzie pokazują mi zdjęcia protokołów z komisji wyborczych z Mińska i innych miast, gdzie uczciwie liczono głosy: wszędzie Cichanouska wygrała przygniatającą większością, od 60 do 80 proc. poparcia.

Po południu kandydatka jedzie do Centralnej Komisji Wyborczej złożyć skargę na oficjalne już wyniki (80:10 dla Łukaszenki). Wkrótce jej sztab podaje, że nie ma z nią kontaktu. Następnego dnia okaże się, że Cichanouska jest już na Litwie. Wszystko wskazuje na to, że została zastraszona przez białoruskie KGB i zmuszona do opuszczenia kraju.

Tymczasem w centrum na razie spokój. Na restauracjach informacje, że będą pracować tylko do siedemnastej. Po południu na placu Październikowym znów widać licznych milicjantów i wojskowe ciężarówki.

Wieczorem miasto jest jak wymarłe. Ale powoli ludzie znów zbierają się w pobliżu steli. I znów wkraczają OMON-owcy. Są bardzo brutalni. Widzę, jak polują na jednego chłopaka: zaganiają do wejścia do metra, po czym ich auto podjeżdża pod wyjście po przeciwnej stronie. Łapią go i odjeżdżają.

Starsza kobieta przyszła z córkami. Ze łzami w oczach krzyczy: – Nienawidzę go i jego kłamstw. OMON-owcy to jego psy. To bandyci. Będą go bronić do upadłego.

Boimy się, ale zostajemy. Idę na estakadę, którą można zjechać wprost na demonstrujących. Nagle z wielką prędkością nadjeżdża ok. 20 ciężarówek. Wyskakują z nich OMON-owcy, zaczynają pałować, strzelać gazem i łapać kogo popadnie. Wszyscy uciekają. Biegnę przez most w kierunku hostelu. Ludzie są przerażeni.

Małżeństwo z dzieckiem sprawia wrażenie, jakby się zagubili. – Jesteśmy z Rosji. Nas nie dotkną. Tym bardziej że mamy dziecko – mówi mężczyzna. – A ty skąd? – pyta. Mówię, że z Polski. Mężczyzna się uśmiecha i pyta, czy wiem, że Łukaszenka powiedział dziś, że to Polacy wyłączyli internet na Białorusi.

W hostelu trafiam na grupę kilkunastu osób siedzących na schodach w ciemności. Są przerażeni. Szukali tu schronienia. Opuszczą hostel grubo po północy.

Ktoś krzyczy, że ma internet, przez jakąś tajną aplikację. Instaluje mi. Czytam newsy. To, co się dzieje w Mińsku, jest przerażające. Trwają regularne bitwy uliczne w zachodniej części miasta, przy stacji metra Puszkinskaja. Jest pierwszy zabity i setki rannych, tysiące aresztowanych. Milicjanci są bezwzględni. Do miasta ściągają wojska wewnętrzne.

Ciąg dalszy trwa

Następnego dnia na lotnisko odwozi mnie starszy taksówkarz. Ledwo ruszamy, zaczyna tyradę: – Przecież te protesty organizuje Zachód. Uczestnicy dostają po sto dolarów. Chodzi tam tylko młodzież, której się nie chce pracować. Łukaszenka nie jest najgorszy, choć obciął mi emeryturę i dodatek na lekarstwa.

Mężczyzna od kilku lat jest na rencie, całe życie pracował jako kierowca. Mówi, że za młodu był zaangażowany w akcję ratunkową w elektrowni atomowej w Czarnobylu, gdzie miał stracić sporo zdrowia. Od państwa dostał mieszkanie, drugie wziął na tani kredyt. – Wszyscy chcą ukraść Białoruś – denerwuje się. – I Zachód, i Rosja. Ale my kraju nie oddamy. Prezydent dba o porządek, drogi remontuje, jest niezłym gospodarzem – przekonuje.

– Gadanie, że ona dostała 60–80 proc. głosów, jest śmieszne. Znam wielu, którzy głosowali za Łukaszenką. To emeryci, inwalidzi, budżetówka – już niemal krzyczy.

Dojeżdżamy na lotnisko. Przytakuję strażniczce granicznej, że do Mińska zagnała mnie pasja zwiedzania. Na pokładzie samolotu spotykam posła Michała Szczerbę, który jako jedyny polski polityk pojechał śledzić białoruskie wybory.

Następnego dnia na wiecu solidarnościowym na krakowskim Rynku opowiadam, co widziałem w Mińsku. Boję się sprawdzać kolejne doniesienia z Białorusi. © WOJCIECH WOJTASIEWICZ

TOM NICHOLSON / CHINA PRESS / FORUM

Ten przeklęty kraj

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BEJRUTU

Po eksplozji magazynu z azotanem amonu, która spustoszyła libańską stolicę, na ulice Bejrutu wraca rewolucja. Protestujący chcą ukarania winnych katastrofy. Czyli całej klasy politycznej.

Tego dnia Amal leniwie krzątała się po sypialni. Kątem oka spoglądała na członków rodziny, którzy w skupieniu wpatrywali się w ekran telewizora z wielkiego łoża na środku pokoju. Właśnie włączyli prąd, który ostatnimi czasy pojawiał się w domu coraz rzadziej. Wreszcie można było odetchnąć od sierpniowego skwaru pod kojącym podmuchem klimatyzacji.

Gdy umarł jej mąż, 29-letnia Amal wraz z dwójką dzieci wróciła do domu rodziców, położonego na wzgórzu w bejruckiej dzielnicy Karantina.

Dziesięć osób na maleńkiej przestrzeni to sporo, ale w obliczu zapaści gospodarczej w Libanie, teraz spotęgowanej jeszcze przez epidemię, spokojny kąt blisko rodziny dawał poczucie stabilności.

Było późne popołudnie, gdy z podwórka dobiegł hałas. Amal wyszła na zewnątrz, aby sprawdzić, skąd dochodzi. Na niebie zobaczyła samolot. Powróciła pamięcią do gorzkich wspomnień izraelskiego bombardowania sprzed 14 lat. Tragedii, którą pamięta bardzo dobrze. To znowu się dzieje, pomyślała. Zawołała dzieci, które beztrosko bawiły się na podwórku, i w pośpiechu zagoniła je do domu.

Wybuch nastąpił, gdy była w przedsionku i trzymała dzieci za ręce. Potężna fala powietrza powaliła ją na ziemię. Z okien wyleciały szyby, rozpadając się na tysiące drobnych kawałeczków. Wszystko, co stało przy ścianach, pospadało na nią i dzieci. Meble, naczynia, ubrania.

– Pobiegłam do sypialni, bo pomyślałam, że to będzie najbezpieczniejsze miejsce. Ukryliśmy się tam w oczekiwaniu na następne bombardowanie

TOM NICHOLSON / ZUMA PRESS / FORUM

Na ulicach libańskiej stolicy trwają protesty, demonstranci obwiniają władze o wieloletnie zaniedbania i nieudolność po eksplozji, która zabiła ponad 170 osób i zniszczyła znaczną część miasta. Bejrut, 11 sierpnia 2020 r.

– mówi Amal, stojąc teraz w swojej sypialni i ze wzburzeniem machając rękami. Bo przecież zawsze jest drugie bombardowanie.

Niech ktoś mnie stąd zabierze

Ale tym razem drugi nalot nie nastąpił. Tym razem to nie był Izrael.

We wtorek, 4 sierpnia, o godzinie 18.08 czasu lokalnego, w ułamku sekundy Bejrut obrócił się w ruinę. Wybuch 2750 ton azotanu amonu – łatwopalnej substancji używanej do produkcji nawozów, ale również amunicji – wedle wszelkich przypuszczeń nastąpił w wyniku pożaru w portowych magazynach, gdzie ładunek ten był składowany. Fala uderzeniowa zniszczyła domy w promieniu kilku kilometrów, a część zrównała z ziemią. Ponad 170 osób straciło życie, kilkadziesiąt uznano za zaginione; tysiące zostały ranne. Kolejnych 300 tys. ludzi zostało bez dachu nad głową.

26-letnia Eliette, libańska pracownica Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, pojawiła się w okolicy wybuchu z misją ratunkową następnego dnia. Wraz z ekipą pospieszyła do centrali straży pożarnej, położonej zaledwie 50 metrów od portu. To strażacy z tej jednostki zostali wezwani do gaszenia pożaru, który wybuchł w portowym magazynie. Nie wiedzieli, że znajduje się tam niebezpieczna substancja. Dziesięciu strażaków i pielęgniarka zginęli na miejscu.

– Inni strażacy znaleźli sprzęt należący do ich kolegów, ale ciał nie było. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, płakał, gdy o tym mówił, a ja płakałam razem z nim. To było straszne. Pod tym sprzętem była krew – mówi Eliette, która wraz z PCPM pomaga Libańczykom z Karantiny przynajmniej tymczasowo zabezpieczyć swoje domy.

– Słyszeliśmy za dużo i widzieliśmy za dużo – dodaje kobieta. – Codziennie wracamy do naszych domów, ale nie możemy spać. Płaczemy. Spotykamy ludzi, którzy opowiadają nam o stracie, o bliskich, których już nie ma.

Amal, której dom został zniszczony, podobnie jak inni poszkodowani nie ma wątpliwości, kto ponosi odpowiedzialność za tę tragedię. – To wszystko wina rządu. Michela Aouna, Sada al-Haririego, Hassana Nasrallaha. Wszystkich ich – mówi, wymieniając liderów głównych libańskich partii. – Mieszkamy w kraju bandytów. Niech ktoś mnie stąd zabierze, z tego przeklętego kraju! Nie chcę, żeby moje dzieci i rodzice musieli tu żyć.

Zabójczy system

Azotan amonu jest w Libanie nielegalny. To nie przeszkodziło władzom bejruckiego portu, aby skonfiskować zawartość MV „Rhosus" – statku płynącego z gruzińskiego portu w Batumi do Mozambiku, który do bejruckiego nadbrzeża dobił w listopadzie 2019 r. i nigdy go nie opuścił. Kapitan statku nie uiścił wymaganych opłat portowych – i w ten sposób 2750 ton groźnej substancji trafiło do magazynu położonego niemalże w centrum stolicy.

Dziś wiadomo, że libańskie władze były wielokrotnie informowane o istnieniu ładunku i o niebezpieczeństwach, jakie ze sobą niesie. Nikt jednak nie zareagował. Choć po wybuchu rozpoczęły się poszukiwania winnych i nastąpiły pierwsze aresztowania, władze nie zgodziły się na międzynarodowe śledztwo.

W Libanie ta historia chyba nikogo nie dziwi. Do zaniedbań i niekompetencji władz, podobnie jak do wszechobecnej korupcji, Libańczycy zdążyli się przyzwyczaić.

Chociaż, jak się okazało niedawno, nawet to przyzwyczajenie ma granicę.

W październiku 2019 r. – po tym, jak w ramach ratowania gospodarki władze ogłosiły kolejne plany cięć budżetowych i nowych podatków – Libańczycy powiedzieli „dość". Przez miesiące protestowali przeciwko elitom władzy, nawołując do obalenia systemu, który w ich odczuciu nie tylko paraliżuje rozwój państwa i działanie jego instytucji, ale prowadzi do korupcji w każdej dziedzinie życia. Teraz okazał się również zabójczy.

System ten swoimi korzeniami sięga kilku dekad wstecz.

Po tym, jak w 1990 r. zakończyła się trwająca 15 lat wojna domowa, walczące dotąd ze sobą stronnictwa uzgodniły nowy podział władzy w Libanie – kraju wielu religii i wielu grup etnicznych. Podział taki, który miał zapobiec konfliktom w przyszłości, i w którym każda grupa wyznaniowa czy narodowa miałaby swoją reprezentację. Tak powstał system, w którym prezydentem zawsze miał być chrześcijanin maronita, premierem – muzułmanin sunnita, przewodniczącym parlamentu – muzułmanin szyita, a przedstawiciele innych mniejszości mieli zagwarantowaną odpowiednią liczbę miejsc w parlamencie.

Choć pomysł ten wydawał się trafiony, zabetonował scenę polityczną, a wyborcy głosowali na przedstawicieli swoich grup wyznaniowych i narodowych bez względu na kompetencje kandydatów i ich program wyborczy.

Libańska rewolucja

Słabe instytucje państwa, które nie były w stanie zapewnić nie tylko edukacji dla wszystkich, ale nawet regularnych dostaw prądu i wywozu śmieci – sprzyjały korupcji. W efekcie organizacje związane z poszczególnymi partiami politycznymi – a tym samym z grupami wyznaniowymi – wkraczały tam, gdzie nie działało państwo. Otwierały szkoły i szpitale, ↦

rozdawały stypendia, doprowadzały wodę i elektryczność. W razie potrzeb rozwiązywały problemy swoich społeczności.

Tak zbudowany system działał na zasadzie klientelistycznej – gdzie klientem, zawsze na słabszej pozycji, był wyborca, od którego oczekiwano, że w dniu głosowania wesprze rękę, która go karmi. Przywódcy partyjni pozwalali sobie na korupcję na ogromną skalę, a większość z nich na polityce dorobiła się majątków.

Brak wiary Libańczyków w instytucje państwa i pamięć horrorów wojny domowej – gdy współwyznawcy byli jedynymi ludźmi, którym można było zaufać – nie tylko pogłębiały korupcję, ale pozwalały na trwanie niefunkcjonującego systemu.

Ale właśnie, jak powiedziano – do czasu.

W październiku 2019 r. na ulice libańskich miast wyszli pospołu obywatele z wszystkich grup, bez względu na wyznanie, klasę i narodowość [zob. reportaż autorki tekstu o libańskiej rewolucji, „TP" nr 45/2019 – red.]. Po raz pierwszy w najnowszej historii Libańczycy stanęli ramię w ramię ponad podziałami, aby walczyć z korupcją, klientelistycznym systemem i zepsutą elitą. Żądali powszechnej opieki medycznej i edukacji, dostępu do prądu i wody oraz nowych miejsc pracy. A przede wszystkim – wymiany całej klasy politycznej.

Już na początku rewolucji premier Sad al-Hariri podał się do dymisji, lecz to nie zadowoliło ulicy. Tymczasem z braku reform kraj pogrążał się w zapaści gospodarczej. Banki wprowadziły srogie limity na transakcje finansowe, przez co nawet zamożni Libańczycy stracili dostęp do swoich oszczędności. Wartość libańskiego funta spadła o 80 proc., bezrobocie rosło, podobnie ceny.

Mimo powołania nowego rządu na czele z premierem Hassanem Diabem, rewolucja trwała nieprzerwanie przez kolejne miesiące. Ostatecznie stłumił ją dopiero wybuch pandemii. Miała ona i ten skutek, że jeszcze bardziej pogrążyła Libańczyków w biedzie.

Wybuch w porcie to kolejny cios – i potwierdzenie słuszności idei rewolucji.

Dzień Wściekłości

– To jest jak ze świeczką. Jeśli się pali i kończy się knot, kończy się też światło. To koniec, nie ma już nic. Sięgnęliśmy dna – mówi Ghazi Shehadi, 70-latek. Wybuch uszkodził także jego dom. Mimo to w środku panuje już zadziwiający porządek i poza wybitymi szybami nie widać zniszczeń. Dom Ghaziego szybko pomogli posprzątać sąsiedzi, wstawili mu nawet nowe drzwi.

Bo natychmiast po tragedii bejrutczycy ruszyli masowo do sprzątania ulic i domów. Wolontariusze z darmową wodą, jedzeniem i środkami pierwszej potrzeby pojawili się w dzielnicach dotkniętych tragedią. Takiej solidarności Bejrut nie widział chyba nigdy.

Idąc teraz ulicami Gemmayzeh – dzielnicy barów i kawiarni, w której bejrutczycy spędzali dnie i noce na wspólnych rozmowach i zabawie – gdzieniegdzie widać kupki pozamiatanego szkła. Wyzwolone Libanki w szortach i czarnych podkoszulkach, typowym mundurku młodzieży stolicy, które kiedyś obsiadały lokalne knajpy, dziś zamiatają ulice. Co krok natknąć się można na zdewastowany samochód. Bary nie działają, ale odbudowa dzielnicy trwa. Sprzątają chyba wszyscy.

Jest tylko jeden wielki nieobecny: choć od wybuchu minęło już parę dni, libańskie władze nie spieszą na pomoc Bejrutowi.

Przez Gemmayzeh kroczy tłum ludzi z miotłami i łopatami w rękach, wznosząc rewolucyjne okrzyki. Niektórzy niosą zbudowane specjalnie na tę okazję szubienice. To symbol Dnia Wściekłości (jak potem zostanie on nazwany).

W sobotę, 8 sierpnia, na ulice Bejrutu wraca rewolucja. Tysiące ludzi ruszają na plac Męczenników, gdzie powstaje największa symboliczna szubienica, nawołując do ukarania winnych katastrofy. Winnych – czyli całej klasy politycznej.

Cebula pomaga na gaz

– Wszyscy się tu zmieszczą – mówi mi 19-letni Remi, stojąc przy szubienicy. – Mój dom jest doszczętnie zniszczony, ale nikt z mojej rodziny nie ucierpiał. Miałem szczęście. Teraz przyszliśmy po ich głowy. Wszystkich. Chcemy, żeby cierpieli, tak jak cierpią Libańczycy. A wycierpieliśmy wystarczająco dużo. Nasi rodzice przeżyli wojnę domową, ale my nie chcemy tego samego. Jesteśmy pokojowym narodem i nikt z nas na to wszystko nie zasłużył.

W północnej części placu Męczenników, w pobliżu parlamentu, protest szybko przeradza się w zamieszki. Wściekłość Libańczyków jest dziś poza kontrolą. Służby porządkowe odpowiadają z nieproporcjonalną siłą – pałkami i gazem łzawiącym, który najpierw drażni nozdrza, a potem dusi.

Wielu protestujących jest na to przygotowanych. Przychodzą w maskach i goglach, które pozwalają przetrwać w dymie. Reszta, z wiecznie zapłakanymi oczami, ma kieszenie wypchane cebulą, która koi oczy i nos, i pozwala wrócić do siebie po gazowym ataku. Tym nieprzygotowanym inni uczestnicy protestu rozdają równo pocięte kawałki cebuli. Dostaję moją porcję. Nikt nie zostaje pozostawiony sam sobie.

Tego dnia 728 osób odniesie rany, a jeden policjant umrze na skutek upadku z wysokości. Wieczorem grupa protestujących pod wodzą emerytowanych generałów wdziera się do siedziby Stowarzyszenia Banków Libanu i kilku ministerstw, ogłaszając jedno z nich siedzibą rewolucji. Po paru godzinach policja przepędza stamtąd protestujących.

Ale to nie koniec. Zamieszki trwają każdego kolejnego dnia – i z każdym dniem służby porządkowe odpowiadają z nieproporcjonalną siłą. Służby, które jeszcze na początku rewolucji, w październiku, nie chciały tłumić protestów, często solidaryzując się z ludem, dziś strzelają na oślep gumowymi pociskami i zagazowują całe ulice, tak jak robi się w najgorszych dyktaturach.

Jednak Liban to nie dyktatura. To kraj, który kocha wolność. Tutaj, w porównaniu do innych miejsc na Bliskim Wschodzie, zawsze można było pozwolić sobie na więcej. To kraj, który Francuzi pokochali jako najwspanialszą ze swoich kolonii.

Deus ex machina

Część obserwatorów, wrażliwych na kolonialne konotacje, poczuła niesmak i ukłucie zażenowania, gdy dwa dni po tragicznym wybuchu francuski prezydent Emmanuel Macron przemierzał ulice Gemmayzeh. Jednak wielu Libańczyków wiwatowało na jego widok – zobaczyli w nim zbawcę, *deus ex machina* dla uciemiężonego narodu, siłę zewnętrzną, która zabierze się za naprawę kraju. W czasie kryzysu ludzie szukają liderów. W obliczu braku autorytetów w Libanie znaleźli go w przywódcy Francuzów.

„Porozmawiam z siłami politycznymi i poproszę ich o nową umowę. Jestem dziś tutaj, żeby zaproponować im nową umowę polityczną" – mówił Macron.

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Zniszczone okolice portu w Bejrucie, 10 sierpnia 2020 r.

Zapewniał też, że pomoc z zagranicy nie trafi w skorumpowane ręce.

Jak powiedział, tak zrobił. W niedzielę 9 sierpnia, podczas internetowej konferencji, która odbyła się z inicjatywy Francji i ONZ, społeczność międzynarodowa zobowiązała się przekazać Libanowi pomoc w wysokości niemal 300 mln dolarów, ale pod warunkiem wprowadzenia reform.

Pomoc ma trafić bezpośrednio do Libańczyków, przez ONZ i organizacje pomocowe, z ominięciem rządu, któremu dziś nie ufa już nikt. Szczególnie, że nikt nie ma wątpliwości, iż powołany w styczniu tego roku gabinet premiera Hassana Diaba był blisko związany z Hezbollahem – największą szyicką partią, wspieraną przez Iran i Syrię, a jednocześnie jedyną religijną siłą zbrojną, która po wojnie domowej nie podległa demobilizacji. To właśnie Hezbollah i jego irański sponsor wywołują dziś w protestujących najwięcej niechęci.

W odpowiedzi na międzynarodowy plan ratowania Libanu w Iranie zagrzmiało. Politycy z Teheranu oskarżyli Macrona o działanie w interesie Izraela i wezwali USA do zdjęcia sankcji nałożonych na Hezbollah, które ich zdaniem przyczyniły się do upadku libańskiej gospodarki.

Dziś jednak wpływ Iranu na sytuację w Libanie jest dużo mniejszy niż jeszcze parę lat temu. Amerykańskie sankcje mocno uderzyły w irańską gospodarkę, podobnie jak rekordowo niskie ceny ropy i pandemia, która szczególnie dotknęła tę Islamską Republikę.

Co myśli milcząca większość?

Potem był ciąg dalszy. W poniedziałek, 10 sierpnia, premier Diab podał się do dymisji. Przyznał, że nie dał rady wygrać ze skorumpowanym systemem – co przyjęto powszechnie jako żart, bo sam przecież ten system tworzył.

Liban czeka zatem na powołanie nowego gabinetu, ale to nie zadowoli ulicy. Z kolei rozpisanie nowych wyborów będzie miało sens tylko wtedy, gdy głosowanie nie będzie przebiegać wedle linii wyznaniowych. To jednak wymagałoby zmiany systemu politycznego, na którym Liban opierał się przez ostatnich 30 lat.

– Uważam, że w kraju takim jak nasz nie ma alternatywy dla podziału władzy i wątpię, żeby ludzie nagle przestali głosować według wyznania, gdyby system wyznaniowy został zniesiony – mówi mi Eduardo Wassim Aboultaif, politolog z Uniwersytetu Aberdeen. – Potrzebujemy nowego prawa wyborczego, bazującego na zasadzie proporcjonalności, by zbudować niewyznaniowy parlament. Jednocześnie musimy stworzyć izbę wyższą, nazwijmy ją senatem, w której wszystkie grupy będą równo reprezentowane. Taki senat mógłby wetować prawa odnoszące się do religii, natury systemu i innych kwestii widzianych jako potencjalne zagrożenie dla społeczności.

Aboultaif uważa, że to właśnie zmiany w obecnym systemie, a nie jego obalenie, mogą pomóc Libanowi wyjść z politycznego klinczu. Jego całkowita reforma mogłaby bowiem przywrócić sytuację sprzed tragicznych dni wojny domowej, a nawet doprowadzić do nowego konfliktu.

Jednak władze nie spieszą się z wprowadzaniem nawet kosmetycznych reform. Nie wiadomo też, co myśli milcząca większość Libańczyków – i jak zachowałaby się ona w przypadku wyborów.

Czekając na cud

18-letnia Tara, która właśnie uciekła przed atakiem gazu łzawiącego, mówi z ekscytacją, a żółta maska zakrywa jej usta i nos. W oddali słychać eksplozje policyjnych granatów hukowych i krzyki protestujących.

– Jedyne, co możemy zrobić, to obalić władzę. To jest minimum – Tara przekrzykuje odgłosy ulicznej bitwy. – Zło zwycięża u nas z dobrem. Podziały są na stałe wpisane w libański sposób myślenia. Dlatego nie mamy wyjścia. I oczekujemy pomocy z zagranicy.

Ale zachodnia pomoc, nawet najbardziej hojna, nie wybawi Libanu, bo nie ma do tego odpowiednich narzędzi.

Zdesperowani Libańczycy czekają więc na cud.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Mniejsze zło

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Joe Biden wybrał na swoją kandydatkę na wiceprezydenta USA czarnoskórą senatorkę Kamalę Harris. Czy to wystarczy, aby Afroamerykanie uwierzyli, że polityk Partii Demokratycznej wyciągnie ich z biedy i zwalczy rasizm?

Jamarcus Dove-Simmons ma 18 lat i ponad 10 tys. obserwujących na Twitterze. W jednym z tweetów pisze, że jest za ochroną życia, dostępem do broni palnej i nie wstydzi się tego, że popiera Donalda Trumpa. Nastolatek z 40-tysięcznego miasta Spartanburg w Karolinie Południowej ma już mocno sprecyzowane poglądy. Podobnie jak plany na przyszłość: najpierw służba w siłach powietrznych USA, potem studia i kariera w polityce.

Dla Jamarcusa, czarnoskórego syna nauczycielki z biednej dzielnicy Spartanburga, taki scenariusz życiowy to być może jedyna szansa na społeczny awans.

W politykę nastolatek włączył się zresztą już teraz: zaangażował się w kampanię Donalda Trumpa i wspiera w internecie jego reelekcję.

Jak może głosować czarnoskóry

Z Jamarcusem rozmawiam tuż po pogrzebie Johna Lewisa – kongresmena i legendarnego działacza ruchu na rzecz równouprawnienia czarnoskórych [o Lewisie patrz tekst w dziale Wiara w tym numerze – red.]. Podczas uroczystości pożegnalnych w Atlancie przemawiało trzech byłych prezydentów USA: Bill Clinton, George W. Bush i Barack Obama. Ten ostatni skrytykował wówczas Trumpa za jego reakcję na demonstracje po śmierci George'a Floyda, uduszonego przez policjanta.

Przypomnijmy, że prezydent USA straszył użyciem wojska na ulicach, a uczestników demonstracji – protestujących pod hasłem „Black Lives Matter" („Czarne życie się liczy") – nazywał „bandytami". W Stanach wrzało też pod koniec lipca, gdy Trump wysłał funkcjonariuszy federalnych do Portland w stanie Oregon. W trakcie antyrasistowskich demonstracji doszło tam do starć, funkcjonariusze używali gazu łzawiącego i pałek.

Pytam Jamarcusa, czy podoba mu się, że Trump twardą ręką chciałby zaprowadzać porządek w protestujących miastach. W końcu chłopak należy do młodego pokolenia Afroamerykanów, które po śmierci Floyda tłumnie wyszło na ulice.

– Całym sercem wspieram ruch „Black Lives Matter"! Ale nie może tak być, że przy okazji jacyś zadymiarze rzucają w policję kamieniami i demolują sklepy! – Jamarcus unosi się, zaczyna krzyczeć. – Gdy kilka lat temu doszło do podobnych zamieszek w Baltimore i Ferguson, Obama też mówił o „bandytach"! Tylko że wtedy mówił to polityki Partii Demokratycznej, a nie Republikanin. A ja cenię Trumpa za to, że nie dba o polityczną poprawność i nazywa sprawy po imieniu.

– Mam tego dość, że Partia Demokratyczna stara się nam wmówić, że jeśli jej nie wspieramy, to nie jesteśmy prawdziwymi Afroamerykanami – dodaje Jamarcus, odnosząc się do wypowiedzi Joego Bidena, która wywołała sporo kontrowersji. W rozmowie z czarnoskórym dziennikarzem rywal Trumpa w wyborach prezydenckich rzucił: „Jeśli masz problem, by zdecydować, czy jesteś za mną czy za Trumpem, to znaczy, że nie jesteś czarny".

– Takie słowa są oburzające – uważa 18-latek, który w tym roku po raz pierwszy będzie głosować w wyborach prezydenckich. – Żaden biały i stary polityk nie będzie mi mówił, kogo mam wspierać! – znów się unosi, nawiązując do wieku Bidena (77 lat).

Jamarcus uważa, że choć Afroamerykanie faktycznie zwykle głosują na Demokratów, to prawie nic z tego nie mają: – W czarnych dzielnicach wciąż mamy problem z przestępczością, biedą i bezdomnością. Skoro ludzie chcą zmiany, to czemu dalej popierają Partię Demokratyczną? Powinni spróbować czegoś nowego! To dzięki temu, że wspieram prezydenta, osiągnąłem już sukces. Jestem znany w mediach społecznościowych, byłem z wizytą w Białym Domu. Dla innych czarnoskórych to nieosiągalne.

Żelazny elektorat

Jamarcus Dove-Simmons należy do garstki Afroamerykanów, którzy deklarują poparcie dla Trumpa. Gdy w 2016 r. nowojorski biznesmen ubiegał się o urząd prezydenta, zaufało mu 8 proc. czarnoskórych wyborców. Jego przekaz do nich był wtedy prosty: przekonywał, że głosując na Republikanina, nie mają nic do stracenia. Część konserwatywnych Afroamerykanów zapewne dała się też porwać antyaborcyjnej retoryce Trumpa, który obiecywał, że zmieni kształt wymiaru sprawiedliwości, mianując sędziów znanych z poglądów *pro-life*.

Choć ponad 80 proc. Afroamerykanów uważa Trumpa za rasistę, ten idzie w zaparte i w swojej walce o reelekcję wyciąga do nich rękę. Zanim Ameryka pogrążyła się w kryzysie wywołanym pandemią, sztabowcy prezydenta otworzyli biura w dzielnicach czarnoskórych w Wiscon-

CAROLYN KASTER / AP / EAST NEWS

Joe Biden i Kamala Harris podczas wystąpienia wyborczego w mieście Wilmington w stanie Delaware, 12 sierpnia 2020 r.

sin, Georgii, Michigan, Pensylwanii, Karolinie Północnej i na Florydzie. Podczas wieców Trump mówił o rekordowo niskim bezrobociu wśród Afroamerykanów i chwalił się, że za jego rządów inwestuje się w zamieszkanych przez nich dzielnicach.

Chodzi o projekt specjalnych stref ekonomicznych, które przynajmniej w teorii mają pomóc w tworzeniu miejsc pracy i rozbudowie infrastruktury. Takie strefy powstały m.in. w Spartanburgu. Jamarcus twierdzi, że dzięki dodatkowemu zastrzykowi pieniędzy w jego mieście zbudowano supermarket, szkołę i cztery parki.

Jednak Trump może obiecywać złote góry, a Afroamerykanie i tak pozostaną żelaznym elektoratem Partii Demokratycznej. Już nieraz pomogli wprowadzić kandydata tej partii do Białego Domu. Tak było również w latach 2008 i 2012, gdy ruszyli tłumnie do urn i głosowali na Obamę.

Ich wsparcie okazało się kluczowe także w tegorocznych prawyborach w Partii Demokratycznej. Biden prawie żegnał się już z wyścigiem, gdy nieoczekiwanie wygrał w Karolinie Południowej, zamieszkanej przez liczną społeczność Afroamerykanów. Potem zadziałał efekt domina: podczas głosowania w tzw. superwtorek – gdy jednego dnia następuje kumulacja prawyborów w wielu stanach – zmiażdżył swego rywala Berniego Sandersa i wysunął się na prowadzenie.

Bidena, który partyjną nominację ma już w kieszeni, popiera 92 proc. czarnoskórych wyborców. Ale to nie znaczy, że wszyscy go uwielbiają. Z sondażu dziennika „Washington Post" i ośrodka Ipsos wynika, że połowa czarnoskórych wyborców poprze go tylko dlatego, że nie chce kolejnej kadencji Trumpa.

Sondaże sugerują dziś, że Biden ma spore szanse na pokonanie rywala. Według uśrednionego wyniku sondaży, wyliczonego przez portal RealClearPolitics, Demokrata ma przewagę co najmniej pięciu punktów procentowych w takich kluczowych stanach jak Floryda, Michigan, Wisconsin i Pensylwania.

Całe życie na Demokratów

Na niecałe trzy miesiące przed głosowaniem pytam czarnoskórych wyborców, co sądzą o kandydaturze Bidena.

Dorothy Weaver, emerytowana nauczycielka z Mobile w Alabamie: – On nie jest kandydatem idealnym, ale cieszę się, że wybrał na swoją wiceprezydentkę Kamalę Harris. Była moją faworytką w prawyborach Partii Demokratycznej. Żałowałam, że odpadła tak szybko i nie mogłam na nią głosować w superwtorek.

Od 1980 r. Dorothy nie opuściła żadnych wyborów prezydenckich: – Przez całe życie głosuję na Demokratów. Nie rozumiem tych, którzy choćby rozważali poparcie dla Republikanina, a już tym bardziej dla Trumpa. Jego reakcja na protesty po śmierci Floyda to zupełna porażka. Zamiast odnieść się do problemu rasizmu, nazwał demonstrujących „bandytami"! Nie sądzę, żeby ten człowiek miał jakikolwiek szacunek dla czarnoskórych.

Dorothy uważa, że Republikanie wyciągają do nich rękę tylko przed wyborami: – Gdy Obama startował w 2008 r., do naszego kościoła przychodzili ludzie z ruchu *pro-life* i zachęcali do głosowania na republikańskiego kandydata. Wiesz, co mówili? Że wspierana przez liberałów organizacja Planned Parenthood [oferuje zabiegi usuwania ciąży – red.] powstała po to, by zmniejszyć liczbę urodzeń wśród czarnoskórych! – krzyczy 60-latka, odnosząc się do kontrowersji wokół Margaret Sanger, założycielki organizacji i aktywistki propagującej antykoncepcję. Zwolennicy ruchu *pro-life* twierdzą, że jej antykoncepcyjna krucjata wśród Afroamerykanów miała podłoże rasistowskie.

– Dla mnie to są brednie – dodaje Dorothy. – Szanuję to, że ktoś ma konserwatywne poglądy. Ale sam fakt, że jakiś polityk jest za obroną życia, nie czyni z niego dobrego kandydata na prezydenta. Najważniejsze są kompetencje do rządzenia krajem. A takie miał Obama i takie ma Biden. Przecież Joe nie zostałby wiceprezydentem, gdyby prezydent Obama miał wątpliwości co do jego kwalifikacji.

Nauczycielka dodaje, że jeśli Biden wygra, to bardzo chciałaby, aby obniżył koszty ubezpieczeń zdrowotnych i podwyższył federalną płacę minimalną: – Wiesz, że u nas w Alabamie najbiedniejsi zarabiają tylko 7,25 dolara za godzinę? Przecież przy takich zarobkach nie można się utrzymać. Spójrzmy na mojego 41-letniego syna. Jest kierowcą, rozwozi towary po sklepach. Choć pracuje na cały etat, musi dorabiać w weekend jako kurier. ↦

↦ Śmieszyły mnie słowa Trumpa, który jeszcze kilka miesięcy temu chwalił się rekordowo niskim bezrobociem. Niektórzy Amerykanie muszą harować w dwóch-trzech pracach, żeby opłacić rachunki.

Typowy polityk, ale co robić

Randale Watson jest menedżerem w Whole Foods, popularnej sieci sklepów spożywczych. Mieszka w San Francisco, mieście bardzo liberalnym. Mówi, że establishmentu Partii Demokratycznej nie znosi z równą siłą co Donalda Trumpa.

– Biden to dla mnie kolejny biały partyjny wyjadacz, który zwodzi obietnicami. A jak zdobędzie już stołek, wszystko będzie po staremu – przekonuje Randale. – Jak mam ufać politykowi, który nawołuje do wykorzenienia rasizmu z policji, a sam kiedyś przyczynił się do zwiększenia patroli w czarnych dzielnicach?

Randale nawiązuje do współtworzonej przez Bidena ustawy z 1994 r. W jej ramach zaostrzono przepisy karne, wybudowano nowe więzienia i zatrudniono sto tysięcy dodatkowych policjantów. Niektórzy zarzucają Bidenowi, że ta ustawa uderzyła w Afroamerykanów, którzy znacznie częściej niż biali trafiają za kraty. Wielokrotnie krytykowała go za to zresztą Kamala Harris – dziś senatorka, jeszcze kilka lat temu była prokuratorką generalną Kalifornii.

– Biden lubi przedstawiać się jako przyjaciel czarnych, bo był wiceprezydentem za Obamy – twierdzi Randale. – Ale to nie czyni z niego polityka oddanego naszej sprawie. To nie jest ideowiec, jak senator Sanders, który od lat walczy o powszechną opiekę zdrowotną, bezpłatne studia i podwyższenie płacy minimalnej. To on powinien zdobyć nominację Partii Demokratycznej! Nie dziwię się jednak, że nie przepadają za nim niektórzy Amerykanie, a już tym bardziej partyjny establishment. Przecież on chce dodatkowo opodatkować bogaczy, a to nie podoba się sponsorom, którzy finansują kampanie wyborcze Demokratów.

Randale uważa, że zwycięstwo Trumpa w 2016 r. to dowód, iż demokracja w USA jest chora: – Bogaty biznesmen opłacił sobie kampanię i karmił ludzi populistycznymi hasłami. To przerażające, że Amerykanie zagłosowali na prostaka, który teraz niszczy nasz kraj. Gdyby w 2016 r. wygrała Hillary Clinton, mielibyśmy przewidywalnego lidera, który choć załatwia za zamkniętymi drzwiami partyjne interesy, to przynajmniej robi dobre wrażenie.

ARCHIWUM PRYWATNE

JAMARCUS DOVE-SIMMONS
Nastolatek z Karoliny Południowej chce zostać wojskowym, a potem politykiem. Wspiera w internecie kampanię wyborczą Trumpa.

ARCHIWUM PRYWATNE

DOROTHY WEAVER
Emerytowana nauczycielka z Alabamy całe życie głosuje na Demokratów. Cieszy się, że Biden wybrał Harris na swoją zastępczynię.

ARCHIWUM PRYWATNE

RANDALE WATSON
Menedżer z Kalifornii uważa, że Biden to partyjny wyjadacz, który zwodzi wyborców. Zagłosuje na niego jako na mniejsze zło.

Randale przyznaje, że w listopadzie zagłosuje na Bidena: – To będą kolejne wybory, w których będę musiał wybrać mniejsze zło.

Na początek wystarczy

Heather Fatzinger, 46-letnia właścicielka agencji reklamowej z Atlanty, jest z natury sceptyczką. Nie wierzy, że Demokraci przeforsują federalną reformę policji (na razie nie mogą się w tej sprawie dogadać z Republikanami). Afroamerykanka wątpi też, że antyrasistowskie demonstracje zmienią coś w Stanach.

– Nie zrozum mnie źle – mówi Heather. – Wspieram ruch „Black Lives Matter", ale uważam, że uczestnictwo w takich protestach do niczego nie prowadzi. Choć oczywiście rozumiem, że niektórzy są tak sfrustrowani, że tylko tak mogą wyrazić swój gniew. Przecież każdy z nas może doświadczyć rasizmu. Jak każda czarnoskóra matka będę musiała kiedyś szczerze porozmawiać z moim synem. Gdy zrobi prawo jazdy, powiem mu, jak ma się zachowywać, gdy zatrzyma go policja. Wytłumaczę, że nie powinien zdejmować rąk z kierownicy, bo policjant pomyśli, że chce chwycić za broń. Że ma zachować spokój, nawet jeśli policjant będzie się do niego odnosił bez szacunku.

– Joe Biden podkreśla swoje poparcie dla federalnej reformy policji, ale ja wierzę, że bardziej skuteczne są zmiany na poziomie lokalnym i stanowym. Tu politykom z przeciwnych obozów łatwiej się porozumieć – przekonuje.

Heather uważa, że epidemia ukazała nierówności w USA: – Gdy u nas w Atlancie zamknięto szkoły, dzieci z biednych rodzin zostały odcięte od szkolnego programu dożywiania. Dla niektórych jedyną deską ratunku była pomoc organizacji pozarządowych. Podobnie było z dostępem do komputera i internetu. Ludzie, którym w życiu się powiodło, myślą, że każde dziecko może uczestniczyć w lekcjach *online* w domu.

Gdy cztery lata temu Trump wygrał wyścig o Biały Dom, Heather poczuła się tak, jakby została odrzucona przez swój własny kraj: – Bo jak to możliwe, że Amerykanie wybrali prezydenta, który nie ma szacunku do kolorowych społeczności, kobiet i ludzi biednych?

Heather jest jednak przekonana, że także Biden nie przejmuje się losem Afroamerykanów: – Ale on przynajmniej nie zachowuje się jak rasista. To na początek wystarczy.

© MARTA ZDZIEBORSKA

KIM HONG-JI / REUTERS / FORUM

Uciekinier z Północy przygotowuje się do wypuszczenia balonu z ulotkami przeciw reżimowi Kim Dzong Una, 29 kwietnia 2016 r.

Wojna balonowa

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Rząd w Seulu cofnął licencję dwóm organizacjom, które walczą o prawa człowieka na komunistycznej Północy. Wszystko z powodu wysyłanych balonami ulotek, które rozwścieczyły władze w Pjongjangu.

Dla Park Sang-haka ostatnie tygodnie to chyba najgorszy czas od chwili, gdy udało mu się uciec z Korei Północnej. Otrzymał zakaz opuszczania Korei Południowej. Trwa też śledztwo, w ramach którego policja przeszukała jego mieszkanie i prześledziła transakcje z konta bankowego; w dodatku jego prywatny adres został ujawniony przez jedną ze stacji telewizyjnych.

Wcześniej Park przeżył kilka zamachów na swoje życie – organizowanych przez tajne służby Korei Północnej – i do tej pory jego domowy adres był znany jedynie południowokoreańskiej policji. Wprawdzie aktywista i tak jest pod stałą ochroną służb, ale w ostatnim czasie oznacza to również, że jest nieustannie śledzony. Rząd w Seulu odrzucił jego prośbę, aby poniechano tej – w jego oczach – niedźwiedziej przysługi.

Ale stanowisko rządu, który cofnął licencję jego organizacji (co nie czyni jej nielegalną, ale utrudnia działalność, bo odbiera dostęp do funduszy, w tym możliwości zbierania pieniędzy), też można jakoś zrozumieć. W końcu Park Sang-hak z uporem zapowiada, że nie zaprzestanie wysyłania na Północ balonów, które stały się przyczyną ostatnich napięć między Północą i Południem.

Eskalacja z premedytacją

Wokół Park Sang-haka zrobiło się głośno w Korei Południowej po tym, jak rozwścieczone władze Północy nakazały wysadzić w powietrze – w sensie dosłownym – budynek biura łącznikowego w Kaesong.

Biuro, wybudowane za pieniądze Korei Południowej, było dumą administracji Moon Jae-ina; traktowano je jako widomy dowód na skuteczność polityki dialogu, forsowanej przez tego południowokoreańskiego prezydenta. Teraz Północ radykalnie zakończyła okres przyjaźni.

Fala propagandowej nienawiści, zainicjonowana przez Kim Jo Dzong – siostrę dyktatora, która ostatnio ma wiele do powiedzenia w polityce Północy – popłynęła także przez tamtejsze państwowe media. Propaganda skupiła się zwłaszcza na aktywistach z Południa oraz na uciekinierach. Podczas masowych wieców organizowanych na Północy spędzone tłumy krzyczały, że należy rozerwać ich na strzępy.

Analitycy badający „życie wewnętrzne" północnokoreańskiej dyktatury w większości postrzegają te działania jako pretekst mający celowo doprowadzić do wzrostu napięć. Pjongjang argumentował, że balony, wysyłane oddolnie przez aktywistów, łamią porozumienie z 2017 r. To o tyle mało wiarygodne uzasadnienie, że do tej pory Pjongjang nie przejmował się podpisanymi deklaracjami. Wbrew nim organizował różne ćwiczenia militarne, nie zrezygnował z propagandowych rozgłośni, a nawet... z wysyłania własnych balonów.

Transportowane przez nie ulotki – atakujące południowokoreańskich konserwatystów, obecność wojsk USA na Półwyspie czy nawołujące do szybkiego ↦

↦ zjednoczenia – stale są znajdowane w górach, na wyspach i w strefie zdemilitaryzowanej. Na Południu mało kto się nimi przejmuje, zwykle szybko lądują w koszach na śmieci.

Tym bardziej zaskakująca była odpowiedź, którą przedstawiła rządząca na Południu Partia Demokratyczna. W oświadczeniu, które pojawiło się już kilka godzin po pierwszych pogróżkach Północy, zapowiedziano rozwiązanie problemu kłopotliwych przesyłek. Wyglądało na to, że żądania Kim Jo Dzon, dotyczące „posprzątania śmieci we własnym domu", nie poszły na marne. Jednak sprawa podzieliła społeczeństwo demokratycznej Korei. Podczas gdy organizacje humanitarne wystąpiły w obronie wolności słowa, w mediach dyskutowano przede wszystkim o skuteczności samej praktyki wysyłania balonów.

Ryż i ulotki

Wysyłanie balonów z propagandą to tradycja, która sięga jeszcze czasów, gdy wojna na Półwyspie Koreańskim (1950-53) skończyła się tylko rozejmem, trwającym zresztą do dziś. Jednak Korea Południowa zarzuciła takie działania – na poziomie państwowym – już lata temu (w przeciwieństwie do sąsiada). Kontynuuje je zaledwie kilka organizacji pozarządowych.

Najważniejsze z nich – te, których dotknęły ostatnie sankcje władz Południa – to Voice of the Martyrs Korea oraz Fighters for a Free North Korea. Pierwsza wysyła na Północ tylko Biblie. Drugą prowadzi wspomniany Park Sang-hak; wysyła ona balony od 15 lat. Transportują produkty mogące praktycznie przydać się na Północy (jak ryż czy nośniki danych), a także materiały ośmieszające dyktatora Kim Dzong Una, książki o zaletach wolnego rynku, czasem nawet dolary.

Park traktuje tę akcję osobiście – z powodu ucieczki stracił rodzinę, a w dodatku jest przekonany o sile wysyłanych ulotek. Utrzymuje, że jedna z nich wpłynęła na jego decyzję o opuszczeniu Północy.

Działania takie krytykuje prof. Jay Song, która pracuje dziś na uniwersytecie w Melbourne. Kontaktuję się z nią przez Skype. Song argumentuje, że większość balonów nawet nie dociera na Północ (zalegają w strefie zdemilitaryzowanej), oraz że nie ma dowodu na ich skuteczność, a ci, którzy wchodzą w ich posiadanie, narażeni są na represje. – Takie działania

ROMAN HUSARSKI

Artysta Choi Sung-guk uciekł w 2010 r. z Korei Północnej do Południowej.

mają efekt antagonizujący, mobilizują mieszkańców Północy przeciw uciekinierom – uważa Song. – Ponadto z powodu balonów dochodzi do wymiany ognia, bo żołnierze do nich strzelają. Przez to mieszkańcy Paju [miasteczko w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej – red.] czują się zagrożeni.

To właśnie argument o bezpieczeństwie mieszkańców terenów przygranicznych posłużył rządowi w Seulu do wprowadzenia ograniczeń. Profesor Song wskazuje też na agresywny charakter ulotek. Jedna z nich, o której było szczególnie głośno, miała przedstawiać w niedwuznacznych pozach Ri Sŏl Ju, pierwszą damę Korei Północnej.

Przedstawiciele obu grup zaprzeczyli jednak, aby wysyłali na Północ pornografię, nawet pod postacią karykatury. Dochodzenie w tej sprawie wskazuje na grupę Blue Union, która nie działa już od lat. Możliwe więc, że ulotka – ujawniona przez rosyjską ambasadę – jest starej daty i czekała na wyjęcie z szuflady, by posłużyć do zaostrzenia relacji między Koreami.

Gdy Biblia spada z nieba

Inną perspektywę przedstawia mi Choi Sung-guk, pochodzący z Północy artysta i były pracownik studia animacji SEK. Spotykam się z nim w Guro, ubogiej dzielnicy Seulu, gdzie Choi mieszka. Należy on do nielicznego grona uciekinierów ze stołecznego Pjongjangu (nie stanowią oni nawet 3 proc. społeczności Koreańczyków z Północy żyjących dziś na Południu).

Choi uważa, że dalekosiężny wpływ balonów może być znaczący, zwłaszcza że dostarczają informacje całkowicie niedostępne w Korei Północnej. – Na pewno mają swoją wartość i przerażają rządzących. Wojsko organizuje nawet specjalne oddziały, które mają zbierać ulotki, zanim trafią w ręce mieszkańców – odpowiada na pytanie o skuteczność balonów. Choi uważa, że ostatnia gwałtowna reakcja Pjongjangu jest najlepszym dowodem, że ulotki działają aż nadto skutecznie.

Również pastor Eric Foley ze wspomnianej organizacji Voice of the Martyrs Korea podkreśla rolę niezapowiedzianych przesyłek. Argumentuje, że jego balony wyposażone są w lokalizator GPS i stąd wiadomo, że docierają na Północ. W serii artykułów dla NK News pastor tłumaczy sens wysyłania tam Pisma Świętego. Podkreśla, że nie walczy z reżimem, a jedynie próbuje odpowiedzieć na potrzeby podziemnego Kościoła.

O tym, że taki Kościół istnieje i jest prześladowany, Eric Foley miał dowiadywać się od Koreańczyków, którzy osiedlili się w Chinach. Opowiadali mu o ukrytych spotkaniach modlitewnych i doskwierającym braku Biblii. Co roku grupa wysyła więc ok. 40 tys. egzemplarzy, i to w wersji północnokoreańskiej.

W 1983 r. kontrolowane przez władze Północy Chrześcijańskie Stowarzyszenie Joseon wydało swoje tłumaczenie Biblii; był to element akcji mającej ukryć tragiczną sytuację tamtejszych chrześcijan. Jednak dostęp do tego wydania jest na Północy marginalny – i pastor Foley próbuje to zmienić. Widzi w tym początek systemowych zmian. „Biblia przedstawia zupełnie inną antropologię człowieka niż ta propagowana przez północnokoreański system. Człowiek jest człowiekiem nie dlatego, że jest lojalny lub użyteczny, ale dlatego, że został stworzony na obraz Boga" – podkreśla.

Milczenie w imię dialogu

Rządząca dziś na Południu Partia Demokratyczna, która chętnie podnosi postulat zjednoczenia Półwyspu, od lat ma problemy z uciekinierami z Północy. W okresie rządów poprzedników Moon Jae-ina – prezydentów Roh Moo-hyuna i Kim Dae-junga – także zamykano usta organizacjom walczącym o prawa człowieka na Północy w imię dialogu z reżimem Kimów (zresztą prawa człowieka nigdy nie były tematem rozmów na szczytach międzykoreańskich). W przeszłości, bywało, działający w sferze publicznej uciekinierzy doświadczali nawet różnych nadużyć ze strony władz Południa, łącznie z oskarżeniami o „zdradę".

Podobne działania widać i dziś. Przewodzi im Ministerstwo Zjednoczenia, które w tym roku obcięło fundusze dla uciekinierów o jedną czwartą. Choć z powodu zaostrzenia kontroli granicy chińsko-północnokoreańskiej i nieznacznej poprawy sytuacji ekonomicznej na Północy przy-

bywa ich teraz mniej, to jednak te środki są potrzebne.

Uciekinierom trudno zrozumieć zasady funkcjonowania kapitalistycznego społeczeństwa. Są też dyskryminowani – do tego stopnia, że nierzadko ukrywają swą tożsamość. Zwykle zarabiają mniej od osób, które urodziły się w Korei Południowej. Mimo tych trudności, według najnowszych badań Korea Hana Foundation, aż 74 proc. uchodźców utrzymuje, że jest usatysfakcjonowanych życiem na Południu; otwarte niezadowolenie deklaruje tylko 2,2 proc.

Seulskie Ministerstwo Zjednoczenia wystosowało nawet do mediów serię wskazówek, jak pisać o Północy – pretekstem była seria artykułów po tajemniczej nieobecności Kim Dzong Una i plotek o jego rzekomej śmierci. Ministerstwo, pod pozorem walki z fake newsami, zaleca dążenie do „pokojowego dziennikarstwa", które nie będzie powodować „bezzasadnej nieufności" i „nienawiści" do Korei Północnej.

Faktem jest, że temat praw człowieka na Północy jest dziś praktycznie nieobecny w przestrzeni medialnej Korei Południowej.

Dyktator się udobruchał

Trudno się dziwić, że w takim klimacie zdecydowana większość uciekinierów głosuje na południowokoreańskich konserwatystów, którzy są bardziej sceptyczni wobec sąsiada. Niektórzy trafiają do organizacji skrajnie antykomunistycznych. Pierwszym uciekinierem w seulskim parlamencie był Jo Myeong-cheol, wystawiony przez partię Saenuri w 2012 r. Do obozu partii opozycyjnej weszło po ostatnich wyborach, z kwietnia tego roku, dwóch przedstawicieli społeczności uciekinierów: były ambasador Północy w Londynie Thae Yong-ho oraz Ji Seong-ho (człowiek o wyjątkowo traumatycznej osobistej historii, który na Północy stracił dłoń i nogę).

Obaj ostatnio protestowali, twierdząc, że rząd w Seulu staje po stronie dyktatury. Otrzymali mocną odpowiedź. W studiu prorządowej telewizji KBS Ji Seong-ho usłyszał od dziennikarza, że powinien „znać swoje miejsce", bo „wpuściliśmy cię i nawet pozwoliliśmy ci zostać politykiem".

Partia Demokratyczna i zbliżone do niej media mogą sobie pozwolić na taką strategię, ponieważ sondaże wskazują, że większość społeczeństwa (choć nieznaczna) jest po ich stronie. Narracja rządzących, którzy przedstawiają grupy zajmujące się wysyłaniem balonów jako przeszkodę w pokojowej koegzystencji obu Korei, znajduje wiele zrozumienia. Oburzenie budzi natomiast wojownicza postawa Park Sang-haka, który zapowiada, że się nie podporządkuje, a prezydenta Moon Jae-ina nazywa marionetką i ukrytym miłośnikiem Północy.

Wysyłanie balonów na Północ zapewne pozostanie przedmiotem sporu i nie wiadomo, jak daleko posunie się rząd w Seulu, by zatrzymać tę aktywność. Niepokojące jest jednak, że totalitarna Północ jest w stanie wymusić na Południu ograniczenie działalności grup, które są częścią społeczeństwa obywatelskiego.

Teraz próby „udobruchania" Pjongjangu powiodły się o tyle, że Kim Dzong Un nie zdecydował się wysłać w stronę Seulu zapowiedzianych 12 mln ulotek ośmieszających Moon Jae-ina. Jednak w dłuższej perspektywie taka polityka może okazać się problematyczna, gdyż pokazuje, że szantażem można wiele ugrać – w tym zamknąć usta dysydentom.

© ROMAN HUSARSKI

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DZIEJE PEWNEJ PORAŻKI

Dwa i pół tysiąca lat temu pod Termopilami zrodził się mit szlachetnej walki do ostatniego żołnierza. Trawestując słowa Churchilla, nigdy tak nieliczni nie zaszkodzili tak bardzo tak wielu kolejnym pokoleniom.

MAREK RABIJ

W tej historii najważniejszy jest koniec, od niego więc zacznijmy. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dochodzi południe 23 sierpnia 480 r. p.n.e. Już trzeci dzień z rzędu doborowe siły Hellenów pod wodzą króla Sparty Leonidasa odpierają w rejonie Termopil kolejne uderzenia Persów. Przewaga liczebna atakujących jest miażdżąca, obrońcy zajęli jednak dogodną pozycję na przesmyku między górami a morzem, gdzie Persowie nie mogą przeprowadzić frontalnego ataku. W bezpośredniej walce świetnie wyszkoleni i lepiej uzbrojeni greccy hoplici górują nad wrogiem. Uskrzydla ich też świadomość, że bronią wolności i bezpieczeństwa najbliższych, którym najeźdźcy z pewnością nie okażą litości.

Plan wciągnięcia Persów w pułapkę terenu i wykrwawiania ich w kolejnych atakach działał dotychczas rewelacyjnie, ale tuż przed świtem zwiadowcy Leonidasa donieśli mu, że stało się coś, czego Grecy obawiali się najbardziej: zdrajca Efialtes pokazał wrogom stromą ścieżkę wijącą się wysoko nad Termopilami pośród dębowych lasów porastających stoki masywu Kallidromo, biegnącą wprost na tyły wojsk greckich.

Nadbrzeżna reduta jest stracona. Po naradzie z resztą dowódców Leonidas odsyła więc większość z około siedmiotysięcznego korpusu sojuszniczego na południe, a sam ze swoim oddziałem zajmuje najwęższą część przesmyku termopilskiego, gdzie z trudem mogą się minąć dwa wozy. Do garstki trzystu Spartan dobrowolnie dołącza czterystu hoplitów z Teb, siedmiuset Tespijczyków oraz cywil, wieszczek Megistias.

Obrońcy postanawiają uprzedzić atak wroga i z wściekłością rzucają się na szykujących się do bitwy Persów. Teraz walka toczy się właściwie na stosie trupów, wśród których znajduje się także ciało Leonidasa. Grecy połamali już włócznie, zostały im tylko miecze. Na domiar złego w nadmorską dolinę z południowego zachodu docierają perscy „nieśmiertelni", doborowa gwardia królewska, która górską ścieżką wskazaną przez Efialtesa ominęła Termopile. Tebańczycy kapitulują, prosząc władcę Persów o litość. Zwycięski Kserkses okaże im ją na swój sposób: rozkazując wypalić każdemu piętno królewskiego niewolnika na twarzy.

Garstka żyjących jeszcze Spartan formuje ostatnią falangę na szczycie wzgórza Kolonos, ale wróg już nie atakuje. Ostatnich obrońców Termopil jednego po drugim wybijają wyborowi perscy łucznicy.

Grecy tracą około dwóch tysięcy hoplitów i drugie tyle ciurów obozowych. Straty perskie idą w kilkanaście tysięcy zabitych, ale to za mało, żeby powstrzymać Kserksesa w marszu ku Attyce i Peloponezowi. Dopiero klęska zadana rok później perskiej flocie pod Salaminą zmusi najeźdźców do opuszczenia Grecji. Wcześniej zdążą zdobyć i spalić m.in. Ateny.

Przystańmy na chwilę przy tym mało znanym epizodzie kampanii 480 r. p.n.e., bo trudno o lepszy dowód na to, że historię faktycznie piszą zwycięzcy. Gdyby wojny perskie wygrali Persowie, grecka porażka pod Termopilami byłaby zapewne równie marginalnym elementem tej opowieści, co pożar Aten. Tym samym nie zrodziłby się także mit Termopil. Jeden z najsilniejszych i zarazem najbardziej kontrowersyjnych toposów zachodniej kultury.

W obronie wartości

Historia opisuje procesy, ale najbardziej pociągają ją wyraziste postaci. Generał Pierre Cambronne ze swoim *merde* (fr. gówno) pod Waterloo. Aleksander Macedoński przecinający węzeł gordyjski. Juliusz Cezar w wodach Rubikonu. Również wojnom perskim bardzo dobrze zrobi termopilskie *pars pro toto*. Sceną tej bitwy jest wszak wąziutki przesmyk ograniczony z jednej strony zatoką Meliakos, którą Morze Egejskie wcina się tu głęboko w ląd, z drugiej zaś stromym zboczem Kallidromo. To nadbrzeżne przejście, którym dziś biegnie autostrada, w czasach Leonidasa mierzy w najwęższym miejscu zaledwie dwa metry, jest więc łatwiejsze do odtworzenia w laboratorium wyobraźni od bezkształtnych równin Maratonu (na szczęście w szkole nie uczą już greki i mit bitwy z 490 r. p.n.e. ratuje błoga nieświadomość znaczenia nazwy, którą na polski można przetłumaczyć jako Koperkowo).

Pod Termopilami nie ma również tysięcy anonimowych postaci, którym – niczym szekspirowski Henryk V pod Azincourt – trzeba tłumaczyć doniosłość chwili, której wkrótce doświadczą. Leonidas nie musi klarować swoim ludziom, że:

„kto dziś przeżyje, a do domu wróci,
w górę podrośnie na dnia tego wzmiankę".

Trzystu hoplitów świadomych jest nie tylko tego, o co walczą, lecz również losu, jaki ich niechybnie spotka. Król kompletował spartański kontyngent kierując się nie tylko umiejętnościami każdego wojownika, ale też tym, by w ekspedycji wzięli udział jedynie ci, którzy już doczekali się męskiego potomka. Ta wyprawa może być ich ostatnią, ponieważ Spartanie nigdy nie uciekają z pola bitwy. Historycy po latach dojdą do wniosku, że w tej postawie tkwi w gruncie rzeczy taktyczny pragmatyzm, greccy hoplici walczą bowiem formacjami, które napierają na siebie szeregami niczym współcześni rugbyści i zdziesiątkowaną stroną niemal zawsze jest ta, która w trakcie owego *othismos* jako pierwsza zerwie szyk.

W wymiarze symbolicznym nie ma to jednak żadnego znaczenia. Trzystu ludzi Leonidasa staje do nierównej walki z przekonaniem, że to oni są w tej chwili granicą między światem helleńskiej kultury a *barbaros*, czyli ludźmi, którzy mówią innymi językami i „nie po grecku kiwają głowami" – jak napisze po latach komediopisarz Arystofanes. Wojny perskie to także pierwszy w dziejach Europy epizod starcia cywilizacji, który w kolejnych stuleciach będzie powracać ze złowieszczą cyklicznością, niemal za każdym razem ciągnąc za sobą nieszczęsny topos Termopil. Czy to brytyjska obrona Chartumu podczas powstania mahdystów, czy miasto Breslau obwołane twierdzą na rozkaz Hitlera – za każdym razem garstka obrońców walczy nie tyle o przeżycie, ile o przetrwanie jakichś „wartości".

„Tyle, co Termopile"

Spis lokalnych wariacji na temat Termopil przez te dwa i pół tysiąca lat spęczniał do kilkunastu pozycji. Najbliżej starogreckiego pierwowzoru lokuje się bitwa na przełęczy Tirad z 1899 r., nazywana wprost „filipińskimi Termopilami" przez tamtejszych historyków wojskowości. Podobieństwo obu historii jest rzeczywiście uderzające: tyły sił filipińskich, ↦

Pomnik króla Leonidasa w Termopilach, listopad 2016 r.

KOSTAS TSIRONIS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

↦ wycofujących się w góry przed napierającymi wojskami USA, osłania zaledwie 60 żołnierzy, którzy postanawiają umocnić się w rejonie wąwozu Bessang. Atakujący Amerykanie ponoszą ciężkie straty, aż w końcu szalę zwycięstwa przechyla na ich korzyść zdrada miejscowego chłopa, który za pieniądze wskazuje ścieżkę prowadzącą na tyły obrońców. Filipińczycy giną, lecz ich poświęcenie kupuje reszcie czas potrzebny na rozproszenie się w gęstych lasach i przejście do działań partyzanckich.

Swoje Termopile mają też Australijczycy, dumni z epizodu z kwietnia 1941 r., kiedy słynnego przesmyku w Grecji przez jakiś czas broniły przed Niemcami australijskie i nowozelandzkie siły ekspedycyjne. Także Francuzi w chwilach słabości nazywają czasem „Termopilami Francji" bitwę pod Verdun, a zwłaszcza epizod z bohaterską obroną fortu Vaux, która miała powstrzymać marsz Niemców na Paryż. W tej egzotycznej konkurencji palmę pierwszeństwa bezapelacyjnie dzierży jednak pewien kraj w dorzeczu Wisły.

Polonizacja Termopil zaczęła się tuż po powstaniu styczniowym, od wiersza francuskiego poety Auguste'a Barbiera, który uczcił odwagę powstańców wierszem „Atak pod Węgrowem". Poecie nie przeszkodził nawet fakt, że tamto starcie Polacy taktycznie... wygrali. W porównaniu bardziej chodziło o podkreślenie przewagi sił rosyjskich, które pod Węgrowem odważyli się zaatakować powstańcy:

„I zajaśniały owe wielkie czyny,
Jakich nam dzieje przedstawiają całe
Gdy dwóchset młodzi, jak Termopil syny,
By resztę braci zasłonić się dało,
Mężnie na paszcze rzuca się armatnie
I tam znajduje swe chwile ostatnie".

Marne było to oczywiście zwycięstwo, zaledwie wygrany epizod przegranej wojny, z czego zdawał sobie sprawę Norwid, gdy w wierszu „Vanitas" pisał, że:

„U Polaka tyle Węgrów wart,
Tyle!... co Termopile...".

Ziarno zostało jednak zasiane. Łzawa wizja przegranych bitew w słusznej sprawie zdawała się być skrojona na miarę potrzeb XIX-wiecznej historii Polski, której bardzo brakowało wiktorii z prawdziwego zdarzenia. Pokusa, a pewnie i narracyjne przyzwyczajenie okazały się tak silne, że nawet ze zwycięskiej wojny 1920 r. udało się wydłubać polskim historykom i publicystom dwa przypadki „polskich Termopil": bitwę pod Zadwórzem (17 sierpnia 1920), gdzie batalion polskich ochotników zagrodził drogę konnej armii Budionnego idącej na Lwów, oraz późniejsze o miesiąc starcie pod Dytiatynem, gdzie poświęcenie jednego plutonu dało reszcie polskich wojsk czas na przegrupowanie.

Łzawa wizja przegranych bitew w słusznej sprawie zdawała się być skrojona na miarę potrzeb XIX-wiecznej historii Polski, której bardzo **brakowało wiktorii z prawdziwego zdarzenia.**

Perłą w tej męczeńskiej koronie pozostaje jednak Wizna, gdzie 720 polskich obrońców podczas kampanii 1939 r. miało rzekomo powstrzymywać przez trzy dni ataki całej armii generała Heinza Guderiana liczącej 42 tys. żołnierzy! Mit krwawej łaźni zgotowanej Niemcom pod Wizną przez Polaków ma się wciąż świetnie. Na przekór badaniom historyków. Wskazują one, że pozycje bohaterskiego kapitana Władysława Raginisa, który przyrzekł zejść z placówki tylko z tarczą (w końcu rozerwał się granatem), zaatakowała jedynie forpoczta sił Guderiana, a na jednego zabitego Polaka wcale nie przypadało kilkudziesięciu Niemców (choć nasi zniszczyli 10 czołgów).

Internet i tak wie swoje. Mit Wizny przebił się nawet do kultury popularnej za sprawą szwedzkiego zespołu Sabaton, który poświęcił tamtym wydarzeniom piosenkę „40:1". Lider grupy, Joakim Brodén, wyjaśniał kilka lat temu „Rzeczpospolitej": „Polski fan przesłał nam kiedyś informację o bitwie pod Wizną. Kiedy przeczytaliśmy o czynach kapitana Władysława Raginisa i jego przyjaciół, była to dla nas tak nieprawdopodobna historia, że sądziliśmy najpierw, iż nie może być prawdziwa. Taka niesamowita odwaga, by 720 żołnierzy stawiało opór 42 tys. Niemców! Uznaliśmy natychmiast, że to najbardziej interesująca bitwa historii, i oczywiście napisaliśmy o tym piosenkę".

Najbardziej interesująca bitwa historii? Hoplici Leonidasa uznaliby to stwierdzenie za obelgę.

Heroizm egoizmu

Historyczna manipulacja ukryta w micie Termopil jest bowiem tym większa, że heroizm Leonidasa i jego ludzi jest w gruncie rzeczy aktem historycznego egoizmu. Starogreckie niebiosa nie mają do zaoferowania ani dziewic dla męczenników, ani nawet bukolicznej wizji upstrzonej chmurkami. Jedyne życie wieczne, jakie w greckim świecie warto sobie wywalczyć za ziemskiego żywota, to pamięć kolejnych pokoleń – i ta myśl pcha Greków do przodu nieprzerwanie od czasów Homera.

124 lata po bitwie pod Termopilami pewien szewc z Efezu podpali nawet w desperacji tamtejszą świątynię Artemidy uznawaną za jeden z cudów greckiego świata, wiedziony przekonaniem, że tylko zbrodnia może zapewnić nieśmiertelność nieudacznikowi takiemu jak on. A greckie marzenie o wiecznej pamięci okaże się tak silne, że koniec końców nie pozwoli zapomnieć nawet nazwiska sprawcy – choć pierwotnie Herostrates zostaje skazany nie tylko na śmierć, ale i na wymazanie z pamięci potomnych.

Ludzie Leonidasa na ołtarzu nieśmiertelności składają po prostu siebie samych. Na tyle skutecznie, że w 2006 r. Gerard Butler grający ich króla w filmie „300" Zacka Snydera sens całej fabuły zawiera w trzech krótkich słowach: „*This is Sparta!*". Widzowie i bez studiów nad kulturą klasyczną w lot pojmą, co ma na myśli.

To kolejny paradoks Termopil, które dziedzictwu Sparty, powszechnie uważanej w helleńskim świecie za krainę przywiązanych do miecza prostaków, niejako okupiły krwią członkostwo w europejskiej tradycji kulturowej – i to na równych prawach z literaturą i sztuką Aten czy jońską filozofią przyrody.

A przecież *agoge*, spartańskie wychowanie, jawnie gardzi tak cenionym dziś w Europie indywidualizmem. To maszynka, która ma zmienić każdego zdro-

wego obywatela w nieustraszonego, ale i bezrefleksyjnego wojownika. Już dwunastoletni chłopcy po zabraniu od matek ćwiczą się w znoszeniu bólu i niewygód. W chłodnie dni konfiskuje się im ubrania. Śpią na siennikach z ostów. Notorycznie niedożywieni, muszą kraść jedzenie, za co grozi im kara – tylko gdy zostaną schwytani, bo celem tej próby jest wyrobienie w nich umiejętności bezszelestnego skradania się.

Siedemnastoletnich kandydatów na wojowników, zwanych ejrenami, zaprawia się w pogardzie dla słabszych i dla życia ludzkiego, poddając okrutnemu rytuałowi przejścia, *kryptei*. Uczniów porzuca się na odludziu bez jedzenia i odzieży, jedynie ze sztyletami, którymi mają wywalczyć sobie wszystko, czego potrzebują do przetrwania. Ejreni napadają więc z reguły na wioski helotów, przypisanych do ziemi chłopów, i wyrzynają je w pień. Dla usprawiedliwienia tej okrutnej praktyki państwo spartańskie co roku rytualnie wypowiada helotom wojnę, mimo że od pokoleń stanowią oni po prostu najniższą, pogardzaną warstwę tamtejszego społeczeństwa.

Nawet tak okrutna formacja nie jest jednak w stanie zabić we wszystkich Spartanach odruchów człowieczeństwa. Mit wojownika, który wraca z pola walki z tarczą lub na tarczy, psują dość częste przypadki dezercji czy wręcz odmowy podjęcia walki przez całe oddziały. Spartańskie państwo militarne ostatecznie rozpadnie się pod ciężarem swojej anachroniczności, stając się najlepszym dowodem na to, że poświęcenie jednostki dla ogółu może się przekuć we wspólnotowy etos tylko wtedy, gdy płynie z potrzeby serca, a nie z rozkazu przełożonych lub przymusu zwyczajów.

Głupia odwaga

Szyby domów we francuskim miasteczku Sainte-Marie-aux-Mines zadrżały od salwy plutonu egzekucyjnego dokładnie o godzinie 10.04. Skazaniec za 18 dni skończyłby 25 lat, ale jego los na dzień przed poprzednią Wigilią przypieczętował głównodowodzący alianckich sił ekspedycyjnych generał Dwight Eisenhower, zatwierdzając wyrok śmierci za dezercję wydany na szeregowym Edwardzie Donaldzie Sloviku. Na grobie skazańca na cmentarzu w Fère-en-Tardenois, gdzie spoczął wraz z 96 innymi żołnierzami US Army rozstrzelanymi za morderstwa i gwałty, wyryto jedynie datę śmierci: 31 stycznia 1945 r. Mogiły skazańców wieńczyły krzyże w kolorze czarnym, kontrastujące z białymi symbolami na grobach poległych w walce.

Szeregowiec Slovik był jednym z 49 amerykańskich żołnierzy, którzy podczas II wojny światowej otrzymali wyrok śmierci za dezercję lub odmowę wykonania rozkazu – ale jedynym, który stanął przed plutonem egzekucyjnym. Czyn Slovika nie był nawet szczególnie odrażający. Przeciwnie: żołnierz wielokrotnie sygnalizował zwierzchnikom, że nie jest w stanie podjąć walki, i ostrzegał, że ucieknie, jeśli nie odeślą go na tyły. Eisenhower tym razem nie skorzystał z prawa łaski w obawie, że łagodne traktowanie nasili i tak rosnącą falę dezercji amerykańskich żołnierzy, którzy jesienią 1944 r. po raz pierwszy od lądowania w Normandii znaleźli się w defensywie, spychani w Ardenach przez pancerne dywizje Wehrmachtu.

Pozostałe wyroki śmierci za dezercję niemal zwyczajowo zmieniano na kary więzienia zgodnie z amerykańską doktryną wojskową, która od czasów bratobójczej rzezi wojny secesyjnej dąży za wszelką cenę do minimalizacji strat ludzkich. Na tyle skutecznie, że podczas całej II wojny światowej łączne straty amerykańskich sił zbrojnych zatrzymały się na liczbie 407 316 zabitych, podczas gdy radzieccy sztabowcy oficjalnie szacują liczbę swoich poległych na wszystkich frontach na poziomie co najmniej 8,7 mln mundurowych. Straty pokonanej armii Trzeciej Rzeszy wyniosły ok. 4,3 mln osób.

Termopilami amerykańskiej armii pozostaje mit Alamo, misji na przedmieściach obecnego San Antonio, w której budynkach 200 amerykańskich żołnierzy w lutym 1863 r. przez 13 dni odpierało kolejne wściekłe ataki sił meksykańskich. Niemal wszyscy obrońcy ponieśli śmierć, ale dzięki ich poświęceniu siły stanu Teksas pod wodzą generała Sama Houstona zdołały się przegrupować przed decydującą bitwą pod San Jacinto, po której pokonany Meksyk zrzekł się roszczeń do Teksasu. Hasło „Pamiętajcie o Alamo", rzucone tuż po tym zwycięstwie przez Houstona, nie tylko weszło do mowy potocznej, ale w amerykańskiej myśli strategicznej jest dziś jednym z haseł przypominających, by minimalizować straty ludzkie nawet za cenę utraty doraźnych korzyści taktycznych.

Wojsko amerykańskie – jak pisze znawca jankeskiej taktyki David Pierson w artykule „Bringing the Hurricane: The American Way of War" – do tego stopnia przyswoiło sobie cywilne kategorie ekonomiki, że jest dziś właściwie nieprzygotowane do długofalowych operacji na wielką skalę, kosztujących życie setek tysięcy żołnierzy. W historii nie brak heroicznych dokonań amerykańskich chłopców, których nie powstydziliby się hoplici Leonidasa: bitwa o Belleau Wood w czerwcu 1918 r., po której niemieccy żołnierze zaczęli nazywać marines „wściekłymi psami", czy poświęcenie 101. dywizji desantowej w kotle Bastogne podczas operacji ardeńskiej. Dziś jednak, jak przekonuje Pierson, w amerykańskiej myśli taktycznej Termopile, Bastogne czy Belleau Wood stanowią raczej przykład tego, czego sztuka wojenna powinna unikać, niż inspirację dla kolejnych generacji wojennych bohaterów. Doprowadzenie do impasu, z którego wyjść można tylko przez poświęcenie tysięcy istnień ludzkich, samo w sobie stanowi już klęskę.

W gruncie rzeczy Termopile są bowiem przypowieścią o zdrowym rozsądku. „Niezależnie od męstwa i stanowczości w czasie wojny istnieje jednak granica, po przekroczeniu której dalszy opór może być nazywany tylko rozpaczliwą głupotą" – pisał pruski teoretyk wojskowości Carl von Clausewitz w słynnym traktacie „O wojnie". Miał rację. 22 lutego 1945 r. pierwsza linia obrony twierdzy Breslau, przedstawianej w nazistowskich mediach jako niemieckie Termopile, przebiegała właśnie przez stary cmentarz przy Lohestrasse, na którym w 1831 r. pochowano Clausewitza, a radzieckie pociski dziurawiły zmurszałą płytę nagrobkową jego grobowca.

Miasto poddało się dopiero 6 maja 1945 r., tydzień po śmierci Hitlera, który rozkazał mu walczyć do ostatniego człowieka. Wehrmacht stracił podczas tej operacji ok. 6 tys. zabitych. Liczba cywilnych ofiar sięgnęła 80 tysięcy.

©℗ MAREK RABIJ

Fragment „Henryka V" Szekspira w przekładzie Leona Ulricha. Fragment wiersza Auguste'a Barbiera w przekładzie anonimowym.

WOJCIECH

Bonowicz: *Metafory*

Wszystko uderza we mnie naraz: Białoruś, Bejrut, Bułgaria, Hongkong, Krakowskie Przedmieście. Do tego stale rosnące „liczby dnia" i nieustępliwy upał, który każe myśleć o tym, co czeka nas w przyszłości. Staram się brać krótki prysznic, kontrolować zużycie wody i energii, minimalizować ilość śmieci. Staram się wysyłać sygnały solidarności, wspierać tych, którzy są załamani, powtarzać, że ostatnie słowo należy do nadziei. Wszystko to za mało, mówi ktoś w moim wnętrzu. Nie rezygnuj z tego „mało", rób więcej – mówi ktoś inny.

Białoruś... Znamy te paroksyzmy władzy, która wie, że słabnie, ale wciąż ma dość siły, żeby kąsać. I może kąsać jeszcze długo. Byłem w Mińsku w lutym. To przerażająco czyste miasto. Nie pamiętam już, kto napisał, że tam, gdzie całkiem znikną śmieci, z czasem zaczną znikać ludzie. Jest czystość, która bierze się z poczucia odpowiedzialności, i jest czystość autorytarna. Choć trudno w to uwierzyć, świat rządzony nakazami i strachem może być piękny. To nic, że jego piękno jest złudą, fasadą. Nikt nie lubi brodzić w śmieciach. Kocha się władzę, która „dba o porządek".

Pojęcie „czystości" przenosi się na inne sfery, podobnie jak pojęcie „porządku". Z jednej strony są „stróże porządku", z drugiej – „kryminaliści", „bandyci". W im ciemniejszych barwach władza przedstawi protestujących, tym więcej światła pada na nią samą. Cóż by to była za władza, która by nie „świeciła"? Oto zewsząd napierają siły ciemności. Są odrażające – jak na obrazach Boscha. Jeśli komuś wydaje się, że one również świecą, niech się przyjrzy uważnie: to światło piekieł, które nam gotują, pochodni, którymi chcą podpalić świat. Któż może im się przeciwstawić? Tylko władza, która „świeci" światłem autentycznym, która sama jest źródłem światła. Władza-słońce.

Moc najbardziej pierwotnych metafor jest ogromna. I uniwersalna – nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak bardzo przemawia do nas ich język. Metafory mogą być uzasadnieniem przemocy albo nadziei. Ludzie potrafią pobiec za metaforą z pałką w ręku, żeby wymierzyć sprawiedliwość tym, których metafora wskazała jako winnych. Ale mogą też nadstawić dla niej głowę.

Na metafory, którymi posługuje się władza, trzeba odpowiedzieć własnymi. Ale zdjęcia z Białorusi pokazują przecież żywych ludzi, którzy właśnie protestują, a to znaczy – walczą z własnym strachem, ściągając na siebie niebezpieczeństwo. W dodatku na zdjęciach wszystko się miesza. Oto mężczyzna wyciąga rękę w kierunku atakujących go policjantów. Trzyma w niej bukiet wrzosów. Chwilę potem ramiona ma już wykręcone, lecz bukietu nie wypuszcza z dłoni. Kim jest? Wydaje się, że na koszulce ma godło Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Jeśli tak, zdjęcie robi się dwuznaczne. A władzy, która chce być „jasna" – a więc i jednoznaczna – bardzo zależy, aby wychwycić i uwypuklić wszelkie „dwuznaczności" opozycji. Ludzie nie muszą stanąć wprost po stronie władzy, wystarczy, że na protestujących przeciwko niej będą patrzeć z dystansu, nieufnie, nie dowierzając. Władza żywi się nie tylko oddaniem, ale też obojętnością.

Lecz każda władza kiedyś „ściemnieje". To marna pociecha, mówi czyjś głos w moim wnętrzu. To jedyna nadzieja – odpowiada inny. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

LEKtura
czyli Grzegorz Jankowicz o tym, co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Więcej na powszech.net/podkast

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
TP 34/2020

1980 POLSKI ROK

Solidarnie wobec przeciwności

MAREK PRAWDA

Solidarność to lekcja, którą trzeba odrabiać również dziś, na nowo. Bo świat jest ciągle dynamiczny – co pokazują wydarzenia na Ukrainie i Białorusi.

Była początkiem lawiny, która zniosła podział Europy: Solidarność, największy ruch społeczny w najnowszej historii kontynentu. Do dziś trwają spory, kto obalił komunizm: politycy czy obywatele. Doceniamy zasługi polityków, ale kluczowe było pojawienie się w 1980 r. nowego aktora – społeczeństwa. Kto odsuwa na drugi plan rolę obywateli, ten nigdy nie zrozumie istoty tamtej pokojowej rewolucji, gdy zwykli ludzie tworzyli historię.

SIERPIEŃ '80 dał też podstawę nowej wspólnocie dążeń i wartości ponad granicami, bez której nie byłoby przełomu roku 1989 i obalenia muru w Berlinie. Przecież ten mur nie zawalił się sam – dużo wcześniej zaczęła się historia ruchów opozycyjnych w naszej części Europy (wśród których nie powinniśmy zapominać o roli odważnych dysydentów w Związku Sowieckim). Bez Sierpnia '80 wschodnioniemiecki opozycjonista Roland Jahn nie mógłby opowiadać dziś rodakom, że w przełomowej manifestacji w Lipsku w październiku 1989 r. „symbolicznie, w naszych głowach maszerowała z nami polska Solidarność". Wtedy, jesienią 1989 r., Polacy trzymali kciuki za protestujących wokół lipskiego kościoła św. Mikołaja. Już wtedy w naszym regionie rozumieliśmy, że możemy wygrać razem albo wcale.

Tak rodziła się Europa, jak ją wtedy pojmowaliśmy. Nasze regionalne doświadczenie stało się ważnym dopełnieniem powojennego mitu założycielskiego jednoczącej się Europy. Ale też lekcją, którą trzeba odrabiać również dziś, na nowo. Bo świat jest ciągle dynamiczny – co pokazują wydarzenia z ostatnich lat na Ukrainie, a także te niedawne na Białorusi.

Rocznica Sierpnia jest też impulsem do rozmowy o tym, dlaczego Europa jest ważna, dlaczego należy bronić Wspólnoty, jej wartości i zasad, zwłaszcza w warunkach politycznej niepogody. Dlaczego także w brukselskich debatach, często bardzo technicznych, nie należy zapominać, że zawsze chodzi tu o coś więcej. Wiedzą o tym ci, którzy mają jeszcze w kościach komunistyczną przeszłość, z łamaniem praw człowieka i dławieniem wolności słowa. Wierność ideałom Sierpnia '80 to dziś np. obrona praworządności i grup marginalizowanych, a także wsparcie dla sąsiadów, którzy walczą o swoją wolność.

CI, KTÓRZY PAMIĘTAJĄ podziały na kontynencie i ich koszty, rozumieją sens integracji i będą robić wszystko, aby nie dopuścić do nowych podziałów. Unia Europejska zdała sobie sprawę, że jeśli w wyniku kryzysu po pandemii pogłębi się podział między Północą a Południem, ugodzi on w fundamenty integracji. Aby temu zapobiec, podjęto odważne decyzje o tworzeniu nowych źródeł dochodów, w tym o zaciąganiu długów przez Unię. Nadzwyczajna sytuacja stała się motywacją do wyjścia poza dotychczasowe ograniczenia i zaproponowania Unii ściślejszej współpracy. Także Unii wrażliwej na nierówności, szukającej kompromisu między ekonomiczną racjonalnością a światem bardziej sprawiedliwym. Podobne zadanie stawiali sobie protestujący w 1980 r. – i nie widzieliśmy wówczas paradoksu w tym, że z natury socjalnie zorientowani związkowcy przygotowywali grunt pod reformy wolnorynkowe.

UNIĘ WYMYŚLIŁY POKOLENIA, które pamiętały o złej przeszłości. Ale Europa nie może być projektem tylko dla ludzi starszych, przechowujących pamięć historyczną. Nawet jeśli młodzi ludzie jej nie mają, to dziś zostali skonfrontowani z pandemicznym wyzwaniem i jego skutkami. Jest w tym szansa na odnowienie Wspólnoty, na zbudowanie nowej opowieści o Europie dla tych, którzy przestali ją widzieć. Opowieści o solidarnym działaniu wobec przeciwności.

Być może, po przełomowych decyzjach lipcowego szczytu unijnego, jesteśmy świadkami bezprecedensowego momentu europejskiej solidarności. Być może właśnie teraz Europa odzyskuje zdolność pobudzania wyobraźni i wyjaśniania sensu bycia dziś razem. Tak jak 40 lat temu udało się to największemu oddolnemu ruchowi w najnowszych dziejach kontynentu. ©

MAREK PRAWDA *jest dyrektorem Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce.*

Wymiary Solidarności

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Jej powstanie było jednym z najważniejszych wydarzeń w historii Polski i cezurą w dziejach świata. Ale jej rola nie ogranicza się do obalenia komunizmu – jest też związana z głębokim przekształceniem społeczeństwa, swoistą rekonstytucją narodu.

Solidarność można postrzegać jako odpowiedź na doświadczenie komunizmu. Na kłamstwo odpowiadano prawdą, na przemoc – walką bez jej użycia, na pogardę – szacunkiem dla godności człowieka, na brak demokracji – niekiedy wręcz jej nadmiarem, tocząc niekończące się dyskusje na związkowych zebraniach.

Przyczyny

Gdyby szukać przyczyn bezpośrednich jej powstania, było ono związane z trzema wydarzeniami: uformowaniem się nowej opozycji, wyborem Karola Wojtyły na papieża i załamaniem gospodarki PRL.

Represje wobec uczestników protestów z czerwca 1976 r. przyspieszyły proces krystalizowania się nowych ugrupowań opozycyjnych. Kolejno powstały Komitet Obrony Robotników oraz Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a następnie szereg innych organizacji. Spośród nich Studencki Komitet Solidarności jako pierwszy w swej nazwie użył słowa, które wkrótce zrobi światową karierę, a Wolne Związki Zawodowe na Wybrzeżu stały się prekursorem formy nowego ruchu. Opozycja, działająca w dużej części jawnie, była – niezależnie od znaczenia konkretnych form jej aktywności (jak pisma wydawane poza zasięgiem cenzury) – przede wszystkim znakiem, że sprzeciw wobec systemu jest możliwy.

Radosna wieść o wyborze Polaka na Stolicę Piotrową wywołała ogromny entuzjazm. Skoro mogło się wydarzyć to, co było niewyobrażalne, wszystko stawało się możliwe. Tę nadzieję umocniła pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny w czerwcu 1979 r. W kontekście późniejszego Sierpnia '80 najczęściej przywoływane są pamiętne słowa papieskiej modlitwy z homilii wygłoszonej na placu Zwycięstwa w Warszawie. Można jednak zryw z lata 1980 r. postrzegać także jako odpowiedź na prośbę Ojca Świętego, wypowiedzianą również w czerwcu 1979 r. w Krakowie: „Proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię »Polska«, raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością (...) abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się, i nie zniechęcili".

Gospodarka PRL funkcjonowała w stanie permanentnego kryzysu. Jednak załamanie z połowy lat 70. było wyjątkowo głębokie i kontrastowało z aspiracjami rozbudzonymi krótkim okresem napędzanej zachodnimi kredytami prosperity. Polacy byli coraz bardziej zmęczeni nie tylko powszechnymi brakami podstawowych artykułów, ale także widocznym marnotrawstwem, błędami w zarządzaniu itp. Irytację budziły kolejne „ukryte" podwyżki cen, realizowane ↦

Lech Wałęsa ogłasza podpisanie porozumienia z rządem, Gdańsk, 31 sierpnia 1980 r.

↦ poprzez sztuczne wprowadzanie „nowych” produktów, różniących się od poprzednich tylko nazwą, albo poprzez przesuwanie towarów do tzw. sklepów komercyjnych, gdzie sprzedawano je za znacznie wyższą cenę.

Pierwsza fala

Jedna z takich podwyżek, wprowadzona 1 lipca 1980 r., stała się iskrą, która rozpaliła płomień społecznego sprzeciwu. Stało się tak głównie dlatego, że tym razem cenami komercyjnymi objęto też zakładowe stołówki.

Pierwsze strajki miały niezorganizowany charakter, a do ich zakończenia wystarczające były obietnice podwyżek lub przywrócenie poprzednich cen w stołówce [patrz tekst Tomasza Kozłowskiego w tym dodatku – red.]. Jednak wraz z wybuchem protestu w zakładach lotniczych w Świdniku zaczęły one nabierać innego charakteru: powstawały komitety strajkowe, zamiast ustnych obietnic domagano się pisemnych porozumień.

W połowie lipca to Lubelszczyzna stała się strajkowym centrum Polski, pracę przerwały załogi takich przedsiębiorstw jak Fabryka Samochodów Ciężarowych czy lubelski węzeł PKP.

Ten ostatni strajk stał się źródłem wielu plotek, z których najpopularniejsza głosiła, iż kolejarze przyspawali lokomotywy do szyn, aby uniemożliwić wywóz mięsa do Związku Sowieckiego. Pogłoska ta odzwierciedlała popularne przekonanie, że źródłem braków żywności jest nadmierny eksport, zwłaszcza na Wschód.

Strajki na Lubelszczyźnie zakończyły się sukcesem: obok ustępstw ekonomicznych, w niektórych przedsiębiorstwach zgodzono się na nowe wybory do rad zakładowych, a do rozpatrzenia setek zebranych postulatów powołano komisję rządową.

Wydawać by się mogło, że ekipa Edwarda Gierka, pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, suchą nogą przeszła przez kolejny kryzys. Fala strajkowego buntu opadała.

PETER MARLOW / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Pierwszy tysiąc

Paradoksalnie paliwa do jego ponownego rozniecenia dostarczyły same władze. Zwolnienie z pracy w Stoczni Gdańskiej Anny Walentynowicz, działaczki Wolnych Związków Zawodowych, wywołało odruch solidarności: działacze opozycji pod kierunkiem Bogdana Borusewicza przygotowali strajk [patrz tekst Jana Szkudlińskiego w tym dodatku – red.]. Poprzedzony akcją ulotkową, protest zaczął się 14 sierpnia.

To, że załoga Stoczni Gdańskiej dała się pociągnąć trzem młodym robotnikom, świadczy zarówno o oburzeniu decyzją o zwolnieniu Walentynowicz, jak też o powszechnym pragnieniu zmian. Potwierdzeniem tej tezy jest rychłe rozszerzenie strajku na inne zakłady, w tym Stocznię im. Komuny Paryskiej w Gdyni, gdzie liderem stał się 20-letni Andrzej Kołodziej, zatrudniony zaledwie dzień wcześniej!

Tymczasem na czele strajku w Stoczni Gdańskiej stanął Lech Wałęsa, który dołączył do kolegów po kilku godzinach od rozpoczęcia protestu. Obok przywrócenia do pracy Walentynowicz i Wałęsy (zwolnionego w 1976 r.) oraz postulatów ekonomicznych, żądano upamiętnienia stoczniowców poległych w Grudniu ’70. Pamięć o tamtej tragedii była niezwykle istotna – zdawano sobie sprawę, że jedyną drogą do zwycięstwa jest strajk okupacyjny, a nie uliczne demonstracje.

Pozornie sukces przyszedł szybko. Już 16 sierpnia dyrekcja Stoczni Gdańskiej zgodziła się spełnić wszystkie żądania, włącznie ze zmianą sposobu funkcjonowania związków zawodowych w zakładzie. W tej sytuacji Wałęsa ogłosił zakończenie protestu. W tym momencie historia Polski mogła potoczyć się zupełnie inaczej. Nastrój zwycięstwa zakłóciło kilka osób, głównie kobiet (m.in. Walentynowicz, a także 28-letnia Alina Pienkowska), które upomniały się o inne przedsiębiorstwa, jakie przerwały pracę wspierając Stocznię Gdańską. Ich argumenty przeważyły: strajk wznowiono, ponownie w imię solidarności, tym razem z innymi zakładami.

Pierwszej nocy strajku w Stoczni Gdańskiej pozostało jedynie około tysiąca robotników. Dla podtrzymania ducha protestu duże znaczenie miała msza odpra-

wiona 17 sierpnia przez ks. Henryka Jankowskiego (a w stoczni w Gdyni przez ks. Hilarego Jastaka). W Gdańsku przed bramą nr 2 postawiono krzyż, a samą bramę ozdobiono portretem papieża i wizerunkiem Matki Boskiej. Podobne gesty powtarzać będą później strajkujący w całym kraju, symbolicznie podkreślając odrębność od ateistycznej władzy. Symbolika narodowa i religijna ściśle się ze sobą splotą w dziejach Solidarności.

Pat na Wybrzeżu

Wieczorem 16 sierpnia powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który ogłosił listę 21 postulatów. Najważniejszy był ten pierwszy: „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców Wolnych Związków Zawodowych". Żądano także m.in. prawa do strajku, przestrzegania wolności słowa, zwolnienia więźniów politycznych, likwidacji przywilejów Służby Bezpieczeństwa, MO i aparatu partyjnego.

Wśród kilkunastu postulatów ekonomicznych, obok podwyżki płac, znalazły się m.in. ograniczenie eksportu żywności, wprowadzenie kartek na mięso i obniżenie wieku emerytalnego. W poszczególnych zakładach powstawały ponadto listy dziesiątek, a niekiedy setek szczegółowych postulatów, odzwierciedlających bolączki PRL-owskiej codzienności i stopień dysfunkcjonalności systemu.

18 sierpnia rozpoczął się strajk w Szczecinie; liderem tamtejszego MKS-u był Marian Jurczyk. Treść 36 postulatów w dużej mierze pokrywała się z gdańskimi. Reakcją władz było wysłanie do obu miast komisji rządowych. Po próbie rozbicia jedności strajkujących, przez rozmowy z przedstawicielami wybranych zakładów, podjęto negocjacje z oboma MKS-ami.

Niezależnie od trudności w ustaleniu brzmienia poszczególnych punktów porozumienia główny problem dotyczył najważniejszego postulatu: wolnych związków zawodowych. Zgoda na to żądanie oznaczałaby złamanie fundamentalnej zasady systemu komunistycznego – kontroli wszystkich organizacji przez partię rządzącą. Ograniczenie to rozumieli eksperci gdańskiego MKS-u, proponujący poszukiwanie alternatywnych wariantów. Rozumiał je prymas kard. Stefan Wyszyński, który 26 sierpnia z Jasnej Góry zaapelował o zakończenie strajków. Jednak robotnicy wiedzieli, że bez własnych związków nie będą w stanie bronić swoich praw i egzekwować zawartych umów. Pat przedłużał się: partia nie ustępowała, a strajki wciąż ograniczały się do Wybrzeża.

Przełom

Sytuacja zmieniła się, gdy strajki nabrały charakteru ogólnopolskiego. 26 sierpnia we Wrocławiu powstał kolejny MKS, a wrocławianie nie wysunęli własnych postulatów, lecz solidaryzowali się z Gdańskiem – zapowiadając strajk aż do spełnienia tamtejszych żądań. 29 sierpnia stanął Górny Śląsk – MKS powołano w Jastrzębiu-Zdroju. To był przełom. W obliczu strajku powszechnego władze zdecydowały się na „mniejsze zło", jakim dla Gierka była zgoda na nowe związki.

Kolejno podpisano porozumienia w Szczecinie (30 sierpnia), Gdańsku (31 sierpnia) i Jastrzębiu (3 września). Strajki jednak nie wygasły. Załogi zakładów, które w sierpniu pozostały spokojne, teraz walczyły o swoje postulaty. W wielu przypadkach przyczyną strajków było też utrudnianie przez władze tworzenia nowych związków. Ogólnopolski wymiar zgody na ich powstanie zagwarantowało dopiero porozumienie katowickie z 11 września 1980 r.

Mimo szantażu groźbą utraty przywilejów (takich jak np. wczasy pracownicze) już wkrótce setki tysięcy ludzi deklarowały chęć przystąpienia do nowych związków. Przedstawiciele zakładów z całej Polski 17 września podjęli decyzję o powołaniu jednej organizacji, opartej na nietypowej strukturze: regionalnej, a nie branżowej. Był to wyraz przekonania, że wspólna sprawa jest ważniejsza niż partykularne interesy poszczególnych grup zawodowych. Na wniosek Karola Modzelewskiego na nazwę Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego wybrano słowo, które najlepiej symbolizowało nowy ruch: Solidarność.

Konfrontacje odcinkowe

Jej dzieje w latach 1980-81 można opisywać na różne sposoby. Jednym z najczęstszych jest prezentowanie 16 miesięcy solidarnościowego „karnawału" jako ciągu konfliktów z władzą. Realizowała ona taktykę „odcinkowych konfrontacji", by zmęczyć społeczeństwo.

Pierwszy strajk ostrzegawczy Solidarność musiała zorganizować już 3 października 1980 r. Potem przyszedł kryzys wywołany próbą zmiany statutu związku przy jego rejestracji i sprawa aresztowania Jana Narożnika z regionu Mazowsze, uwięzionego za ujawnienie instrukcji prokuratora generalnego o sposobach walki z opozycją.

Po krótkim odprężeniu, symbolizowanym przez grudniową uroczystość odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniowców w Gdańsku, rozpoczął się konflikt dotyczący nierealizowania porozumień sierpniowych, zwłaszcza kwestii wolnych sobót. Regionalne strajki związane m.in. z nadużyciami lokalnych władz ogarnęły na przełomie stycznia i lutego 1981 r. Podbeskidzie i Jelenią Górę.

Źródłem napięć była też walka studentów i rolników o własne organizacje. Ta ostatnia sprawa stała się źródłem największego konfliktu Solidarności z władzą. W marcu 1981 r., po pobiciu trzech związkowców (w tym Jana Rulewskiego), wybuchł kryzys bydgoski. Polska stanęła na krawędzi strajku generalnego, przewodniczący Wałęsa odwołał go w ostatniej chwili. Decyzja ta pogłębiła wewnętrzne podziały w związku, którego członków nigdy później nie udało się już tak zmobilizować do konfrontacji. Jedynym pozytywnym efektem tego kryzysu stała się rejestracja NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność".

Napięcia w relacjach z władzą trwały nadal, m.in. latem zorganizowano szereg protestów przeciw katastrofalnemu stanowi zaopatrzenia. W wielu miejscach odbyły się „marsze głodowe", w Warszawie na początku sierpnia zablokowano rondo w centrum miasta.

Eksplozja swobody

W cieniu tych wszystkich wydarzeń kryje się jednak istota tego, czym była wówczas Solidarność. Niezależnie od trwającej cały czas dyskusji, na ile był to związek zawodowy, a na ile ruch społeczny czy nawet pokojowe powstanie narodowe, warto przypomnieć kilka kwestii.

Powstanie związku oznaczało eksplozję wolności słowa. Na miejsce kilkudziesięciu pism podziemnych, w większości efemerycznych, teraz pojawiły się setki biuletynów związkowych, które nie podlegały cenzurze. W oficjalnym obiegu ukazywało się też kilka pism, na czele z „Tygodnikiem Solidarność" pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego. Opisywano ↦

KRZYSZTOF RACZKOWIAK / FOTONOVA

↦ realia życia w kraju, toczono spory (w tym o zakres wolności prasy związkowej), odżyła publicystyka.

Ważnym tematem była historia, odkłamywano i przywracano pamięć o takich wydarzeniach jak zbrodnia katyńska. Troska o prawdę historyczną widoczna była też w działalności wszechnic związkowych, wznoszonych pomnikach i wmurowywanych tablicach pamiątkowych. Solidarność na nowo ukształtowała polską pamięć, zbudowała podwaliny pod dzisiejszą świadomość historyczną. Historia najnowsza była źródłem, na którym budowano własną tożsamość, a jednocześnie narzędziem delegitymizacji komunistycznej władzy.

Interesowano się nie tylko własnymi dziejami. Dużo uwagi poświęcano antykomunistycznym zrywom z innych państw, szczególnie rewolucji węgierskiej 1956 r. i Praskiej Wiośnie 1968 r. Były one punktem odniesienia dla rozważań o ryzyku sowieckiej interwencji. Dziś wiemy, że takiej groźby nie było, wówczas jednak musiano ją poważnie rozważać.

W efekcie zryw Solidarności przybrał charakter „samoograniczającej się rewolucji", jak to określił Jacek Kuroń. Z obawy przed przekroczeniem niewidzialnej granicy powstrzymywano się przed otwartym stawianiem daleko idących żądań. Zjawisko to było widoczne już w Sierpniu, gdy na listę 21 postulatów nie wpisano żądania wolnych wyborów (choć i taki postulat wcześniej się pojawił).

Rzeczpospolita obywatelska

Nie oznacza to jednak, że Solidarność nie myślała o głębokich zmianach. Wprost przeciwnie: przygotowywano nie tylko plany reform całego państwa, ale także mnóstwo zmian szczegółowych. Nauczyciele wypracowywali propozycje nowelizacji programów nauczania, prawnicy zmiany w dziesiątkach ustaw, pracownicy handlu projekty jego usprawnienia itp. Rodził się ruch walki o prawa niepełnosprawnych i ruch ekologiczny. Nie jest przypadkiem, że w 1981 r. powstał Monar, zajmujący się uzależnionymi (wcześniej w PRL także oni byli na marginesie). Na kilkanaście miesięcy zaistniało prawdziwe społeczeństwo obywatelskie.

Symbolem powszechnego zaangażowania może być fakt, że w wyborach związkowych w NSZZ „Solidarność" wzięło udział aż 94 proc. z 9,5 mln członków związku. Oddolnie wybierano władze na szczeblu zakładu, następnie poprzez delegatów – na szczeblu regionalnym. Wyłoniono też blisko 900 delegatów na I Krajowy Zjazd.

Odbył się on w dwóch turach we wrześniu i październiku 1981 r. w Gdańsku, dysponując niezwykle silnym, demokratycznym mandatem. W czasie obrad wybrano najwyższe władze: Komisję Krajową i przewodniczącego. Pozostał nim Wałęsa, ale na jego radykalniejszych kontrkandydatów (Jurczyk, Rulewski i Andrzej Gwiazda) głosowało 45 proc. delegatów.

W trakcie zjazdu przyjęto wiele ważnych dokumentów. Szczególną wściekłość propagandy we wszystkich krajach bloku sowieckiego wywołało „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej". Uznano je za nawoływanie do naśladowania polskiego przykładu. Oficjalnymi dokumentami zjazdu stały się też trzy kazania ks. Józefa Tischnera (wraz z wcześniejszymi weszły one w skład jego książki „Etyka solidarności"). Zjazd zajął stanowisko w wielu sprawach, ale najważniejszym dokumentem był program związku. Jego skrótowa nazwa – „Samorządna Rzeczpospolita" – najlepiej oddaje treść uchwały, będącej kompleksowym programem reform gospodarczych, społecznych i politycznych.

Zjazd nie był wolny od napięć i sporów, szczególnie wiele emocji towarzyszyło uchwale zawierającej podziękowanie dla Komitetu Obrony Robotników, rozwiązanego w tym czasie. Coraz bardziej widoczne było, że na bazie związku zaczynają tworzyć się zróżnicowane grupy polityczne. Powoli pękały okowy „samoograniczania", coraz bardziej otwarcie stawiano też żądania demokratyzacji systemu.

Po 13 grudnia

Ten naturalny proces stopniowego różnicowania się Solidarności przerwało wprowadzenie stanu wojennego nocą z 12 na 13 grudnia 1981 r. Władze PRL przygotowywały tę operację od ponad roku, a jej szczegóły były dopracowane od wiosny.

MAREK JANICKI / FOTONOVA

PO LEWEJ: Podczas manifestacji w drugą rocznicę porozumień sierpniowych w Lubinie milicja użyła ostrej amunicji. Na zdjęciu: demonstranci wynoszą Michała Adamowicza, jedną z trzech ofiar śmiertelnych. Lubin, 31 sierpnia 1982 r. **POWYŻEJ:** Pacyfikacja kopalni Wujek, Katowice Brynów, 16 grudnia 1981 r.

Czekano jednak na właściwy moment, w którym społeczne zmęczenie nieustannie prowokowanym napięciem osiągnie szczyt.

To właśnie stan nastrojów społecznych – obok wielkiego pokazu siły, uwięzienia większości liderów czy przerwania komunikacji – jest kluczem do zrozumienia porażki Solidarności. Wprawdzie wybuchło kilkaset strajków, w tym w wielu ważnych zakładach, ale skala oporu była zdumiewająco mała w porównaniu do wcześniejszej siły związku. Oczywiście, dużą rolę odegrał też terror władz: grożenie karą śmierci czy masakra górników w kopalni Wujek.

Przez chwilę mogło się wydawać, że wielki ruch przestał istnieć. Szybko jednak do działania przystąpili nieliczni liderzy, którzy uniknęli uwięzienia; włączyło się też wielu wcześniej drugoplanowych działaczy i szeregowych członków. Przy wsparciu Kościoła organizowano pomoc dla represjonowanych i ich rodzin, pojawiały się spontaniczne formy sprzeciwu, jak choćby noszenie w klapie oporników. Powstawały tajne komisje zakładowe, działało kilka struktur regionalnych, na czele z najaktywniejszym: Regionalnym Komitetem Strajkowym Dolny Śląsk.

Ukrywający się członek prezydium Komisji Krajowej, zmarły niedawno Eugeniusz Szumiejko, powołał Ogólnopolski Komitet Oporu. Został on rozbity przez SB, jednak nawiązane przez Szumiejkę kontakty pozwoliły na powołanie 22 kwietnia 1982 r. ogólnokrajowej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK), w składzie: Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Władysław Hardek i Bogdan Lis.

W podziemiu

Tworzeniu struktur podziemnych towarzyszył spór programowy między zwolennikami konfrontacji z władzą w postaci strajku generalnego („krótkie spięcie") a tymi, którzy uważali, że trzeba przygotowywać się na długotrwały opór poprzez budowę rozproszonego społeczeństwa podziemnego („długi marsz").

Dodatkowe kontrowersje wzbudziły tezy Prymasowskiej Rady Społecznej, przypisujące Solidarności część odpowiedzialności za stan wojenny i postulujące rezygnację z wszelkiej działalności pozazwiązkowej. Na kanwie tych sporów we Wrocławiu powstała Solidarność Walcząca, kierowana przez Kornela Morawieckiego. Z czasem przyciągnęła ona swoim jednoznacznym programem wielu działaczy związku.

Tymczasem koncyliacyjna oferta TKK (deklaracja „5 razy tak") została zignorowana przez władze. W tej sytuacji podziemna Solidarność wezwała do manifestacji w drugą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych. 31 sierpnia 1982 r. na ulice 66 miast wyszły dziesiątki tysięcy ludzi. Władze opanowały jednak sytuację, za cenę brutalnych represji i śmierci pięciu demonstrantów (w tym trzech zastrzelonych w Lubinie). Poczucie siły pozwoliło im ostatecznie porzucić plany budowy kontrolowanej „neo-Solidarności". Sejm PRL zdelegalizował Solidarność (wcześniej jedynie zawieszoną).

W odpowiedzi TKK zapowiedziała na 10 listopada strajk generalny. Skończył się on całkowitą klęską: protest podjęły dosłownie pojedyncze osoby. Ta porażka zepchnęła związek do jeszcze głębszej defensywy. Działały podziemne pisma, a nawet radio, wydawano książki, istniały struktury różnych szczebli, kwitła kultura niezależna. Ale jednocześnie trwały represje (w samym stanie wojennym skazano 11 tys. osób), część internowanych działaczy przyjęła ofertę emigracji, coraz mniej osób odpowiadało na wezwania do protestu. Nadzieję podtrzymywały takie wydarzenia jak druga pielgrzymka Jana Pawła II w czerwcu 1983 r. czy przyznana w tym samym roku Lechowi Wałęsie pokojowa Nagroda Nobla.

W październiku 1984 r. Polakami wstrząsnęło zamordowanie przez funkcjonariuszy SB kapelana Solidarności, ks. Jerzego Popiełuszki. Jednak społeczna mobilizacja była krótkotrwała.

W klinczu

W połowie lat 80. komunistyczne władze i podziemny związek znalazły się w swoistym klinczu. Przywódcy PRL nie byli w stanie zlikwidować Solidarności (i wyrosłych w jej cieniu innych grup podziemnych), liderzy związku nie potrafili zaś zmobilizować społeczeństwa do oporu, by zmusić władze do ustępstw. Próbą przełamania pata miało być spektakularne wydarzenie: planowany na połowę 1986 r. podziemny zjazd Solidarności. Przygotowania przerwały władze, aresztując Bujaka.

Inicjatywę przejęła strona rządowa: ogłoszono kolejną amnestię, wybrane osoby kuszono członkostwem w Radzie Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, funkcjonariusze SB przekonywali tysiące działaczy podziemia, że dalsza aktywność nie ma sensu.

Operacja ta spaliła na panewce, ale działania władz postanowił wykorzystać Wałęsa, pragnący odzyskać realne, a nie tylko symboliczne przywództwo w związku. Pod koniec września 1986 r. powołał jawną Tymczasową Radę NSZZ „Solidarność". Wywołane tym zamieszanie i napięcia po stronie opozycyjnej zakończyły się rok później, gdy TRS i TKK połączyły się w Krajową Komisję Wykonawczą. Podejmowane próby prowadzenia jawnej działalności związkowej na szczeblu zakładów kończyły się jednak niepowodzeniem.

Działania Wałęsy skonsolidowały środowisko działaczy związkowych, którzy domagali się odbudowy władz Solidarności w składzie sprzed stanu wojennego (z wyłączeniem osób później skompromitowanych). W kwietniu 1987 r. powołali oni Grupę Roboczą Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"; obok rywali Wałęsy z czasu gdańskiego zjazdu (Gwiazda, Jurczyk, Rulewski) tworzyli ją m.in. ↦

↦ Seweryn Jaworski i Andrzej Słowik. Prowadzone rozmowy z KKW zakończyły się niepowodzeniem. Później, już w 1990 r., część członków Grupy Roboczej powołała własny związek Solidarność 80.

Przewlekły kryzys gospodarczy, pogarszające się nastroje społeczne i radykalizacja młodego pokolenia mobilizowały władze do rozważania mniej i bardziej radykalnych planów reform. Początkowo łączyło je jedno: nie przewidywano powrotu Solidarności, a jedynie różnego rodzaju oferty dla jej działaczy. Sytuacja zmieniła się dopiero w 1988 r.

LOTHAR M. PETER / SZ-PHOTO / FORUM

Pada mur berliński, listopad 1989 r.

Rok 1988: strajki i rozmowy

Jest paradoksem, że pierwszą wiosenną falę strajków w 1988 r. rozpoczęli działacze nie podziemia, lecz oficjalnego związku zawodowego pracowników komunikacji miejskiej, wchodzącego w skład – budowanego od 1984 r. – Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Strajk komunikacji w Bydgoszczy obudził nadzieję – działaczom Solidarności udało się rozpocząć protest w kilku zakładach, w tym w Stoczni Gdańskiej. Ale krótkotrwałe nadzieje na rozmowy z władzami upadły wraz z brutalną pacyfikacją protestu w Nowej Hucie.

Skuteczniejsza okazała się druga fala strajków, w sierpniu 1988 r., przebiegająca pod hasłem „Nie ma wolności bez Solidarności". Zapoczątkowały ją śląskie kopalnie, przyłączyły się m.in. Huta Stalowa Wola, porty w Szczecinie i ponownie Stocznia Gdańska. Najaktywniejszą rolę w proteście odgrywali młodzi robotnicy, dla których Solidarność była legendą.

Próba siłowego zakończenia protestu nie powiodła się – i ostatecznie władze przedstawiły ofertę podjęcia rozmów okrągłego stołu, w zamian za zakończenie strajku. Wałęsa ofertę przyjął, a następnie nie bez trudu przekonał młodych do przerwania protestu.

Wkrótce potem okazało się, że komuniści skłonni są rozmawiać o daleko idących reformach, a nie tylko o legalizacji Solidarności.

Jesienią 1988 r. władze podjęły próbę sprowokowania związku do zerwania negocjacji, podejmując decyzję o likwidacji Stoczni Gdańskiej. Sprawę miała zamknąć telewizyjna debata lidera OPZZ Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą. Zdecydowanie jednak wygrał ją ten drugi, a nastroje społeczne gwałtownie przechyliły się na stronę Solidarności.

Paradoks zwycięstwa

Negocjacje okrągłego stołu (luty–kwiecień 1989), będąca ich efektem ponowna rejestracja związku (ze zmianami w statucie), naruszająca reguły zmiana ordynacji między dwiema turami wyborów czerwcowych i wreszcie udział posłów i senatorów Solidarności w wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL – wszystko to pogłębiło spory i podziały wśród działaczy Solidarności. Jednocześnie brak zaangażowania ze strony związku w coraz liczniejsze wiosną 1989 r. strajki i konflikty socjalne (a nawet aktywne ich „gaszenie", w imię reformy całego państwa) osłabił jego pozycję wśród pracowników. W efekcie do legalnej na nowo Solidarności przystąpiła tylko niewielka część jej dawnych członków.

Zwycięstwo wyborcze 4 czerwca 1989 r. i sukces, jakim było utworzenie rządu przez Tadeusza Mazowieckiego, paradoksalnie również osłabiły związek. Nagle okazało się, że najważniejsze decyzje nie zapadają już na forum Krajowej Komisji Wykonawczej, lecz w klubie parlamentarnym oraz w rządzie.

Solidarność zaczęła szukać dla siebie nowego miejsca w powstającej III RP, wahając się pomiędzy rozpinaniem „parasola ochronnego" nad kolejnymi rządami, bezpośrednim udziałem w polityce a powrotem do klasycznej funkcji związku zawodowego. Ale to już inna historia...

Nasze fundamenty

Chociaż od Sierpnia '80 mija dopiero 40 lat, badanie dziejów Solidarności przypomina dziś czasem pracę archeologa. Ta piękna historia przywalona została zwałami kłamliwej propagandy i brutalnych represji, gruzem zdrady i ludzkich słabości, warstwami kolejnych rozczarowań i niespełnionych nadziei. Swoje dołożyły zmagania dawnych współtowarzyszy walki, którzy, wyrywając sobie z rąk dziedzictwo ruchu, wdeptywali w ziemię jego wartości.

Wydawać by się mogło, że z dawnego pięknego gmachu, symbolu polskich nadziei, pozostały już tylko ruiny. Jednak za bardem Solidarności Jackiem Kaczmarskim warto powtórzyć: „nie gruzy to, lecz fundamenty". © ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski w drugiej połowie XX wieku. W latach 2011-16 był prezesem IPN. Obecnie przygotowuje monografię dziejów Solidarności.

REKLAMA

ZAJEZDNIA STRAJKUJE

Rafał Zawierucha, Krzysztof Czeczot, Anna Próchniak i Kazimierz Kaczor

Przeżyj multimedialną podróż w czasie!

ZAPRASZAMY OD
27.08.2020

Centrum Historii Zajezdnia

ul. Grabiszyńska 184, Wrocław

40

www.zajezdnia.org

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Upamiętnienie poległych w 1970 r. było jednym z postulatów strajkujących w sierpniu 1980 r. Na zdjęciu: montaż ołtarza polowego przed odsłonięciem Pomnika Poległych Stoczniowców. Gdańsk, 6 grudnia 1980 r.

Kilka dni w sierpniu

JAN SZKUDLIŃSKI

„Piekarz z Obłuża dał cały wypiek chleba. Każdy na swój sposób chce pomóc. Widać solidarność w społeczeństwie" – wspominał strajkujący stoczniowiec. Co 40 lat temu działo się w Trójmieście?

Przełom lipca i sierpnia 1980 r. zapowiadał się w Polsce – mimo wszystko – spokojnie.

Lipcowe strajki na Lubelszczyźnie zakończyły się po zrealizowaniu postulatów protestujących. „O tych strajkach lipcowych niewiele wiedziałem, bo też środki masowego przekazu nie informowały, co się właściwie działo" – wspominał Jan Szylak z tczewskich zakładów Predom-Metrix.

Choć do Trójmiasta jak co roku licznie przybywali turyści, pogoda nad polskim Bałtykiem była raczej marna – chłodno i deszczowo, co nie sprzyjało wylegiwaniu się na plaży. Redaktorzy „Dziennika Bałtyckiego" pocieszali swych czytelników galeriami fotografii upalnych plaż z poprzednich lat.

Problemów tych nie mieli członkowie Biura Politycznego KC PZPR, którzy – przekonani, że sytuacja w kraju jest opanowana – udali się, na czele z pierwszym sekretarzem Edwardem Gierkiem, specjalnym samolotem na wakacje na słoneczny Krym.

Pod pomnikiem Sobieskiego

W pierwszych dniach sierpnia chyba najważniejszym wydarzeniem dla środowiska trójmiejskiej opozycji było zwolnienie – 3 sierpnia, po trzech miesiącach odsiadki – Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego.

Obaj otrzymali wyrok za zorganizowanie i poprowadzenie uroczystości patriotycznych w dniu – zakazanego przez władze Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej – święta Konstytucji 3 maja. Wiec zorganizowali, jak to w Gdańsku, pod pomnikiem Jana III Sobieskiego na Targu Drzewnym. Antypeerelowską wymowę tego pomnika zwiększał fakt, że pierwotnie został on wzniesiony w 1898 r. na Wałach Hetmańskich we Lwowie; po 1945 r. przewieziono go do Gdańska i tutaj ponownie ustawiono.

Dzięki sieci kontaktów opozycji demokratycznej los Kobzdeja i Szczudłowskiego zwracał uwagę. W ich intencji w trójmiejskich kościołach, a także na terenie kraju, prowadzono modlitwy i głodówki protestacyjne.

Zwolnienie obu zatrzymanych uczczono imprezą, która odbyła się w sobotę 9 sierpnia w obszernym mieszkaniu „opozycyjnego" małżeństwa w Gdańsku-Wrzeszczu. Zaproszono kilkadziesiąt osób, które należały do głównych orga-

nizacji opozycyjnych Trójmiasta – były to: Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, Ruch Młodej Polski i Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela – albo z nimi sympatyzowały. Od kilku lat inteligenckie organizacje opozycyjne działały tutaj intensywnie w środowisku robotników, spośród których kilkoro znalazło się w gronie zaproszonych.

Walentynowicz traci pracę

Spokój jednak był tylko pozorny. Jedna z zaproszonych, 51-letnia Anna Walentynowicz, od wielu miesięcy podlegała regularnemu mobbingowi ze strony przełożonych w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Rozpoczęto od „standardowej", niezależnie od ustroju, metody pracodawcy starającego się pozbyć niechcianego pracownika, czyli przeniesienia na inne stanowisko i zmiany warunków świadczenia pracy. Gdy Walentynowicz sprzeciwiała się, sięgnięto po liczne szykany – mniej lub bardziej uciążliwe – i złośliwe „żarty", w rodzaju zabierania sprzętu czy zamykania „przypadkowo" w zakładowej szatni.

W sprawie Walentynowicz trójmiejska Służba Bezpieczeństwa wywierała presję na swoje kontakty we władzach stoczni, jako że bezkompromisowa suwnicowa, jawnie rozprowadzająca wśród załogi opozycyjne ulotki, od dawna była jej solą w oku.

W piątek, 8 sierpnia, w przeddzień wspomnianego spotkania, Anna Walentynowicz otrzymuje zwolnienie dyscyplinarne z pracy, o czym informuje nazajutrz zebranych na przyjęciu gości. Wzburzony Bogdan Borusewicz, jeden z organizatorów opozycyjnego życia w Trójmieście, wychodzi na podwórze kamienicy wraz robotnikami – Bogdanem Felskim, Jerzym Borowczakiem i Lechem Wałęsą – aby tam, bez obawy o ewentualny podsłuch, nakłaniać ich do rozpoczęcia strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, największym zakładzie Trójmiasta.

Szykan wobec osób angażujących się w działalność opozycyjną było wtedy oczywiście znacznie więcej. Jednak to zwolnienie schorowanej Walentynowicz miało stać się iskrą, która rozpali stocznię, pozostającą, jak mogło się zdawać, w letargu.

Sierpniowa dynamika

W ciągu kolejnych dni grupa Borusewicza będzie intensywnie pracować nad przygotowaniem strajku. Będą drukować w pocie czoła ulotki, szkolić ludzi, sporządzać plan.

Dynamika kolejnych dni jest znana. Rankiem 14 sierpnia w wagonach trójmiejskiej Szybkiej Kolei Miejskiej, wiozących stoczniowców do pracy, ludzie Borusewicza rozprowadzają przygotowane ulotki. Borowczak, Felski i Ludwik Prądzyński podrywają do strajku Stocznię Gdańską. Na czele postulatów: przywrócić do pracy Annę Walentynowicz. Nazajutrz Andrzej Kołodziej wywołuje strajk w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Andrzej Gwiazda podrywa do strajku zakłady inżynierii elektrycznej Elmor. Dołącza komunikacja miejska i kolejne zakłady.

Przełomowego 16 sierpnia działaczki opozycyjne – Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska, Henryka Krzywonos, Ewa Ossowska, Maryla Płońska – ratują strajk w Stoczni Gdańskiej: część przywódców, w tym Wałęsa, była już gotowa go zakończyć po tym, jak dyrekcja zdecydowała się spełnić postulaty protestujących.

Wieczorem tego dnia delegaci trójmiejskich zakładów powołują Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który ogłasza listę 21 postulatów.

Schyłek epoki Gierka

Dlaczego strajki rozlały się na całe Trójmiasto i dalej na kraj? Powodów było wiele. Optymistyczne obietnice i krótkotrwały – oraz w gruncie rzeczy pozorny – dobrobyt rządów Gierka szybko ustąpiły gospodarczej zadyszce. Robotnicze protesty w Radomiu w 1976 r. zostały stłumione niesłychanie brutalnie. Dwa lata później nadeszła tzw. zima stulecia, która ukazała słabość centralnie sterowanej gospodarki. Załamała się komunikacja i transport, a gigantyczne osiedla bloków z wielkiej płyty – ogrzewane przez centralne elektrociepłownie – zamieniły się w lodownie po tym, jak w wyniku siarczystych mrozów popękały magistrale cieplne i grzejniki.

Tymczasem państwowe i partyjne media – innych niemal nie było – nieustannie powtarzały, że kraj odnosi sukcesy. W rytualnym sprawozdaniu z obrad Biura Politycznego KC PZPR, zamieszczonym w lipcowym „Dzienniku Bałtyckim", pisano: „W kolejnym punkcie obrad BP zapoznało się z informacją o realizacji postanowień w sprawie unowocześnienia funkcjonowania handlu wewnętrznego w latach 1979–1985. Stwierdzono, iż wprowadzone innowacje (...) przynoszą wymierne efekty".

Przeciętny Polak stwierdzał coś innego. Wszędzie brakowało podstawowych produktów. Także sprzętu ochronnego dla robotników, który musieli oni często zdobywać własnym sumptem. Jak mówili na początku strajku robotnicy jednego z elbląskich zakładów, pracujący w nim kierowcy stawali przed dylematem: albo zdobędą części zamienne do swych służbowych pojazdów dzięki własnej przedsiębiorczości (w ówczesnych warunkach często łatwiej było o pieniądze niż o dostępność części), albo utracą możliwość zarobkowania.

Ale, przede wszystkim, coraz trudniej było kupić codzienne produkty żywnościowe. Zdobycie mięsa – lecz również artykułów gospodarstwa domowego czy choćby butów – wymagało szczęścia, układów i wytrwałości fizycznej, niezbędnej przy staniu w wielogodzinnej kolejce.

Jednak nawet odstanie swojego w „ogonku" nie gwarantowało powodzenia, jako że często towar okazywał się niezdatny do użytku. Celnie podsumował to Zbigniew Jujka, zmarły w zeszłym roku autor wieloletniego cyklu satyrycznych rysunków w „Dzienniku Bałtyckim", który w numerze z sierpnia 1980 r. zamieścił wyobrażenie pracującego pełną parą zakładu opatrzonego tablicą: „Wytwórnia Odrzutów z Eksportu".

Listy postulatów

„Lata 1976–1980, lata propagandy – jak to obecnie się nazywa – sukcesu, dały tyle do myślenia, że ten chaos, bałagan, zadłużenia, prześladowania, korupcja długo nie mogą istnieć" – wspominał stoczniowiec Edmund Soszyński.

„W partii i rządzie narasta złudna mania sukcesu, przywódcy oszołomieni swym bałwochwalstwem zaczynają grzęznąć w bagnie. Największe budżety idą na partię, organa bezpieczeństwa i nierentowne budowle" – wtórował mu Edward Bernatowicz, strażnik w Zarządzie Portu Gdynia.

„Widzieliśmy, że partia rozeszła się ze swymi ideałami, jeśli w ogóle kiedyś jakieś miała" – wspominał pracownik Zakładów Radiowych Radmor.

Szczególne oburzenie robotników budziły oficjalne związki zawodowe, w których wybory były – jak wszędzie w PRL ↦

↦ – fikcją, jako że głosować można było wyłącznie na kandydatów ustalonych „wyżej". Całkowita spolegliwość takich „działaczy" wobec władz sprawiała, że byli oni w niektórych zakładach otoczeni powszechną niechęcią. I byli tego świadomi. „Nasi aktywiści są naprawdę aktywni. Członkowie egzekutywy uciekli. Grupowi partyjni uciekli. Działacze ZSMP [Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej] uciekli" – wspominał początki strajku w gdyńskiej Stoczni Józef Kuczma.

Postulat powołania wolnych związków zawodowych znalazł się na liście 21 postulatów MKS-u – jako pierwszy.

Ale poza wspólnymi postulatami w każdym z zakładów strajkujący mieli także swoje własne, specyficzne dla siebie żądania. Ich przegląd ukazuje bezmiar zamętu w gospodarce PRL. I tak, w Elblągu kierowcy jednego z przedsiębiorstw na pierwszym strajkowym wiecu pytali: „Dlaczego brak[uje] części zamiennych i chcąc zarobić kierowca sam musi się o nie starać i ponosić koszty?"; „Dlaczego kierowcom nie płaci się za pomoc i rozładunek materiałów na budowie?"; „Dlaczego brak odzieży ochronnej i roboczej?".

Szczególnie często domagano się zrównania różnego rodzaju świadczeń z tymi, które otrzymywali pracownicy milicji, SB i wojska. W Komitecie Wojewódzkim PZPR w Gdańsku, jak pisze Anna Machcewicz, urzędnicy skrupulatnie zestawili wszystkie postulaty z kilkuset zakładów strajkujących na terenie ich województwa. Zestawienie to liczy 13 stron.

Pamięć o Grudniu

W Trójmieście strajk był ogromnym przeżyciem dla robotników – w pamięci wszystkich pozostawała przecież krwawa pacyfikacja protestów w grudniu 1970 r., a także powiązana z nią wtedy kampania propagandowa władz, mająca dyskredytować strajkujących.

Pewien pracownik Radmoru, który teraz strajkował, a wcześniej w 1970 r. pełnił obowiązkową służbę wojskową, wspominał, jak to dziesięć lat wcześniej usłyszał od swego dowódcy, że „na ulice Gdańska wyszli folksdojcze i mówią, że Gdańsk nie jest polski". Potem mówiono że na mieście doszło do chuligańskich wybryków stłumionych przez milicję; o licznych ofiarach śmiertelnych i skatowanych zabraniano mówić.

Edward Appel, ekonomista ze Stoczni Gdańskiej, wspominał: „Mijały kolejne rocznice grudniowych wydarzeń, stoczniowcy domagali się, by pozwolono na uczczenie pamięci pomordowanych kolegów – w jakikolwiek sposób. Chcieli przecież bardzo niewiele. Złożyć jakiś wieniec, zapalić świeczkę. Musieli to robić ukradkiem, po kryjomu, ryzykując każdorazowo wolność osobistą, a już co najmniej – pobicie".

Dlatego teraz wielu wahało się z przystąpieniem do strajku, a organizujący strajk opozycjoniści za wszelką cenę chcieli uniknąć wychodzenia z protestami na ulice. Natomiast upamiętnienie ofiar Grudnia '70 znalazło się od początku na liście postulatów strajkujących.

Swoje miejsce w strajku

Mimo tej pamięci o Grudniu, mimo lęku, po początkowych wahaniach do strajku przystąpiła większość robotników Trójmiasta. Przygotowywano się jednak na najgorsze.

W Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni nakazano natychmiastowe opuszczenie zakładu wszystkim tym, którzy nie chcieli strajkować, a także kierownikom i działaczom PZPR. Kto nie chciał się zastosować, był wyprowadzany siłą, często wśród drwin i upokarzających ceremonii.

Opuszczających gdyńską stocznię wprowadzano na wózek akumulatorowy, by pokazać ich robotnikom; wśród gwizdów odbierano im przepustki i wyprowadzano. Gdy w poniedziałek 18 sierpnia do stoczni wrócił z urlopu pierwszy sekretarz stoczniowej Podstawowej Organizacji Partyjnej (były to komórki PZPR w zakładach), wkrótce i on został wprowadzony „na wózek". Jak wspominał Józef Kuczma, Andrzej Kołodziej oznajmił zebranym stoczniowcom: „»To jest złodziej waszych pensji (...) Na przepustce ma wypisany zawód technolog, to my mu dopiszemy I sekretarz, niech się nie wstydzi« (...) gwizdy i wyzwiska nie mają końca".

W drugim dniu strajku w gdyńskiej stoczni nie wpuszczano na teren zakładu większości kobiet – uznając zapewne, że tak będzie lepiej dla ich bezpieczeństwa. Jednak „męski" strajk nie potrwałby długo, gdyby nie wsparcie wielu z nich. Józef Kuczma wspominał, że pracownice stoczniowej stołówki „zostały na całą noc, by rano podać nam gorącą strawę".

Genowefa Klamann z Biura Projektowego Stoczni Gdańskiej wspominała: „Swoje miejsce wśród strajkujących znalazłam zgłaszając chęć pomocy przy wykonywaniu prac związanych z wyżywieniem »pierwszej linii frontu«, tzn. uczestników obrad plenarnych". I dalej: „My kobiety (...) już od rana operowałyśmy nożami krojąc chleb, kiełbasę, przygotowując kanapki, by co rychlej nakarmić tych, co po krótkiej nocy skierują swe kroki tam, gdzie można coś przegryźć".

Wiele działaczek opozycyjnych miało wkrótce przekonać się, że mimo wielkiej pracy i ryzyka nie ma dla nich miejsca w obieralnych komitetach strajkowych ani potem we władzach nowego związku.

Wkrótce strajkującym pomagali też ludzie spoza zakładów. „Społeczeństwo Gdyni spontanicznie składa dary dla strajkujących. Piekarz z Obłuża dał cały wypiek chleba (...) Każdy na swój sposób chce pomóc strajkującym. Teraz widać tę solidarność w społeczeństwie" – wspominał pewien stoczniowiec. „Gdy ofiarodawca przywoził żywność, to Andrzej [Kołodziej] ogłaszał, kto to przywiózł, a my dziękowaliśmy oklaskami" – opisywał inny.

Starano się pomóc na różne sposoby. Rencista Bohdan Rawicz wspominał, że gdy poprosił w sklepie o kilka kilogramów masła, sprzedawczyni odmówiła mu, powołując się na limity sprzedaży dla jednej osoby. Ale gdy oznajmił, że jest to przeznaczone dla strajkujących stoczniowców, „z zauważalnym lękiem odważyła mi w dwóch porcjach (aby być lojalną wobec nakazów) żądany artykuł".

Tego się nie zapomni

Telewizja, pozostająca pod kontrolą władz, usiłowała zohydzić strajkujących w oczach społeczeństwa. „W dzienniku telewizyjnym ukazała się (...) podana złowrogim i ponurym głosem spikera (...) informacja o trwających w Stoczni Gdańskiej i portach Gdyni i Gdańska przerwach w pracy i olbrzymich stratach, jakie one powodują (...) jeśli tak będzie nadal, to Polsce będzie bardzo trudno wyjść z długów, jakie powstaną z tego powodu" – wspominała Teresa Łyszkowska, nauczycielka z Gdyni, która przebywała wówczas w Warszawie.

W Trójmieście władze rozpuszczały plotki, że w stoczniach niewielkie grupy

MACIEJ SOCHOR / PAP

Kraków wita przywódców strajku w Stoczni Gdańskiej. Na pierwszym planie Anna Walentynowicz (z lewej) i Alina Pienkowska, za nimi Lech Wałęsa. 19 października 1980 r.

„wichrzycieli" terroryzują gotową do pracy załogę, zamykając bramy, i że wielu robotników stara się wydostać z zakładów. „Dziennik Bałtycki" zamieszczał płomienne odezwy działaczy PZPR i krótkie informacje o „zakłóceniach w rytmie pracy", zachowując równocześnie miejsce dla obszernych propagandowych doniesień o sukcesach w „akcji żniwnej". Jednak wysiłki propagandy były skazane na niepowodzenie, gdyż protestujący pozostawali w kontakcie z ludnością Trójmiasta. Także poprzez ulotki, drukowane w większych ilościach w stoczniowych drukarniach.

W pierwszą strajkową niedzielę, 17 sierpnia, w zakładach odprawiono msze święte. Szczególnie zapamiętano 66-letniego ks. prałata Hilarego Jastaka, w czasie wojny członka Armii Krajowej, a po wojnie proboszcza parafii im. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni i budowniczego tamtejszego kościoła, który po Grudniu '70 otaczał opieką rodziny ofiar i gromadził informacje o skali represji.

Poproszony przez delegację robotników i niestrudzonego organizatora Bogdana Borusewicza, nie czekając na zgodę władz kościelnych, ks. Jastak poszedł do gdyńskiej stoczni. „Kiedy przyszedł moment (...) rozpoczęcia mszy, wielka masa ludzka w swoich kombinezonach roboczych powstała i zaczęła śpiewać (...) Rodziny, które tak licznie przybyły pod bramę, również głośno uczestniczyły w nabożeństwie. Widok był wzruszający – z jednej strony my, a z drugiej nasze rodziny z dziećmi i pakunkami żywności. Tego się nigdy nie zapomni. Mszę zakończyliśmy odśpiewaniem hymnu" – wspominał Bernard Pogorzelski, robotnik.

Władze ze wszystkich sił starały się obłożyć Wybrzeże blokadą informacyjną. Przebywająca przez pierwsze dni strajku w Warszawie Teresa Łyszkowska usiłowała skontaktować się z rodziną. „Od koleżanki próbowałam zatelefonować do Gdyni (...) niestety, po wielokrotnych, bezowocnych próbach połączenia zrezygnowałam (...) Poszłam na pocztę, gdzie dowiedziałam się, że nie ma możliwości uzyskania połączenia (...) [i] nie przyjmuje się ani telegramów, ani listów poleconych do Gdyni".

Przyzwyczajeni do kłamstw w państwowych mediach, Polacy szukali na własną rękę informacji na temat tego, co działo się na Wybrzeżu. Lukę wypełniały Radio Wolna Europa i inne nadające po polsku stacje zagraniczne.

Ciąg dalszy nastąpił

Podpisanie porozumień sierpniowych i zakończenie strajków powitano po obu stronach zakładowych bram – wśród robotników oraz wspierających ich mieszkańców – z ogromną ulgą i poczuciem zwycięstwa.

Mieczysław Jagielski, który z ramienia rządu PRL prowadził rozmowy z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Gdańsku, ogłosił, że „nie ma tutaj ani zwycięzców, ani zwyciężonych...". Czy jednak rzeczywiście tak było? Jak wspominał gdyński stoczniowiec Józef Sędziak: „Przeciw komu strajkowaliśmy, skoro dygnitarzy i wyzyskiwaczy przepędziliśmy w roku 1945?".

W istocie, ciąg dalszy miał nastąpić już wkrótce. © JAN SZKUDLIŃSKI

Autor jest historykiem i tłumaczem, pracuje w Muzeum Gdańska.

Korzystałem z: „Sierpień '80 we wspomnieniach", red. M. Latoszek; A. Machcewicz „Bunt. Strajki w Trójmieście. Sierpień 1980"; D. Karaś, M. Sterlingow „Walentynowicz. Anna szuka raju". Za pomoc w dotarciu do relacji strajkujących dziękuję panu Dariuszowi Małszyckiemu z Muzeum Miasta Gdyni.

GIEDYMIN JABŁOŃSKI | ZBIORY EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI

Ludzie zgromadzeni przed bramą nr 2 podczas strajku w sierpniu 1980 r.

Mamy prawo do zgody

ALEKSANDRA DULKIEWICZ

W sierpniu 1980 r. miałam zaledwie roczek, mama przywoziła mnie w wózku pod bramę strajkującej stoczni. Nie mogę pamiętać, a mimo to czuję, że to moja historia, moje miejsce, moja kotwica.

ZAWSZE TEGO RANKA CZUJĘ WIELKIE wzruszenie. Mamy w Gdańsku taki rytuał, że co roku 31 sierpnia o godzinie dziesiątej – na pamiątkę dnia, gdy strajkujący w Stoczni Gdańskiej im. Lenina podpisali porozumienie z komunistycznym rządem, a Lech Wałęsa wyszedł do tłumu zgromadzonego na placu i z wysokości zamkniętej jeszcze bramy wypowiedział pamiętne słowa: „Mamy wreszcie niezależne, samorządne związki zawodowe! Mamy prawo do strajku! A następne prawa ustanowimy już niedługo" – wspólnotowo ukwiecamy, a potem otwieramy na oścież historyczną stoczniową bramę nr 2.

40 lat temu tłum zgromadzony z jednej i drugiej strony tej bramy zlał się w morze ludzi. Dziś wspólnie idziemy Drogą Wolności do Europejskiego Centrum Solidarności. Jest Lech Wałęsa, są organizatorzy i uczestnicy strajku, ktoś, kto podawał przez bramę słoiki z bigosem, turyści z Leszna i młodzi rodzice, którzy chcą, żeby ich dzieci też znały tę historię...

PODNIOSŁA, RADOSNA TO CHWILA, ale i bardzo, bardzo gorzka. Dlaczego? Bo druga tura świętowania rozpocznie się w tym samym miejscu po południu, w innym składzie bohaterów, innym składzie gości, pod innymi sztandarami. Już od kilku lat świętujemy osobno. *Oni i my.* W sierpniu w Gdańsku, jak w soczewce, ogniskuje się spór, który podzielił Polskę na pół. Ich dziesięć milionów i nas dziesięć milionów. To osobno, nie wspólnie, odczuwam bardzo osobiście jako ciężki grzech wobec historii i autorów tej najpiękniejszej z polskich rewolucji – porozumienia w dialogu, bez rozlewu krwi. W sierpniu 1980 r. miałam zaledwie roczek, mama przywoziła mnie w wózku pod bramę strajkującej stoczni. Nie mogę pamiętać, a mimo to czuję, że to moja historia, moje miejsce, moja kotwica.

Co roku odżywają spory. „Kto ma prawo do solidarności? Do kogo należy Sierpień? Kto zawłaszcza i kto bruka święto?". Biję się we własne piersi, bo w tym roku znów mamy dwie uroczystości. Najważniejsze serwisy nie będą wspominać tego pięknego wielkiego sukcesu Sierpnia 1980 r., ale opowiedzą o dwóch zwaśnionych plemionach. Co się z nami stało, że dzieli nas nawet opowieść z tak pięknym niczym cud finałem? Gdzie solidarność, gdzie dobro wspólne, gdzie szacunek i zaufanie? Zawstydzający i gorszący to spektakl.

NA POROZUMIENIA SIERPNIOWE złożyły się cztery umowy, zawarte w Szczecinie, Gdańsku, Jastrzębiu–Zdroju i Hucie Katowice (Dąbrowie Górniczej). 21 postulatów z Gdańska trafiło na listę światowego dziedzictwa UNESCO „Pamięć Świata", obok Biblii Gutenberga, rękopisu dzieła Kopernika „De revolutionibus", rękopisu partytury „Wielkiej mszy h-moll" Bacha, spuścizny literackiej Goethego, petycji sufrażystek z 1893 r. i archiwum getta warszawskiego... Dziękujemy Wam, nasi bohaterowie, za wolność i demokrację.

NA ZŁOTEJ BRAMIE, którą do Gdańska niegdyś wjeżdżali królowie, widnieje sentencja w języku łacińskim: „Zgodą małe republiki rosną – niezgodą wielkie upadają". Najważniejsza nauka, jaka płynie dla mnie z sierpniowego święta, zamyka się w słowie „porozumienie", rozumianym jako szukanie zgody właśnie, wzajemne zrozumienie. Udało się 40 lat temu, potem w 1989 r. przy Okrągłym Stole. Jak dziś rosnąć, a nie upaść? Jak szukać zgody w porozumieniu, jak?

ZAPRASZAM DO GDAŃSKA. W sierpniu na Święto Wolności i Demokracji, z powodu pandemii choćby online, a potem przez okrągły rok. Na wystawie stałej Europejskiego Centrum Solidarności opowiemy Państwu piękną historię polskiej drogi do wolności, w której należne miejsce znajdują wszyscy bohaterowie. Szukajmy zgody w porozumieniu, każdy na swoją miarę, tam gdzie żyje. ©

ALEKSANDRA DULKIEWICZ
jest prezydentem Gdańska.

Narodziny obywatelskiego ruchu

BASIL KERSKI

Oprowadzając gości z całego świata po Europejskim Centrum Solidarności, często słyszymy pytanie: dlaczego to właśnie Gdańsk stał się tak ważnym ośrodkiem protestu?

To niezwykłe dla naszej historii doświadczenie i nasz wielki sukces: pod koniec XX w. Solidarność pokojowo zmieniła Polskę i Europę. Jej uniwersalność zachwyciła miliony ludzi w różnych krajach. Jej siłą było, że w warunkach konfliktu posługiwała się językiem wartości, a nie interesów. A także, że była pluralistycznym parasolem dla myślenia i działania różnych środowisk opozycyjnych: od demokratyczno-socjalistycznych po konserwatywno-chrześcijańskie. Dlatego jej dziedzictwo jest przestrzenią, do której ma prawo każdy, kto odwołuje się do demokratycznych wartości.

NA OTWARTEJ W 2014 ROKU w Gdańsku wystawie stałej Europejskiego Centrum Solidarności dokumentujemy genezę tamtych strajków. Ważna jest tu też opowieść o krwawych wydarzeniach 1970 r. na Wybrzeżu, które ukształtowały inicjatorów strajku sierpniowego. A także historia wcześniejsza. Bo oprowadzając gości z całego świata, często słyszymy pytanie: dlaczego właśnie Gdańsk stał się tak ważnym ośrodkiem protestu i narodzin nowej demokratycznej kultury w Polsce?

Rzeczywiście może zaskakiwać, że w grudniu 1970 r. i sierpniu 1980 r. centrami społecznego protestu nie były tradycyjne ośrodki polskiej kultury, lecz miasta, gdzie po 1945 r. wymieniono prawie całą ludność: Szczecin, Wrocław, Gdańsk. Trójmiasto – położone atrakcyjnie nad Zatoką, ale jednak na peryferiach, daleko od stolicy – od początku PRL było azylem dla ludzi próbujących budować własne obszary wolności, na ile to było możliwe w komunizmie. Przyciągało też młodych ludzi, jak Lech Wałęsa, którzy szukali możliwości awansu społecznego w przemyśle stoczniowym.

EWA ŻYCZKOWSKA-NOWAK

Plakat wyborczy z 1989 r. na wystawie w ECS, lipiec 2020 r.

Również dawne dzieje miasta uruchamiały wyobraźnię historyczną, dawały poczucie lokalnej tożsamości.

40. ROCZNICA NARODZIN Solidarności to czas na interpretację dziejów, a także na refleksję nad znaczeniem idei solidarności obecnie – w czasach pandemii, gdy doświadczamy, jak ważne jest myślenie ponad podziałami społecznymi i granicami państw, aby chronić zdrowie ludzi, stymulować gospodarkę i zachować pokój. To także czas na nową polityczną solidarność Europejczyków. Z podziwem patrzymy na naszych sąsiadów Białorusinów, którzy – przeciwstawiając się brutalnej przemocy reżimu Łukaszenki – walczą nie tylko o swoje, ale także o nasze prawo do demokracji i poszanowania godności człowieka.

Dziś w debacie o Polsce i jej sukcesach historycznych akcent położony jest na działania zbrojne, a pojęcie „solidarność" wielu Polakom kojarzy się z lojalnością plemienną. Taka wrażliwość mija się z duchem Solidarności z lat 1980-81. Ten obywatelski ruch działał lokalnie, ale myślał globalnie, a jego pokojowy charakter był przemyślaną strategią walki z komunizmem. Miało to także i tę przyczynę, że spotkały się w nim różne generacje. Starsza, która przeżyła II wojnę światową, a zwłaszcza powstanie warszawskie, oraz młodsza, która zetknęła się – na mniejszą skalę – z przelaniem krwi w Grudniu '70. Dojrzałość polskiej rewolucji wyrażała się w strategii: ewolucyjnej, choć zarazem kwestionującej komunizm.

W SIERPNIU TEGO ROKU Gdańsk i Europejskie Centrum Solidarności zapraszają na Święto Wolności i Demokracji. Jesteśmy dziś w środku przemian, które stawiają pytanie o dzisiejsze znaczenie takich pojęć jak wolność, solidarność i demokracja. Jak to możliwe, że w Polsce społeczne zaufanie obywateli jest na najniższym poziomie w Europie? Dlaczego politycy powołujący się na rewolucję Solidarności posługują się podziałem jako instrumentem realizacji programu politycznego? Dlaczego tak bierny w obronie kultury dialogu jest Kościół? Dlaczego kluczowe wyzwania XXI w. sytuują się na peryferiach polskiej debaty? Dlaczego narastają postawy skrajne? Dlaczego w narodzie, którego rewolucja otworzyła po 1989 r. drogę do nowej integracji Europy, tak silne są krytyczne głosy wobec Unii?

Te wszystkie pytania prowadzą do refleksji nad siłą tradycji Solidarności w Polsce – w czasach, gdy Rosja i Chiny propagują antyliberalny, antyzachodni i niedemokratyczny model państwa i gospodarki, który dla wielu europejskich polityków wydaje się atrakcyjny. Stańmy wobec tych wyzwań w 40. rocznicę narodzin Solidarności. ©

BASIL KERSKI *jest dyrektorem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku.*

JERZY UNDRO / PAP

Cała Polska z Gdańskiem

TOMASZ KOZŁOWSKI

Latem 1980 r. przez cały kraj, od morza do Tatr, przelała się fala strajkowa. W szczytowym momencie protestowało ponad 700 tys. ludzi. Polskę ogarnęła gorączka, której skala przeraziła nawet strajkujących na Wybrzeżu.

40 lat temu wakacyjne tygodnie nie należały do najspokojniejszych. Oprócz nieprzyjemnej pogody, utrudniającej wypoczynek, polskie społeczeństwo znalazło się na krawędzi buntu. Wskaźniki niezadowolenia – mierzone już wtedy w sondażach, prowadzonych jednak tylko na potrzeby rządzących i traktowanych jako rzecz sekretna – zaczęły niebezpiecznie zbliżać się do tych odnotowanych w 1976 r., gdy radykalne podwyżki cen doprowadziły do wybuchu w Radomiu i Ursusie.

Także teraz, latem 1980 r., społeczny pesymizm narastał. Szczególnie boleśnie Polacy odczuwali zderzenie ich szarej codzienności z nachalną propagandą sukcesu władz PRL. Tylko kwestią czasu było, żeby ktoś powiedział „dość".

Lublin: zaczęło się na stołówce

Detonatorem społecznego gniewu stała się podwyżka cen wprowadzona 1 lipca.

Dziś często zapomina się, że pierwszym centrum strajków nie był Gdańsk, lecz Lublin: jeszcze w lipcu stanęło prak-

Strajkujący pracownicy Zespołu Portowego Szczecin-Świnoujście zbierają darowizny na fundusz przyszłych niezależnych związków zawodowych, 27 sierpnia 1980 r.

tycznie całe miasto. Doprowadził do tego m.in. protest w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL-Świdnik – zakładach zatrudniających tysiące osób.

Według relacji świadka wszystko rozpoczęło się na stołówce: „O tym, który zaczął ten strajk, mówią, że był wybuchowy, nerwus i jak mu się krzywda działa, to nie patrzył, tylko wygarniał, co myśli. Tego dnia poszedł kupić kotlet do baru wydziałowego i okazało się, że [kotlet] podrożał z 10,20 na 18,10 złotych. Na dodatek dostał mały kotlet. Wziął, poszedł na halę i powiedział: zobaczcie, to tyle kosztuje. Rzucił kotlet i mówi, że nie będzie robił. Chłopaki! Nie robimy! Jeden, drugi, trzeci, znalazło się kilku. I tak się zaczęło".

W ten sposób grupa może 80 pracowników (jak ktoś potem policzył) zbuntowała się przeciw wprowadzeniu podwyżek w zakładowych bufetach. Za nimi poszli kolejni, przerwano pracę. Jeden z pracowników WSK wspominał: „Nie znaliśmy jeszcze wtedy pojęcia strajku okupacyjnego. Dlatego, gdy jedna zmiana kończyła pracę, szła do domu, a zastępowała ją druga".

Strajki w Lublinie wywołały poważny niepokój władzy. Protestujący dostali obietnicę podwyżek, które miały wyrównać straty wynikłe z wprowadzenia nowych cen. Sam wojewoda zobowiązał się do poprawy warunków zaopatrzenia.

Ale to niewiele pomogło: posunięcie, które na pierwszy rzut oka mogło wydawać się skuteczną strategią wygaszenia kryzysu w jednym miejscu, sprawiło ostatecznie, że strajki rozlały się na inne zakłady.

Staniesz, to dostaniesz

Bo tego, co działo się w WSK, nie sposób było ukryć: dowiadywały się rodziny, znajomi i sąsiedzi zatrudnionych tam osób. W efekcie protesty zaczęły rozprzestrzeniać się na inne zakłady w regionie lubelskim, a na popularności zyskało hasło: „Staniesz, to dostaniesz" (staniesz, czyli – przerwiesz pracę).

„Ludzie dostawali wypłatę, zaczęli porównywać i dyskutować, no i o Świdniku już wiedzieli, nie z gazet przecież. Tu szwagier pracuje, tam sąsiad powiedział, i tak wiadomości do nas dochodziły" – opowiadał pracownik z Lubelskiej Fabryki Wag. Inny, z Polmozbytu, wspominał natomiast, że „napięcia były już wcześniej i jak tylko dowiedzieliśmy się o Świdniku, to wystarczyło".

Wydaje się, że po raz pierwszy w historii PRL tak znaczącą rolę w podsycaniu nastrojów społecznych odegrały zagraniczne radiostacje. Ponieważ władze próbowały ukryć prawdę o protestach wybuchających w kraju, ludzie zaczęli coraz liczniej słuchać Radia Wolna Europa oraz polskiej rozgłośni BBC. „Znajomy kierownik salonu ze sprzętem RTV dzwonił z informacją, że ludzie masowo wykupują odbiorniki tranzystorowe z zakresem fal krótkich" – wspominał mieszkaniec Lublina.

Według (utajnionych) badań OBOP w styczniu 1979 r. RWE słuchało 30 proc. badanych, a latem 1980 r. średnio już 48 proc. Co więcej, audycji nie słuchano jak kiedyś na osobności, w domu, żeby ktoś nie zauważył i nie doniósł – teraz radio grało na stołówkach i halach produkcyjnych. Był to istotny czynnik napędzający strajki, który z całą mocą objawił się chwilę później – w sierpniu 1980 r.

Wszystkie te czynniki sprawiły, że w Lublinie i okolicach pracę przerwały 63 zakłady. Stanęła komunikacja, w tym pociągi osobowe, a wraz z nimi całe miasto. Miejscowy dziennikarz notował: „Pociąg pośpieszny relacji Warszawa–Lublin zatrzymuje się w Motyczu. Każą wysiadać. Czwarta nad ranem. Wioska oddalona o 15 kilometrów od Lublina. »Będzie zorganizowany transport zastępczy do Lublina«, ktoś obwieszcza. Niektórzy, ci podróżujący bez małych dzieci, dużych tobołków i obdarzeni mniejszą od przeciętnej cierpliwością, ruszają pieszo. (...) Chaos".

Ludzie nie mogli dotrzeć do pracy, spóźniali się, a gdy już do niej dotarli, dzielili się plotkami usłyszanymi od innych niefortunnych podróżnych. Szerzyła się panika: wykupywano chleb, cukier, kaszę, mąkę, makaron. Ludzie szykowali się jak na wojnę. Bali się, że władze mogą wyprowadzić na ulice wojsko.

Gdańsk: punkt zwrotny

Władze były nie mniej przerażone tym, co dzieje się w Lublinie. Tym razem jednak zamiast czołgów wysłały na miejsce specjalną komisję z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim na czele. Obiecał on strajkującym spełnienie postulatów, sypnął pieniędzmi na podwyżki. Biuro Polityczne PZPR było chyba zadowolone z takiego zakończenia: ostatecznie żaden protest nie wylał się na ulice, jak w latach 1956, 1970 i 1976. Zresztą strajki na terenie lubelskich zakładów przebiegały raczej w spokojnej atmosferze – po pierwszym wybuchu gniewu sami protestujący szukali drogi polubownego zakończenia.

Pod koniec lipca kierownictwo partyjne odetchnęło z ulgą i wyjechało na urlopy. Jedynie pierwszy sekretarz KC PZPR Edward Gierek mógł być niepocieszony: gdy pojechał wypocząć na Krym, musiał wysłuchać reprymendy sowieckiego przywódcy Leonida Breżniewa.

Rychło okazało się, że to nie koniec. Punktem zwrotnym stał się wybuch strajku w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Podobnie jak wcześniej w Lublinie, protest tego gigantycznego zakładu podpalił okoliczne przedsiębiorstwa [patrz tekst Jana Szkudlińskiego o Gdańsku – red.]. Ale teraz powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który przedstawił zamkniętą listą 21 postulatów. ↦

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Rodziny przekazują prowiant strajkującym w kopalni Manifest Lipcowy, Jastrzębie-Zdrój, 2 września 1980 r.

WIESŁAW DĘBICKI / OŚRODEK „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ"

Początek strajku w zajezdni nr VII we Wrocławiu, 26 sierpnia 1980 r.

↦ Trudno przecenić korzyści płynące z takiej organizacji protestu. Po pierwsze, strajkujący żądali spraw fundamentalnych, ważnych dla wszystkich robotników, nie rozdrabniali się (w czasie strajków lubelskich zgłoszono ponad 1200 postulatów!). Po drugie, powołanie organizacji skupiającej delegacje wszystkich zakładów gwarantowało solidarne działanie. Co nie było oczywiste – z perspektywy czasu lubimy zapominać, że wielu strajkujących w Stoczni Gdańskiej nie chciało walczyć o postulaty innych zakładów.

Rewolucja na eksport

Jeszcze ważniejsze było to, że MKS nie ograniczał swojego działania do Trójmiasta. Z otwartymi ramionami przyjmowano delegacje z najodleglejszych zakładów i miast. Gdy więc w innych ośrodkach zaczęły wybuchać protesty, to Gdańsk stał się nowym centrum Polski.

Nawiązywano bezpośrednie kontakty ze Szczecinem, Katowicami, Jastrzębiem, Warszawą oraz innymi miastami. Jeden z delegatów tak wspominał przybycie do Gdańska delegacji z Zakładów Mechanicznych Ursus: „Straż robotnicza sprawdza nam dokumenty. »Dlaczego tak późno?«, pytają nas i całują. Wszyscy płaczemy. Wreszcie wydusiliśmy z siebie »Ursus jest z Wami« (...). Wprowadzają nas do Sali BHP [siedziby MKS]. Powitanie, kolejno podchodzimy do mikrofonu: »Postulaty Gdańska są naszymi postulatami«".

Skąd ludzie z Ursusa wiedzieli, że trzeba jechać do Gdańska? Informacje o strajku popularyzowało Radio Wolna Europa. Ale nie tylko – MKS świadomie stosował taktykę „eksportowania" protestu. Jeden z przywódców gdańskich robotników, Andrzej Gwiazda, wspominał: „Mimo blokady informacji wieść o strajku rozchodziła się błyskawicznie. Ludzie wsiadali w samochód, jechali do Gdańska i pytali – »Co robicie?« i »Jak to zrobić u nas?«. Z Gdańska wyjeżdżali emisariusze z paczkami ulotek i wieźli je do zakładów na drugim końcu Polski".

W Trójmieście wydawano tyle materiałów strajkowych, ile PRL nie widziała w swojej historii. Łącznie wydrukowano od miliona do dwóch milionów ulotek, publikowano też biuletyn strajkowy, którego nakład wahał się od 20 do 40 tys. sztuk, w zależności od numeru. Być może nawet większość z tej produkcji opuszczała Wybrzeże.

Tajna policja PRL alarmowała, że ulotki gdańskiego MKS-u, nawołujące do solidarności, pojawiały się we Wrocławiu, Lublinie, Siedlcach, Rzeszowie, Bydgoszczy, Toruniu, Warszawie czy Płocku. Dziś wiemy, że ta lista była dużo dłuższa: część z ulotek i gazetek była wysyłana za pośrednictwem zwykłej poczty, od znajomych i rodziny z Trójmiasta. Służba Bezpieczeństwa nie mogła sobie z tym poradzić. „Obserwuje się nasilenie kolportażu – drogą pocztową – w głąb kraju ulotek, petycji i innych opracowań MKS" – alarmowali esbecy.

Ponadto wielu delegatów przybywających do Gdańska nagrywało posiedzenia MKS-u na kasety magnetofonowe, które odtwarzali potem w swoich zakładach. A w przerwach obrad MKS-u ustawiały się kolejki do telefonów: delegaci zamawiali międzymiastowe, by relacjonować, co się dzieje.

Szczecin, Elbląg, Katowice...

Pod koniec sierpnia można było już zaobserwować zjawisko kuli śnieżnej: jedne strajki pociągały za sobą wybuch kolejnych. 27 sierpnia w całym kraju strajkowało już 587 zakładów. Prawie 200 tys. ludzi protestowało w województwie gdańskim, 145 tys. w szczecińskim, 70 tys. we wrocławskim, 30 tys. w elbląskim, 18 tys. w słupskim oraz kolejne

156 tys. w 121 innych zakładach rozsianych po całej Polsce. Łącznie było to ponad 600 tys. strajkujących.

Nieprzerwanie od 19 sierpnia rósł w siłę Międzyzakładowy Komitet Strajkowy założony w Szczecinie. Tamtejsze zakłady – Stocznia im. Warskiego i Stocznia Parnica – zaczęły protest i wysyłały emisariuszy do okolicznych przedsiębiorstw. Pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Janusz Brych informował Warszawę: „Stocznia Warskiego i Stocznia Parnica strajkuje na zasadzie solidarności z Gdańskiem (...) ze stoczni wypuszczono tylko kobiety, ostali się mężczyźni, których rodziny mieszkają w mieście, i jeśli inne zakłady lub przedsiębiorstwa typu komunikacja miejska, dalej mleczarnie, piekarnie, zakłady mięsne będą chciały na znak solidarności z nimi podjąć strajk, to niech pamiętają o tym, że to bije w ich rodziny. (...) Powiedzieli [strajkujący], że »damy sobie radę«". Choć szczeciński MKS był wielkim centrum strajkowym, to jednak przykładał mniejszą wagę do eksportowania protestu – oraz był powściągliwy w kontaktach z opozycją demokratyczną i zachodnią prasą. Dlatego ich protest nie miał takiego rezonansu, jak ten w Gdańsku.

W Elblągu od 24 sierpnia sytuacja „ustabilizowała się" w ten sposób, że stały 34 zakłady. Podobna sytuacja była we Wrocławiu, gdzie do rozpoczęcia strajku powszechnego przyczynił się protest komunikacji miejskiej. Przedstawiciele strajkujących zakładów powołali tu swój MKS, który solidaryzował się z postulatami wysuniętymi przez Gdańsk i uzależniał zakończenie strajku od sukcesu negocjacji prowadzonych na Wybrzeżu. 27 sierpnia było w nim zarejestrowanych 51 zakładów – a dwa dni później już prawie sto.

W rejonie śląsko-dąbrowskim pierwszy przełom nastąpił 28 sierpnia, gdy zastrajkowała część załogi Walcowni Dużej Huty Katowice. W czasie negocjacji przedstawiono postulat, aby o proteście robotników poinformować w prasie. Zbigniew Kupisiewicz, lider strajku, mówił po latach: „Chcieliśmy, aby na Wybrzeżu wiedzieli, że popieramy ich postulaty i uznajemy je za swoje". Kluczowy protest zaczął się w tym regionie w nocy z 28 na 29 sierpnia, gdy zastrajkowały też kopalnie Manifest Lipcowy i Borynia. Powołano kolejny MKS.

Rany boskie, co to będzie?

Poparcie, jakie płynęło do Gdańska z całego kraju, nie tylko zaskoczyło, ale – paradoksalnie – także przestraszyło Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Lech Kaczyński, przebywający wtedy w Stoczni im. Lenina jako nieformalny doradca robotników, w jednej ze swoich relacji powiedział, że „nas w Gdańsku strajk górniczy z jednej strony ucieszył, bo był znakiem, że kraj się ruszył, ale także przeraził trochę, gdyż obawialiśmy się, że strajk generalny postawi władze w sytuacji bez wyjścia. I dojdzie do konfrontacji".

Jeden ze świadków wspominał, że kiedy kraj ogarnął strajk generalny, kierownictwo gdańskiego MKS-u straciło zimną krew: „I na chwilę złapali się za głowę na zasadzie: »Rany boskie, co to będzie? Cały kraj stanie i to rzeczywiście przesada«". Obawiali się, że przyparte do muru władze zamiast na finalizację negocjacji zdecydują się na desperackie rozwiązanie militarne. Lech Wałęsa publicznie zaapelował o powściągliwość i unikanie kolejnych strajków. „Niedobrze, żeby Polska była sterroryzowana (...) paraliż nie jest nam potrzebny" – tłumaczył.

Przełamana bariera lęku

Szczęśliwie władze PRL ostatecznie ugięły się i podpisały porozumienia. Fala strajkowa w całym kraju zaczęła opadać, nie był to jednak koniec protestów. We wrześniu strajkowały jeszcze liczne pojedyncze zakłady, w tym wiele kopalń. Ale protesty te nie paraliżowały już całych miast czy regionów.

Pracownicy przystąpili do organizowania nowych związków zawodowych, które 17 września zjednoczyły się w jedną organizację pod szyldem Solidarności. Związkowcy dali pokaz swojej siły już 3 października, gdy odbył się godzinny strajk przeciw represjonowaniu działaczy oraz opóźnieniom w wypłacaniu podwyżek. Wzięło w nim udział 1,3 miliona ludzi, zatrudnionych w 1800 zakładach.

Prócz tego, że doprowadziły do powstania NSZZ „Solidarność", strajki, które od lipca do września 1980 r. przetaczały się przez Polskę, miały jeszcze jeden skutek: pozwoliły Polakom przełamać barierę lęku. A także dały im poczucie wspólnoty. Nawiązane wtedy kontakty – szczególnie te z Trójmiastem – miały stać się w kolejnych miesiącach jednym z tych trwałych fundamentów, na których budowano Solidarność.

© TOMASZ KOZŁOWSKI

Autor jest historykiem, pracuje w IPN. Redaktor serii „Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku" i autor książek: „Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego Solidarność w 1980 roku" oraz „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 34/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak
OKŁADKA I OPRAC. GRAF.: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | WSPÓŁPRACA: Zuza Kardyś | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn
NA OKŁADCE: Stocznia Gdańska, sierpień 1980 r. / JEAN-LOUIS ATLAN / SYGMA / GETTY IMAGES

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TEN BEZPŁATNY DODATEK „TP" powstał dzięki pokryciu kosztów jego wydania przez Fundację Tygodnika Powszechnego m.in. ze środków pochodzących ze zbiórki zorganizowanej na Facebooku pod adresem powszech.net/zbiorka, z płatności online pod adresem powszech.net/dar oraz z darowizn na konto Fundacji, które otrzymaliśmy od 13 lipca br.
Serdecznie dziękujemy Darczyńcom. Tak pracują pieniądze, które nam Państwo ofiarowali.

PARTNERZY:

GDAŃSK · 40-lecie Porozumień Sierpniowych · Komisja Europejska · Wrocław miasto spotkań · ECS europejskie centrum solidarności · centrum historii zajezdnia · FIAT

NAUKA

CZŁOWIEK JAKO MASZYNA PAROWA

Wszyscy je liczymy i stale o nich słyszymy: od lekarzy, dietetyków, trenerów. Ale czym właściwie są kalorie?

BARTOSZ KABAŁA

Przyczyn otyłości jest wiele, ale wszystkie opierają się na jednej prostej nierówności: dostarczanej do organizmu energii jest więcej niż energii zużywanej. Czasem bilans energetyczny zaburzają choroby (np. niedoczynność tarczycy skutkuje spowolnieniem metabolizmu chorego, a tym samym zmniejszeniem porcji wydatkowanej energii), często jednak styl życia – brak ruchu, nocne podjadanie czy dieta bogata w cukry proste i tłuszcze.

Ważną rolę w diecie odgrywają zatem kalorie – choć liczą się nie tylko one. Kaloria w dietetyce i medycynie jest jednostką, za pomocą której określa się wartość energetyczną żywności. Informuje, jaka porcja energii zostanie nam dostarczona. Ale nie samej energii potrzebujemy do życia. Prawidłowa dieta to również witaminy, różne pierwiastki, aminokwasy i błonnik pokarmowy. Nasze ciało zużywa jednak najintensywniej właśnie składniki energetyczne, a ich brak dostrzegamy bardzo szybko.

Lepsza niż cieplik

Pojęcie kalorii wprowadził do nauki Nicolas Clément, francuski fizyk i chemik, żyjący na przełomie XVIII i XIX w. Zdefiniował on kalorię jako ilość energii potrzebną do podniesienia temperatury jednego kilograma wody o jeden stopień Celsjusza. Clémenta interesowało działanie silników parowych, a zwłaszcza przeliczanie ilości materiału opałowego na energię. Wraz z przyjacielem Nicolasem Carnotem opracowywał koncepcję mechanicznego odpowiednika ciepła (głoszącą, że ilość wydzielanego ciepła można wyrazić ilością wykonanej przez jakieś urządzenie pracy), rozwiniętą później przez Jamesa Joule'a i Juliusa Mayera. Koncepcja ta była ważnym krokiem na drodze do sformułowania zasady zachowania energii.

Z oczywistych przyczyn obliczenia musiały się opierać na dużych jednostkach, takich jak kilogramy. Dlatego też kaloria Clémenta jest współczesną „dużą kalorią", czyli kilokalorią (kcal). „Mała kaloria", czyli gramokaloria albo po prostu dzisiejsza kaloria (cal), została wprowadzona w 1852 r. Jej definicja mówi o ogrzewaniu grama wody.

Pojęcie kalorii było przede wszystkim używane do tłumaczenia zawiłości termodynamiki, ulepszania najnowszej technologii, jaką był wówczas silnik parowy, a także obalania starych teorii o istnieniu pierwiastka ciepła, zwanego po francusku *calorique*. W Polsce Jędrzej Śniadecki, lekarz i biolog, nazwał ten pierwiastek cieplikiem (słowo „świetlik", czyli pierwiastek światła, też jest zresztą jego autorstwa).

Wszystko to nie tłumaczy jeszcze, dlaczego dziś na każdym opakowaniu jogurtu i hummusu pojawiają się tabele z kilokaloriami. Człowiekiem, który połączył kalorie z żywieniem i ludzkim organizmem, był amerykański chemik Willbur Olin Atwater. Zainspirowany podróżą po Europie w latach 70. XIX w., postanowił stworzyć rolniczą stację doświadczalną, na wzór tych, które widział w Niemczech. Jednostki te miały służyć przede wszystkim unowocześnianiu rolnictwa, zwiększeniu jego wydajności i opłacalności. Jed-

CHINA PHOTOS / GETTY IMAGES

Występy połykaczy ognia w Chongqingu, Chiny, listopad 2007 r.

nak największe zasługi dla nauki przyniosło Atwaterowi zainteresowanie ludzkim metabolizmem oraz żywieniem. I właśnie na tym skupił się najbardziej.

Walka z marnotrawstwem

Stał za tym ważny aspekt ekonomiczny i społeczny. W jednym z artykułów Atwater pisał: „Połowę zarobków pracowników najemnych w tym kraju i Europie przeznacza się na żywność. Zdrowie i siła wszystkich są ściśle zależne od ich diety. Jednak większość ludzi niewiele wie o tym, co zawiera ich żywność, w jaki sposób ich odżywia, czy kupowanie i przygotowywanie jej jest ekonomicznie rozsądne, czy też nie, oraz czy żywność, którą spożywają, jest odpowiednio dostosowana do wymagań organizmu. Rezultatem tej ignorancji jest wielkie marnotrawstwo przy zakupie i używaniu żywności, utrata pieniędzy i uszczerbek na zdrowiu".

Celem Atwatera było stworzenie dietetycznego standardu dla wszystkich ludzi. Jego szacunki, choć uwzględniały wiek, płeć czy zawód, były oparte na uśrednionych wartościach spożycia pokarmów przez różne grupy ludzi. Sam Atwater był krytyczny wobec własnych wyliczeń i podkreślał potrzebę badań na poziomie metabolicznym. Chciał wiedzieć, jak wiele energii ludzki organizm potrzebuje, by normalnie funkcjonować. Wraz z kilkoma innymi naukowcami rozpoczął więc w 1895 r. budowę ogromnego kalorymetru, w którym mógłby zmieścić się człowiek wykonujący codzienne czynności.

Kalorymetria, czyli metoda pomiaru wydzielanego lub pobieranego ciepła, była w badaniach nad metabolizmem wykorzystywana już wcześniej, ale na zdecydowanie mniejszą skalę. Zanim Atwater i jego zespół zabrali się za swój projekt, w kalorymetrach zamykano owce, psy i bydło. Jeszcze wcześniej metabolizm próbowano badać, ważąc ludzki organizm w różnych sytuacjach. Słynny włoski lekarz epoki renesansu Santorio Santorio miał obsesję na punkcie pomiarów. Skonstruował specjalne krzesło, na którym ważył siebie i wszystko, co zjadał i wydalał. Ważył się po każdej czynności – przed ↦

snem, po przebudzeniu, przed i po spacerze itd. Zaobserwował, że pewna ilość materii znika bez śladu. Ten efekt nazwał *perspiratio insensibilis*, czyli niedostrzegalnym oddychaniem, a jest on w rzeczywistości utratą około pół litra wody dziennie przez skórę i wraz z wydychanym powietrzem. Jego prace były inspiracją i początkiem badań nad ludzkim metabolizmem.

Komfort ciasnej klatki

Procesy kataboliczne, czyli te uwalniające energię, można sprowadzić do prostego wzoru: pożywienie oraz tlen dają w efekcie energię, dwutlenek węgla i wodę. Co ważne, część uwolnionej energii rozprasza się w postaci ciepła. Kalorymetria bezpośrednia polega na zmierzeniu tego ciepła, by wyliczyć całość energii uwolnionej przez organizm z pożywienia. Z kolei kalorymetria pośrednia mierzy zużycie tlenu i produkcję dwutlenku węgla, i dopiero wówczas wylicza się wyprodukowaną energię i inne niewiadome z wzoru.

Zespół Atwatera stworzył klatkę z miedzi, cynku i drewna, w której zamykano obiekt eksperymentu – w tym przypadku człowieka. Urządzenie mierzyło zarówno uwolnione ciepło, jak i pobierany tlen oraz wydychany dwutlenek węgla.

O zachowaniu obiektu eksperymentu wewnątrz kapsuły najlepiej niech opowie sam jej twórca:

„Ochotnik w komorze normalnie żyje – je, pije, pracuje, odpoczywa i śpi. Ma ciągły dostęp do świeżego powietrza. Temperatura otoczenia jest utrzymywana na poziomie, na który przystał uczestnik. W komorze znajduje się małe składane łóżko, krzesło oraz stół. W ciągu dnia łóżko jest złożone, by zrobić miejsce do siedzenia przy stole i dać możliwość spacerowania. Jego przechadzki są jednak ograniczone, komora ma siedem stóp długości, cztery szerokości i sześć wysokości. Żywność i napoje są podawane przez otwór, który jednocześnie służy do usuwania stałych i płynnych ekskrementów oraz zaopatrywania obiektu w książki, przybory toaletowe i wszystkie inne rzeczy niezbędne dla komfortu i wygody".

Badania Atwatera były sporym osiągnięciem. Dowiodły, że zasada zachowania energii dotyczy również istot ludzkich, a każda ilość energii, która nie została wykorzystana przez organizm do bieżących celów, jest w nim magazynowana.

WHO zaleca,
by cukier dodawany do żywności stanowił mniej niż 10 proc. dziennej dawki energii, a tłuszcze – mniej niż 30 proc.

Amerykanin nie poprzestał na empirycznym określaniu zużycia energii przez organizm człowieka. Istotne było dla niego także poznanie kaloryczności produktów żywnościowych. Jedną z metod określenia kaloryczności żywności była bomba kalorymetryczna. Urządzenie to zaprezentował w 1881 r. Marcellin Berthelot. Kaloryczność badanej substancji czy produktu określało się, spalając go i mierząc uwolnione ciepło. Atwater stworzył ogólne współczynniki dla czterech podstawowych, jak mu się wydawało, składników pożywienia: tłuszczu (9 kcal/g), węglowodanów (4 kcal/g), białka (4 kcal/g) i... alkoholu (7 kcal/g).

Porady doktor Peters

Pierwotny system Atwatera był jednak zawodny. Jeśli mierzymy wartość kaloryczną kromki chleba pszennego zawierającego 10 g węglowodanów, 2 g tłuszczów i 1 g białka, otrzymamy 62 kcal – i wszystko się zgadza. Ale w przypadku niektórych produktów system nie działa. Przykładem jest błonnik, który, choć jest węglowodanem, nie dostarczy organizmowi energii – ponieważ nie potrafimy go trawić. Kaloryczność posiłku z dużą ilością błonnika będzie zatem znacznie niższa, niż sugerowałyby to wyliczenia.

Zmodyfikowany system przetrwał i częściowo jest używany do dziś (zob. ramka). Zespół Atwatera całkowicie zmienił postrzeganie metabolizmu i kalorii przez naukę, jego celem zaś, jak pamiętamy, było również dotarcie z tą wiedzą do mas. To drugie zadanie kilka lat po śmierci praojca wszystkich diet wzięła na swoje barki Lulu Peters. Kobieta-lekarz, co w tamtym czasie w USA było niezwykłe samo w sobie, w 1909 r. kończyła studia medyczne, ważąc blisko 100 kilogramów. Licząc kalorie i korzystając z głodówek (które dziś nie są polecaną metodą pozbycia się nadwagi), udało jej się zrzucić ponad 30 nadmiarowych kilogramów. Swoim przykładem chciała zachęcać do dbania o wagę ciała i zdrowe żywienie.

Na początku 1918 r. opublikowała książkę pt. „Dieta i zdrowie: klucz do kalorii". Peters przekonuje w niej: „Powinniście znać i używać słowa kaloria, tak często, a nawet częściej, jak używacie stopy, jarda, kwarty, galonu itd.". Książka napisana była prostym językiem i przyozdobiona obrazkami autorstwa dziewięcioletniego siostrzeńca autorki.

Zaraz po ukazaniu się książki Peters wyjeżdża do Europy ogarniętej jeszcze zawieruchą Wielkiej Wojny, gdzie przez kolejne dwa lata służy w Czerwonym Krzyżu na Bałkanach. Po powrocie odkrywa, że jej książka stała się bestsellerem. Sprzedały się 2 miliony egzemplarzy. Choć to publikacja lekka i zabawna, wpisuje się w nastroje tamtego okresu. Czas wojny był trudny dla społeczeństwa amerykańskiego również ze względu na braki żywności. Administracja prezydenta Woodrowa Wilsona zachęcała obywateli do rozsądnego zarządzania budżetem i racjonalnego gospodarowania żywnością. Ówczesny szef Agencji Żywności i późniejszy prezydent Herbert Hoover wprowadził „bezmięsne czwartki" i „bezcukrowe soboty". Pieczono także tzw. chleb zwycięstwa zawierający 20 proc. zbóż innych niż pszenica.

Peters kończy pierwsze wydanie książki hasłem zaczerpniętym z plakatów Agencji Żywności przestrzegających przed marnowaniem jedzenia: „Żywność wygra wojnę". I podkreśla: jedz tyle kalorii, ile potrzebuje organizm.

Dodatkowa seria pompek

Ale skąd wiadomo, ile ludzki ustrój potrzebuje energii? Każdy przecież ma inne tempo metabolizmu, inaczej pracuje, je i spędza czas. Choć bilans energetyczny jest dość prosty – energia dostarczana do organizmu powinna równoważyć energetyczny wydatek, to wzór ten można skomplikować. Wydatek energetyczny składa się ze strat energii oraz energii wydatkowanej przez organizm, zwanej całkowitą przemianą materii.

Ta ostatnia to suma podstawowej i ponadpodstawowej przemiany materii. Podstawowa przemiana materii to absolutne minimum potrzebne do utrzymania funkcji życiowych, takich jak oddychanie, praca serca, i układu nerwowego (a zwłaszcza mózgu), utrzymanie stałej temperatury itd. Tyle energii zużywamy, gdy leżymy bez ruchu na kanapie patrząc w sufit.

Podstawową przemianę materii można zmierzyć kalorymetrem albo oszacować matematycznie. Pierwszy wzór opracował jeden ze współpracowników Atwatera – Francis Benedict. Wartość ta zależy m.in. od wieku, płci i budowy ciała, ale wpływ mają również stany chorobowe. Podstawowa przemiana materii w najmniejszym stopniu zależy jednak od nas i naszych działań.

Większy wpływ mamy na ponadpodstawową przemianę materii, która stanowi całkowitą energię zużywaną w czasie pracy, aktywności fizycznej czy umysłowej. Także w trakcie jedzenia. Każdy posiłek należy strawić, co wiąże się z dodatkowym wydatkiem energetycznym. Efekt ten, nazywany swoistym dynamicznym działaniem pokarmów, odpowiada za wzrost temperatury po obfitym posiłku, szczególnie białkowym. Ponadpodstawowa przemiana materii jest więc tym miejscem we wzorze bilansu energetycznego, w które celują trenerzy personalni, próbując zmusić ćwiczącego do zrobienia jeszcze jednej serii pompek.

Trudno samemu zbudować kalorymetr, zamknąć się w nim i zmierzyć swój wydatek energetyczny w trakcie różnych aktywności. Aby więc uprościć obliczenia, zaproponowano współczynnik aktywności fizycznej, przez który należy przemnożyć podstawową przemianę materii. Każdemu według jego potrzeb.

Z tych powodów Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) w swoich wytycznych dotyczących prawidłowego żywienia nie przedstawia z góry ustalonych wartości energetycznych potrzebnych do życia, ale podaje procentowy udział poszczególnych podstawowych składników (w przeciwieństwie do Atwatera pomija przy tym alkohol). WHO zaleca, by cukier dodawany do żywności stanowił mniej niż 10 proc. dziennej dawki energii, a tłuszcze powinny stanowić mniej niż 30 proc. Istotą, podobnie jak w geopolityce, jest rozsądna dywersyfikacja źródeł energii.

W komórkowych elektrowniach

Trzymając się tej analogii, w naszym organizmie znajdziemy również elektrownie oraz odbiorców. Odbiorcą energii jest każdy proces biochemiczny zachodzący w żywym organizmie, który jej wymaga. Nie da się korzystać ze źródeł energii (takich jak glukoza czy kwasy tłuszczowe) bezpośrednio w każdej biochemicznej reakcji, tak jak nikt nie korzysta z węgla kamiennego, by zasilić swój odkurzacz. Dlatego kluczową rolę odgrywają mitochondria – obecne w komórkach małe elektrownie, które są miejscem przetwarzania energii chemicznej zawartej w substratach energetycznych w użyteczną biologicznie energię zawartą w cząsteczce ATP. Wszystko to dzieje się w obecności tlenu.

ATP (trójfosforan adenozyny) to podstawowy związek organizmów żywych. Jest łącznikiem między energią zawartą w pożywieniu a energią wykorzystywaną przez organizm. Cząsteczka ATP zbudowana jest z adenozyny i łańcucha trzech reszt fosforanowych połączonych ze sobą dwoma wysokoenergetycznymi wiązaniami. To właśnie z tych wiązań w wyniku ich rozpadu uwalniana jest konieczna do biochemicznych reakcji energia.

Droga, którą przechodzi pojedyncza cząsteczka glukozy – od wejścia do komórki, przez przekształcenia w mitochondrium, aż do wytworzenia cząsteczek ATP, wody i dwutlenku węgla, który później wydychamy – nosi nazwę oddychania komórkowego. Wzór sumaryczny tego procesu nie różni się od reakcji utleniania cząsteczki glukozy w bombie kalorymetrycznej. Glukoza oraz tlen dają dwutlenek węgla, wodę i dużą ilość energii. Skomplikowanie i wieloetapowość oddychania komórkowego służą ujarzmieniu tej energetycznej reakcji.

Pierwszym etapem jest tzw. glikoliza, zachodząca w komórce, ale poza mitochondrium. Powstaje wówczas związek, który w mitochondrium wchodzi w słynny (i znienawidzony przez studentów biologii) cykl Krebsa. Na samym końcu jest łańcuch oddechowy, który staje się głównym źródłem ATP. Ostatecznie z cząsteczki glukozy powstaje 38 cząsteczek ATP. Inaczej przebiega metabolizm tłuszczów, w którym z jednej cząsteczki kwasu tłuszczowego o długości 16 atomów węgla (kwas palmitynowy, obecny np. w oleju palmowym) powstaje aż 131 cząsteczek ATP.

Okazuje się jednak, że jeśli przeliczyć kaloryczność glukozy zmierzoną w bombie kalorymetrycznej i porównać do ilości kalorii zawartych w wiązaniach energetycznych ATP, to brakuje sporej ilości energii. Co się z nią dzieje? Jej duża część jest zamieniana w ciepło. W tym aspekcie ludzki organizm przypomina pierwsze maszyny parowe, w których ogromne straty energii spędzały sen z powiek takim naukowcom jak Clément i Joule.

Ludzkość jednak nie musi się przejmować nadmierną utratą energii w naszym ciele. Często bowiem dostarczamy jej sobie aż nadto. © BARTOSZ KABAŁA

Liczenie kalorii

SYSTEM ATWATERA pozwala określić ilość dostępnej w żywności energii, dzięki czemu na każdym produkcie spożywczym znajduje się tabela z informacją o kaloryczności żywności. Producenci nie spalają już swoich wyrobów w bombie kalorymetrycznej – stosują się po prostu do wzoru. Zgodnie z nim od całkowitej energii produktu należy odjąć straty energii w kale i moczu, ponieważ część składników energetycznych nie zostaje zużyta i opuszcza nasz ustrój w niezmienionej postaci. Określenie tej straty wymagałoby żmudnych badań na ludziach i ich wydalinach. Atwater opracował w zamian współczynniki strawności dla podstawowych substratów (węglowodanów, tłuszczów i białek). Okazuje się jednak, że współczynnik strawności zależy nie tylko od składnika energetycznego, lecz także od rodzaju produktu żywnościowego, z którego pochodzi. Efekt ten jest nie do pominięcia. Dlatego w latach 70. XX w. zmodyfikowano system Atwatera: obok współczynnika strawności wprowadzony został współczynnik związany z rodzajem pożywienia. © BK

SPIS RZECZY DO PRZEŻYCIA

DOROTA MASŁOWSKA, PISARKA:

Nie dowierzam, że robię coś ważnego. I zadręczam się, że powinnam coś sprzedawać, coś wytwarzać. Dlatego zapisałam się na kurs szycia.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Istnieje rzecz, której nigdy byś nie wyrzuciła?

DOROTA MASŁOWSKA: Kłopot w tym, że jestem osobą wyrzucającą. Dlatego moja osobista historia posiadania jest burzliwa. Widać w niej wysoką zwrotność życiową: tendencje do rujnowania starych rzeczywistości i budowania pospiesznego nowych.

To kwestia przeprowadzek?

I ogólnej tendencji do zmian. W związku z tym mój majątek osobisty jest mocno przetrzebiony. Ale, rzeczywiście, mam parę rzeczy, które wędrują za mną od domu rodzinnego do obecnego, w tym trzy brzydkie elementy popularnej zastawy ze wzorem kaszubskim. Gdy od czasu do czasu się w nie zapatrzę, zabierają mnie w podprogową podróż w czasie.

Daleką?

Do wczesnego dzieciństwa. Przejmuje mnie, jak zaciekle potrafią trwać niektóre przedmioty, nieadekwatnie do swojego braku urody czy funkcjonalności. Może to właśnie nieatrakcyjność czyni je wiecznymi.

A jakaś rzecz podarowana przez mamę lub babcię?

W tych rzeczach, które ze mną wędrują, jest fotografia, którą babcia zrobiła jako 16-latka. I obraz z Jezusem, który dostała na osiemnastkę. I jej kolekcja książek Jadwigi Courths-Mahler.

O! Za komuny literatura ocenzurowana.

Ta Jadwiga to była jej totalna *guilty pleasure*. I jeszcze mam w posiadaniu babci pierścionek ulubiony. Oraz różaniec – taki pradawny, kościany. Nie biały plastikowy, tylko niesamowicie siny.

Więc trochę tego jest.

Mnie się wydaje, że niedużo. Nie szanuję rzeczy, nie mam zdolności ich celebracji, którą widuję u różnych ludzi. Rzeczy często niszczę albo gubię, są dla mnie czysto użytkowe. W rodzinie jestem pierwszym pokoleniem, które doświadcza nadmiaru. Rodzice w moim wieku mieli za mało, ja – za dużo. Kiedyś w ramach rozczulania się nad materią obsesyjnie rzeczy przygarniałam, potem histerycznie wszystko wyrzucałam. Tak jakby nadmiar był stałym parametrem – zmieniał się tylko stosunek do niego.

Ale czy jako dziewczynka marzyłaś o czymś szczególnie? Twój tata był marynarzem, pływał po całym świecie, mógł przywieźć rzeczy niemożliwe do zdobycia w Polsce. ↦

Dorota Masłowska, sierpień 2020 r.

↦ Żyliśmy na jakimś bolesnym styku tych materialnych światów: zgrzebnej komuny i bombastycznego Zachodu. Ale ostatecznie to się nie przekładało na żaden przepych – moi rodzice pochodzili ze skromnych domów, byli konsumentami niewinnymi i naiwnymi. Nie mieli planu budowy imperium, raczej spełniali swoje drobne marzenia o wideo czy bluzce.

Tylko?

Nasza codzienność była umeblowana i urekwizytowiona bardzo brzydkimi rzeczami, które posiadali wszyscy. I na półki tych brzydkich mebli, pośród książek Lesława Furmagi, mieliśmy wstawione grube katalogi zachodnich firm wysyłkowych. Zaczynało się od bielizny, przez pidżamy, outfity, potem zabawki, wreszcie meble, narzędzia, sprzęty ogrodowe. Wszystko piękne, ponętne, niedostępne; każdy członek rodziny kochał przeglądać te katalogi i dosłownie płonąć z pożądania. Dziś zastanawiam się, co to była za konstrukcja świata: my tutaj w tej szarej bidzie, a tam gdzieś świat wspaniałości, zamknięty dla nas materialny raj. Czyli niekoniecznie byliśmy bliżej tych przedmiotów – artefaktów Zachodu. Mieliśmy tylko większy dostęp do marzeń o nich, do pożądania, do ślinotoku.

A czy istnieje jakiś przedmiot, który chciałabyś wyrzucić, ale coś Cię powstrzymuje?

To kojarzy mi się z konfliktami w moim związku. Ja często chcę wyrzucać rzeczy, zwłaszcza te brzydkie; wydaje mi się, że od patrzenia na nie psuje mi się mózg. Natomiast mój partner ma dużo czulszy stosunek do przedmiotów, wzrusza się ich brzydotą, wręcz udziela im azylu. Na przykład pije kawę co rano z obrzydliwego kubeczka znalezionego na dzikim wysypisku. Jest na nim napisane „Made in Korea" i on codziennie kontempluje tę drogę, którą kubeczek przebył. Ja nie mam tak dobrego serca.

A może tworzycie wspólny front w czymś innym: w segregowaniu śmieci?

Tu jesteśmy zgodni, nikt nie odpuszcza. To jest obłędnie ciekawe, jak na przestrzeni ostatnich lat zmienił się nasz stosunek do śmieci: od zdziwienia, że za ich wywóz trzeba płacić, zdziwienia, że śmietniki są zamykane, zdziwienia, że coś trzeba w ogóle segregować, przeszliśmy płynnie do obsesji, czy wszystko dobrze posegregowane, czy przypadkiem nie wrzuciliśmy do ogólnego czegoś, co dałoby się odzyskać. Aż po kaca moralnego, gdy tak się stało...

Śmieci generują mnóstwo nowych emocji.

Generują. Na przykład: czy wszyscy sąsiedzi z twojej klatki segregują tak samo dobrze. I jeżeli nie starają się tak jak ty, to masz fantazje mściwe, co z nimi zrobić, zaczaić się przy śmietniku i napaść po zmroku, kiedy będą szli ze swoimi źle posegregowanymi kubłami. Czy po prostu napisać na nich donos. I do kogo?

Specjalnie mnie rozśmieszasz!

Prawie serio mówię. Knujemy przeciwko naszym sąsiadom, którzy źle segregują, typujemy ich. Kto wywalił do bio brudne słoiczki po Gerberach? Chyba ten typ, co wrzuca też pieluchy do plastików. Ale też widziałam i słyszałam awantury pod śmietnikami, przyklejone kartki w trybie rozkazującym. Czyli segregowanie śmieci segreguje również ludzi. Okazuje się, że to też może być pole wzajemnej kontroli oraz hierarchizacji, no bo lepsi segregują lepiej, a gorsi gorzej.

Chciałam uciec w szycie przed pisaniem.
Ale i tak największą moją twórczością w czasie kursu było opowiadanie o nim znajomym.

Albo ktoś segreguje nonszalancko, bo czuje się lepszy. Nigdy nie popełniasz błędu w segregacji?

Staram się, ale świecę chyba odbitym światłem. Gdyby nie wysokie standardy narzucane przez partnera, to może bym sobie bardziej odpuszczała? Niby bzdura, ale myślę, że segregacja to jeden z obszarów do negocjacji w związku.

W jakim sensie?

Przejawia się w niej coś ważniejszego: stosunek do świata zewnętrznego. Do tego, co jest poza drzwiami naszego domu. Czy czujemy się współgospodarzami rzeczywistości, czy tylko jej użytkownikami, czy może wręcz gośćmi, konsumentami z prawem do roszczeń. Czy nas to obchodzi, czy nie obchodzi. Jakie mamy poczucie wpływu – czy nasze działania oddziałują na rzeczywistość, czy uważamy, że to świat innych ludzi i niech oni sobie już tam się z nim użerają. To są bardzo jednostkowe ustawienia.

Jeśli mieszasz plastik z papierem, to wprowadzasz świat w jeszcze większy chaos?

Coś takiego. Używasz, konsumujesz, ale może nie czujesz się odpowiedzialna za odpady tej konsumpcji, nie traktujesz ich jako coś realnego. Może wydaje ci się, że one po prostu znikają. Wszystko wskazuje na to, że system segregacji śmieci w Polsce jest niewydolny i niewiele z nich udaje się odzyskać. Ale ja myślę, że i tak warto to praktykować.

Bo?

Bo to zmienia optykę. Zmusza cię do monitoringu twoich działań. Każe codziennie zdecydować, czy jesteś mieszkańcem świata wystarczająco dobrym i czułym, czy gościem, a może nawet piratem, bandytą. Nieodmiennie przeraża mnie w naszych śmieciach ilość plastiku. W plastiku można naprawdę zobaczyć wieczność.

Czytając „Jak przejąć kontrolę nad światem" zauważyłam, że gdziekolwiek jesteś – w Polsce, na Kubie czy w Chinach – widzisz świat jako wielkie śmietnisko rzeczy, które kupujemy i które są nam do niczego niepotrzebne.

To się chyba wkradło do naszego życia niepostrzeżenie. Sama nie zauważyłam, kiedy kupowanie rzeczy przestało być czynnością praktyczną, użytkową, a stało się rzeźbieniem czy poezją – formą komunikowania się ze światem. Mówię tu o chwilach, kiedy np. przyjeżdżasz do nowego miejsca i kupujesz bubelek – to jest przecież cały przemysł tzw. pamiątek.

Widzę w tym naiwną intuicję wejścia w świat, wchłonięcia go, uczestnictwa w nim. Interesuje mnie, jak konsumpcja często zastępuje, a co za tym idzie, zabiera

nam przeżycie. Kupujemy rzeczy jako symbole emocji, stanów, przygód.

Ech, sama kolekcjonuję bubelki.

Oferta świata materialnego napiera z taką intensywnością i nadmiernością, że trudno mieć teraz bogate życie duchowe. Życie zewnętrzne jest tak obfite, że trudno mieć bogate życie wewnętrzne. Cały czas narzuca nam się materia. Nawet nie do zmysłowego doświadczania, tylko do posiadania.

Rzeczy nas ogłupiają?

W pewnym sensie tak. Ale mądrzej by chyba było uznać, że w zastraszającym tempie nas zmieniają. Na przykład smartfony w tej chwili myślą i zapamiętują za nas, znajdują nam drogę i znajdują nam znajomych albo znajdują nam kochanków.

A Ty co najchętniej kupujesz?

(*Milczenie*)

Powiesz?

Nie wiem, czemu się na tym zawiesiłam. Chyba jest w tym coś zbyt prywatnego.

Bo?

Bo to porażka.

Porażką są też moje bubelki.

Chciałabym, żeby to inni postępowali źle, a ja dobrze. Ale też mam za uszami.

Od czasu do czasu mam jakieś bulimie konsumpcyjne. Przynoszę do domu naręcze ciuchów i kosmetyków, często nawet ich nie odpakowuję. Wtedy mocno czuję, że nie chodziło o te rzeczy, tylko o jakąś tęsknotę. Coś chciałam zrobić, czegoś doświadczyć, ale nie miałam na to pomysłu, więc kupiłam rzeczy.

W „Jak przejąć…" przy opowieści o pobycie na stypendium twórczym w Szanghaju jest zdjęcie Doroty Masłowskiej siedzącej na brzegu łóżka w pokoju hotelowym i wyglądającej na bardzo zagubioną.

To zdjęcie zrobił mi Maciek Chorąży, ilustrator tej książki, kiedy mnie tam odwiedził. Zobaczyłam dopiero na próbnym wydruku, że je tam umieścił.

Siedzę w swoim znienawidzonym pokoiku, usiłując się spakować i walczą we mnie różne siły. Żal, że moje stypendium się kończy, że wyjeżdżam, i poczucie, że niczego tak nie chcę, jak już wrócić do domu. To właściwie jakieś permanentne rozdarcie, w którym funkcjonowałam, tak dużo jeżdżąc. Mój szerszy dramat egzystencjalny z niedomykającą się walizką w tle.

Życie stwarzało mi możliwości bycia na trzech kontynentach w ciągu jednego miesiąca, więc uznawałam, że muszę to robić. Musiałam, bo mogłam.

Czyli pustka.

W tym nadmiarze rzeczy wybrzmiewa bezsensowność naszej egzystencji. Bo rzeczy są nie tylko mnogie, ale i wieczne. Wydaje nam się, że rzeczy nabywamy, a potem wyrzucamy, lecz w rzeczywistości to one są wieczne, a nasze życie kruche i ulotne. Jakbyśmy byli przeznaczeni do śmieci.

Ciary mnie przeszły.

Mnie przechodzą ciary, gdy widzę, jak ciągłe kupowanie, w ogóle bezrefleksyjne przyjęcie modelu życia od przedmiotu do przedmiotu, od jednego nowego AGD do drugiego, od jednej wersji smartfona do kolejnej, wpłynęło na relacje między ludźmi. Konsumpcja stworzyła pewien model doświadczania, który przeniósł się na relacje: ludzie postrzegają się nawzajem jako obiekty do skonsumowania. Wystawienia recenzji, przyznania gwiazdek. Uderza mnie to często w kontakcie z nieznajomymi, ale też niektórymi znajomymi: następuje coś na kształt odhaczania.

Odhaczania?

Chodzi o to, że ludzie nie przeżywają się, nie doświadczają, nie czują, tylko coś tam sobie zaliczają, wykreślają z listy. Sądzę, że ta optyka to też pokłosie korzystania z mediów społecznościowych. Ktoś spotyka się z tobą, ale czujesz, że właściwie wystarczy mu sam ten akt powitania – myślami jest już gdzie indziej. Nie jest zainteresowany realnym spotkaniem.

Inny prosty przykład z mojej branży: ludzie przychodzący na spotkania autorskie celem zrobienia sobie zdjęcia z pisarzem. Często ta prośba jest niewinna, ale kiedy się nie zgadzam, czuję ich wściekłość. Dwie godziny wysiedziane, a nie ma zysku, nie ma dowodu, nie ma śladu.

To najbanalniejsze przykłady, które przychodzą mi teraz do głowy, ale nieustannie widzę ten pożerający stosunek ludzi do siebie nawzajem. I ciągle mam na końcu języka słowo „odhaczanie"… Jakby ludzie nie byli dla siebie realni, tylko stali się godziną w kalendarzu, sprawami do załatwienia, rzeczami do zdobycia. Na sferę kontaktów życia międzyludzkiego przekłada się logika nabywania i nowości.

I stoi za tym taka arytmetyka, pazerność: więcej, więcej, dalej, dalej. Coś innego, coś następnego.

Tak jak więcej, więcej chce Gruzin, jeden z bohaterów „Jak przejąć…". Ma tysiące pomysłów, żadnego nie realizuje – nie jest w stanie. Wybitny gawędziarz, nieudacznik jako praktyk. Naprawdę poznałaś takiego człowieka?

Oczywiście, to *real* w stu procentach. Ale ja go opisałam, bo akurat widziałam w nim coś bardzo typowego. Ciekawa jest twoja interpretacja, bo rzeczywiście przejawiało się w tej postaci jakieś kolejne oblicze nadmiaru: nienaturalne namnożenie planów na życie, pomysłów na siebie, scenariuszy do realizacji. Kolejna pazerność, do której świat zachęca nas serialami i Instagramem. Jakby mówił ci ciągle: człowieku, ty to banał, ty to za mało, powinieneś być każdym.

Spotykam coraz więcej młodych ludzi śladowo działających, ale wiele mówiących, co chcieliby zrobić, zaczynających działanie i niekończących go.

To musi być bardzo trudne: urodzić się już w takim namnożeniu i dostępności fabuł i fikcji. Sprostać swoim własnym rozbudzonym oczekiwaniom.

To nie jest świat dla zwykłych ludzi. Popełniamy błąd, przykładając do tego naszą miarę i nasz system wartości – to jest zupełnie inna rzeczywistość, wymagająca innych kompetencji. Te wszystkie nasze zdrowe rozsądki „kończ, co zacząłeś", „nie porywaj się z motyką na słońce" ↦

↦ mogą być tu kompletnie anachroniczne. Może właśnie „porywaj się z motyką na słońce” jest w nim bardziej adaptacyjne.

No nie wiem.

Też próbuję to wszystko zrozumieć. Ale to są nowe, bardzo gwałtownie zmieniające się warunki. Sądzę, że młodzi ludzie żyją teraz na ruchomych piaskach. Świat przekształca się w szalonym tempie, każdego roku pojawiają się nowe technologie zmieniające nasze życie. Nie mówiąc o tym, że w sensie cywilizacyjnym chwiejemy się nad przepaścią – jutro jest bardzo niepewne nawet pod tym względem. „Nie będzie nas, będzie las” już nie działa, bo być może nie będzie ani nas, ani lasu, ani niczego. Ciężko żyć pełną piersią z taką świadomością.

Rozumiesz to pokolenie?

Staram się. Obserwując moją córkę, myślę, że jest im bardzo trudno. Często łapię się na takiej dziado-zawiści: „wszystko mają, w dupach im się przewraca”.

Na pewno materialne niedogodności zostały im oszczędzone, ale na ich miejsce weszły egzystencjalne tortury, o których nam się nie śniło. Na przykład internet, który oferuje możliwość perwersyjnego, łatwo namnażającego się zła. Chwilami cieszę się, że dojrzewałam w też niewesołych, ale z tej perspektywy niewinnych latach 90.

Jedno jest pewne: wszyscy jesteśmy niewinni wobec pandemii. Wraz z nią skończył się świat, w którym czuliśmy się w miarę swobodni.

Moja książka w sposób niezamierzony też o tym opowiada. Dużo jeździłam po świecie, doświadczając i niesamowitości tych bardzo łatwych podróży, i pewnej ich jałowości. A tu nagle: trach. Bardzo gwałtowny zwrot akcji.

Powiedz więcej o tym zwrocie akcji.

Mój kalendarz na tę wiosnę przewidywał same podróże. Mieszkam niedaleko lotniska, więc bukowałam je często na styk, bo właściwie nie było dla mnie problemem przylecieć skądś rano, wpaść do domu, a wieczorem być znowu na lotnisku. I nagle w ciągu paru dni wszystko zostało anulowane. Wpadłam w euforię. Wcześniej ulegałam złudzeniu, że podróżowanie jest łatwe, więc nieszkodliwe, nie zdając sobie sprawy, jak ten tryb życia mnie pożera.

DOROTA MASŁOWSKA (ur. 1983) jest pisarką i autorką sztuk teatralnych. Zadebiutowała w 2002 r. powieścią „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną”, wydany dwa lata później „Paw królowej” przyniósł jej Nagrodę Nike. We wrześniu w Wydawnictwie Literackim ukaże się jej „Jak przejąć kontrolę nad światem 2”.

Końmi Cię nie ciągnięto.

Kiedy potem zastanawiałam się, dlaczego tak dużo jeździłam, to miałam olśnienie: bo mogłam. Mogłam, więc czułam, że muszę. Dotarła do mnie dziwność tej zależności, dziwnego miksu wolności i zniewolenia. Ponieważ moje życie stwarzało możliwości bycia na trzech kontynentach w ciągu jednego miesiąca, uznawałam, że muszę to robić. Tak na to zobojętniałam, że przestałam odczuwać ciężar podróży, choć on cały czas się odkładał. Nie chodzi tylko o ślad węglowy; łatwość przemieszczenia się na gigantyczne odległości jest kompletnym złudzeniem.

Dlaczego złudzeniem?

Pokonujesz w parę lub paręnaście godzin gigantyczną odległość i trafiasz do świata, w którym właściwie nie powinno cię być. Jest inna kultura, inna mentalność, inna duchowość, inna flora bakteryjna, co może brzmi absurdalnie, ale historia pandemii pokazuje, że to poważna sprawa. Ponieważ podróże stały się bezprecedensowo łatwe, przestaliśmy zauważać, jakie to zaburzenie w wielu innych aspektach istnienia, i dla przemieszczających się, i dla tubylców.

Podróże jako forma konsumpcji?

I też właśnie odhaczania. Już nie wiem, po co to robię. Ale to robię, by życie było ciekawsze. Wszystko kosztem kompletnej utraty jakości przeżycia.

Poczułaś to?

Nieraz. Nieraz czułam, że pokonuję tysiące kilometrów, a na miejscu nie chce mi się wyjść z hotelu, nic mnie nie interesuje. Do tego dochodzi udręka przebywania z ciągle innymi ludźmi: każdego dnia trafiasz na zupełnie nowe rozdanie. Tylko do pewnego momentu jest to inspirujące i rozwijające. W końcu masz potrzebę doświadczać ludzi w panoramie, w relacjach, w kontekstach, w czasie. A tutaj ciągle migawki. W pewnym momencie te podróże przypominają przeglądanie serwisów internetowych: zewsząd wyskakują obrazki, ważne, nieważne, piękne albo nijakie – zostaje z tego śmietnik wrażeń przytłaczający. Gdy więc wraz z pandemią zaczęto odwoływać wyjazdy, to bardzo się cieszyłam. Ale myślałam, że to chwilowe. Nie spodziewałam się, że w sierpniu, kiedy rozmawiamy, nadal będę żyć w tym trybie. Teraz bywa różnie.

Jak różnie?

Miałam etap zachwytu monotonią życia – że mija dzień za dniem i tak niewiele potrzeba, by być szczęśliwym, że można nie szamotać się, nie biegać, nie szukać, tylko sobie żyć, łazić po lesie. To było dla mnie euforyczne. Ale teraz znowu, od czasu do czasu, napadają mnie pomysły: ale bym pojechała do Grecji. Trzeba pojechać do Hiszpanii! Musimy pojechać do Nowego Jorku! Jak sny po rzuceniu palenia, że się znowu pali. Jest i rozkosz, i poczucie winy.

Frapuje mnie jeszcze kurs szycia, o którym piszesz w „Jak przejąć...”. To też jakaś podróż?

Za zapisaniem się na ten kurs stało moje, raz na jakiś czas nawracające, silne pragnienie wykonywania pracy, która będzie w sposób dosłowny sensowna. Której efekty będą wymierne. Od czasu do czasu jestem zmęczona abstrakcyjnością moich życiowych wysiłków i ich niejasnymi bardzo efektami.

Twoje książki to niejasne efekty?

Czasami nie dowierzam, że robię coś ważnego. Coś całymi dniami myślę, zapisuję, nic z tego nie ma, nic z tego nie wynika. I zadręczam się, że powinnam coś robić, coś sprzedawać, coś wytwarzać, coś dawać. Dlatego zapisałam się na kurs szycia z zamiarem właśnie praktycznym. Ale w konsekwencji okazało się to doświadczeniem socjologicznym.

Przeznaczeniu stało się zadość.

No tak: chciałam uciec w szycie przed pisaniem. Ale ostatecznie i tak największą moją twórczością w czasie trwania kursu było opowiadanie o nim znajomym, opisywanie spotkanych tam osób. W końcu wszyscy mnie dopytywali: co na kursie, co u tej, co u tamtej? Moje umiejętności szycia nie rozwijały się tak szybko, jak literackie opracowanie tego całego wydarzenia.

Ale jesteś właścicielką maszyny do szycia?

Na przestrzeni życia dostawałam maszyny do szycia od kilku osób, a i tak kupiłam sobie jeszcze nową. Więc jestem w tej chwili w posiadaniu trzech.

W domu są wyeksponowane?

Są rozprzestrzenione po różnych ośrodkach mojego życia – jedną mam nad morzem, jedną w Warszawie, jedną w piwnicy. To całkiem dużo, jak na jedną osobę nieszyjącą.

Właśnie chciałam zapytać, czy coś ostatnio uszyłaś?

Dużo maseczek przeciwwirusowych niskiej jakości. Właśnie wczoraj czytałam wywiad z moim chłopakiem, którego udzielił „Polityce". Mówi: „Noszę cały czas jedną maseczkę, nie jest ona może bardzo piękna, ale...".

Zero wdzięczności!

Nie, to prawda. Moje szycie było od początku nacechowane pośpiechem i niedbałością. Chciałam szybkich, spektakularnych efektów. Szyłam bardzo sprawnie, ale niedbale. Kierowniczka kursu szycia błyskawicznie to wyłapała. Może to przyłożyć do licznych książek, które napisałam? Trzeba by było je zacząć badać tym kluczem.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

Ucieczka z zamku wampirów

JAKUB MAJMUREK

Mark Fisher był pierwszym myślicielem z blogosfery. Zyskał status intelektualisty publicznego, ale poza strukturami akademii i uwagą tradycyjnych mediów.

Historii drugiej dekady XXI wieku nie będzie dało się napisać bez przynajmniej jednego rozdziału o nowej lewicy, ideowo znacznie wyrazistszej niż ta kojarząca się z nazwiskami premiera Tony'ego Blaira i kanclerza Gerharda Schrödera. Wśród autorów tej formacji kształtujących ideowy pejzaż epoki znajdziemy nazwiska od dawna obecne w Polsce: Slavoja Žižka, Naomi Klein czy Thomasa Piketty'ego. Należy też do nich zmarły trzy lata temu Brytyjczyk Mark Fisher, autor wydanego właśnie u nas „Realizmu kapitalistycznego".

W tytule chodzi o naszą kulturową formację, która, nawet w najbardziej odważnej artystycznej wizji, nie jest w stanie wyobrazić sobie alternatywy dla neoliberalnego kapitalizmu. Fisher opisał też „zamek wampirów" – tak nazywał współczesną lewicę, pogrążoną w pułapkach polityki tożsamości i toksycznych wewnętrznych walkach. Bez jego „realizmu" i „zamku" nie można zrozumieć lewicowych dyskusji poprzedniej dekady.

I co najważniejsze: Fisher w dużej mierze ukształtował to, w jaki sposób młoda lewicowa inteligencja, zwłaszcza anglosaska, czytała, tworzyła i rozumiała w ostatniej dekadzie kulturę. Potrafił w wyjątkowy sposób łączyć uważną lekturę powieści czy popularnej płyty z szerszą społeczną diagnozą. Interesowało go to, jak kultura splata się z polityką: jak pod wpływem zmian, które w jego ojczystej Wielkiej Brytanii symbolizowała Margaret Thatcher, kultura utraciła zdolność nie tylko do śnienia utopijnej przyszłości, ale także do tworzenia czegoś autentycznie nowego, co nie byłoby odtwarzaniem starych estetyk.

Teoria pisana autobiografią

Fisher wiele zawdzięcza pracom amerykańskiego literaturoznawcy Fredrica Jamesona, który już w latach 80. pisał o wyczerpywaniu się wielkich, ukierunkowanych na przyszłość modernistycznych projektów i o postmodernizmie – z jego estetyką pastiszu i nostalgii – jako o „kulturowej logice późnego kapitalizmu". Różni ich jednak kilka istotnych kwestii.

Po pierwsze czas – Fisher tworzy w okresie, gdy opisywane przez Amerykanina procesy od dwóch dekad systematycznie zmieniały już społeczeństwo. Po drugie – dla Fishera punktem odniesienia nie są wielkie teksty wysokiego modernizmu, ale angielska popkultura, przede wszystkim ta z lat 70. i wczesnych 80. Uważał bowiem, że była ona nie tylko zdolna do formułowania – w muzyce, serialach telewizyjnych, kinie – najbardziej ambitnych marzeń o przyszłości i zmianie społecznej, ale także dokonała bezprecedensowej w historii „estetyzacji życia codziennego".

Ta fascynacja nie łączy się przy tym u Fishera z kulturowym populizmem, wręcz przeciwnie. Kultura popularna zasługuje na to, by traktować ją z takim samym rygorem jak wysoką, by oddzielać to, co w niej faktycznie wartościowe i wielkie, od dzieł miernych i nieistotnych. Wielką siłą powojennej popkultury była zdolność do zaoferowania wybitnych dzieł szerokim rzeszom odbiorców. Najbardziej odstręczającą częścią współczesnego krajobrazu kulturowego jest dla Fishera to, że traktowanie widzów czy słuchaczy jako inteligentnych odbiorców, stawianie im wymagań, uznawane jest za wyraz pogardy dla prostego człowieka i elitaryzm. Traktowanie ich zaś jak głupków ↦

stało się dowodem kulturowego demokratyzmu.

Co najważniejsze, Fisher pisze samym sobą, każdy jego tekst jest pełną pasji intelektualną autobiografią. Dorastał w robotniczej rodzinie we wschodniej Anglii, geograficznie blisko stolicy, jej życia artystycznego i kulturalnego, ale społecznie bardzo od tego wszystkiego daleko. Podstawową szkołą dla Fishera była muzyka popularna i obsługująca ją prasa muzyczna, która w latach 80. w Wielkiej Brytanii przechodzi ostatni okres swojego rozkwitu. Takie pisma jak „New Musical Express", ukazujące się w nakładzie kilkuset tysięcy egzemplarzy, nie tylko oferują poważną krytykę muzyki popularnej, ale pisząc o muzyce mówią jednocześnie o politycznych napięciach epoki, o najbardziej artystycznie innowacyjnych filmach, a nawet trendach w filozofii.

Lektura „NME" zaprowadza w końcu Fishera na studia doktoranckie w Cybernetic Culture Research Unit na Uniwersytecie Warwick – jednej z najbardziej nieortodoksyjnych przestrzeni akademickich w Wielkiej Brytanii lat 90. Badania koncentrowały się tu na takich kwestiach jak cyberfeminizm, społeczne i kulturowe konsekwencje nowych technologii, kultura rave, fantastyka naukowa, filozofia horroru, okultyzm. Przez ten badawczy kolektyw przewinęli się m.in. filozof Ray Brassier – jeden z twórców „realizmu spekulatywnego", pisarz Hari Kunzru, artysta wizualny Jake Chapman czy muzyk Kode9. CCRU było miejscem spotkania praktyki artystycznej i naukowej, prace akademickie przybierały postać dzieł sztuki, artystycznych instalacji.

CCRU niekoniecznie było lewicowe. Kierujący instytucją Nick Land z podziwem patrzył na energie wyzwalane przez zglobalizowany kapitalizm. Z podziwem też pisał o jego anarchicznej sile, dokonującej radykalnego przyspieszenia historii i dekonstrukcji wszelkich zastanych struktur społecznych, form władzy, tożsamości. Land kończy ostatecznie na intelektualnej alter-prawicy, w ostatnich pracach fascynuje się możliwościami inżynierii genetycznej jako narzędzia eugeniki, pozwalającej udoskonalić ludzki gatunek, a być może nawet gronu wybranych przekroczyć jego ramy.

Fisher poszedł zupełnie inną drogą. Być może dlatego, że po doktoracie zaczyna do niego docierać, jakie spustoszenie w angielskiej sferze publicznej wywołał neoliberalizm. I że Wielka Brytania nie bardzo potrzebuje kogoś wykształconego tak jak on.

Wchodzi na akademicki rynek pracy o jakąś dekadę, jeśli nie o dwie za późno. Nie załapuje się na wielką powojenną ekspansję sfery publicznej, gdy tworzono nowe uczelnie, ośrodki badawcze, miejsca, gdzie można w sensownych warunkach bytowych uprawiać krytyczną refleksję nad kulturą. Samo CCRU zwija działalność w 2003 r., tworzący je zespół rozjeżdża się po świecie – Land ostatecznie znajduje pracę w Szanghaju, Brassier w Bejrucie. Fisher zostaje w Wielkiej Brytanii. Na długi czas wpada w wir prekarnego zatrudnienia w brytyjskich odpowiednikach naszych szkół policealnych.

Nie ma też dostępu do mediów, przy pomocy których mógłby się komunikować z szeroką publicznością. Sięga więc po internet. W 2003 r. zakłada blog „k-punk". Gromadzi się wokół niego grupa wiernych, uważnych odbiorców, z niecierpliwością czekających na każdy nowy post. Fisher zostaje pierwszym intelektualistą blogosfery, kimś, kto zyskuje status znaczącego, nawet jeśli niszowego intelektualisty publicznego poza strukturami akademii i uwagą tradycyjnych mediów.

Depresja końca historii

W 2009 r. Fisher publikuje swoją pierwszą ważną książkę „Realizm kapitalistyczny. Czy nie ma alternatywy?", która po 11 latach trafia do polskiego czytelnika. Książka sprzedała się w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, zyskując status klasyka. Jej stawką jest opisanie tytułowego zjawiska, które Fisher definiuje jako „kulturową świadomość ery końca historii" – epoki, gdy niemal wszyscy uwierzyliśmy, że historia ostatecznie znalazła swój mniej lub bardziej szczęśliwy koniec w jakiejś kombinacji wolnego rynku, resztek państwa opiekuńczego, masowego społeczeństwa konsumpcyjnego i demokracji liberalnej.

> Zamiast przestrzenią dyskusji, **internet stał się sceną inkwizycyjnych praktyk,** wskazywania winnych i unieważniania ich głosu. Lewicowa polityka coraz bardziej ograniczająca się do takich rytuałów staje się jałowa i toksyczna.

Dla Fishera ten koniec jest depresyjny i to na wielu poziomach. Przede wszystkim dlatego, że nie mamy nawet możliwości znaczącego sprzeciwu. Fisher przywołuje dwa wydarzenia z lat 80., by pokazać, o co mu chodzi: strajk górników z lat 1983-84, skutecznie stłumiony przez rząd Margaret Thatcher, oraz pierwszy koncert Live Aid z 1985 r.

Klęska górników oznacza dla Fishera symboliczny koniec wielkiej, trwającej ponad stulecie „odysei proletariatu", zejście zorganizowanej klasy pracującej ze sceny historii, a wraz z nią całościowych alternatyw dla porządku opartego wyłącznie na rachunku ekonomicznym. W tej nowej rzeczywistości wzór protestu wyznaczają takie wydarzenia jak Live Aid – dwa wielkie, charytatywne koncerty zorganizowane przez Boba Geldofa w 1985 r. na stadionie Wembley w Londynie i stadionie JFK w Filadelfii z udziałem czołowych gwiazd muzyki lat 80., grających dla liczącej 1,5 miliarda widzów te-

ROB VERHORST

Joy Division było dla Fishera zespołem wyznaczającym i wyrażającym kres powojennego optymizmu, koniec optymistycznej eksplozji popkultury lat 70. i 80., głosem nadchodzącej epoki alienacji i depresji.
Koncert zespołu Joy Division w Rotterdamie. Styczeń 1980 r.

lewizyjnej widowni na całym świecie, by zatrzymać klęskę głodu w Etiopii.

Dla Fishera Live Aid jest matrycą moralnego szantażu zastępującego politykę – zamiast rozmawiać o systemowych, strukturalnych przyczynach biedy, głodu i skrajnych nierówności, zanurzamy się w charytatywny spektakl, przekonujący, że wystarczy, by ludzie dobrej woli wpłacili raz na jakiś czas drobny datek na poprawienie sytuacji najbardziej potrzebujących, a wszystko będzie w porządku.

W sytuacji braku alternatywy dominującą formą myślenia o państwie i społeczeństwie staje się to, co Fisher nazywa „ontologią biznesu" – przekonanie, wedle którego „po prostu oczywiste jest to, że w społeczeństwie wszystko (...) powinno się prowadzić jak biznes". Efektem jest uwiąd sfery publicznej – instytucji zdolnych dostarczać wysokiej jakości usług poza logiką zysku.

Produktem społeczeństwa kształtowanego przez wszystkie te siły jest dla Fishera osobowość zdefiniowana przez „depresyjną hedonię". Stan uniemożliwiający zarówno znalezienie prawdziwej przyjemności i szczęścia, jak i robienie czegokolwiek innego poza kompulsywnym poszukiwaniem natychmiastowej przyjemności. Znaczące jest, przekonuje Fisher, że w ostatnich kilku dekadach mamy do czynienia z wysypem przypadków ADHD, dysleksji i depresji. To choroby cywilizacyjne ery końca, produkującej „depresyjnych hedonistów" – niezdolnych do skupienia, bezskutecznie poszukujących przyjemności, natychmiast popadających w apatię po ustaniu stymulującego bodźca.

Depresja jest czymś, co ciągle wraca w jego twórczości, teoria znów wypływa z autobiografii. Zmaga się z tą chorobą przez wiele lat. W końcu, w styczniu 2017 r., odbiera sobie życie – w momencie, gdy zyskuje stabilne zatrudnienie w akademii, a jego idee coraz mocniej przebijają się do głównego nurtu debaty publicznej.

Społecznościowe zameczki

„Realizm" pisany był w ostatnich latach rządów nowej Partii Pracy, która pod wodzą Tony'ego Blaira odebrała władzę torysom w 1997 r. New Labour jest dla Fishera czymś wręcz gorszym niż Żelazna Dama. To partia Blaira, akceptując zasadnicze ramy myślenia Thatcher o państwie i społeczeństwie, ostatecznie zamknęła brytyjską politykę pod hasłem „nie ma alternatywy". Symbolem jej rządów jest dla Fishera Londyn przygotowujący się do igrzysk olimpijskich w 2012 r.: miasto przytłoczone przez bańkę pęczniejącą na rynku nieruchomości, skolonizowane przez korporacyjne przestrzenie i sieciowe kawiarnie, gdzie cała energia, kiedyś napędzająca artystyczną i polityczną aktywność, idzie w zarabianie pieniędzy, koniecznych do płacenia kosmicznych czynszów albo rat kredytu hipotecznego.

Po ponad dekadzie część diagnoz Fishera naturalnie się zdezaktualizowała, część wymaga uzupełnienia. „Realizm" nie przewiduje, że depresję końca historii może zastąpić coś jeszcze gorszego: erupcja radykalnie prawicowych populizmów. Być może nasze czasy bardziej niż „depresyjny hedonista" symbolizuje pełen gniewu, odrzucający teraźniejszość w imię zmitologizowanej przeszłości, tradycyjnej męskości czy fundamentalistycznej religii zwolennik Trumpa, brexitu lub polskich narodowców. Albo internetowy troll całymi dniami produkujący gigabajty nienawistnych treści w mediach społecznościowych.

Sam Fisher miał świadomość, jak toksycznym miejscem potrafi być polityczny internet – także po lewej stronie. W 2013 r. pisze budzące mocne kontrowersje „Wyjście z zamku wampirów", esej diagnozujący stan lewicy, a ściślej rzecz ujmując – toksycznej kultury, jaką ta tworzy w mediach społecznościowych.

Zdaniem Fishera to społeczność, która oferuje swoim członkom niemal wyłącznie nieustanne poczucie winy. Za to, że nie jest się dość lewicowym, że nadużywa się męskiego lub białego przywileju, że nie dokłada się dość starań, by nie używać seksistowskiego lub wykluczającego osoby transpłciowe języka. Zamiast przestrzenią dyskusji, internet staje się sceną inkwizycyjnych praktyk, wskazywania winnych i unieważniania ich głosu.

Lewicowa polityka, coraz bardziej ograniczająca się do takich rytuałów, staje się jałowa i toksyczna. Zamiast budować szerokie sojusze na rzecz realnej zmiany społecznej, tworzy pogrążone w wewnętrznych walkach, zamknięte, utwierdzające się we własnej prawości grupki. ↦

↦ Lewicowy uniwersalizm, jaki w przeszłości budował się wokół polityki opartej na kategorii klasy, zastąpiony został przez narcystyczny partykularyzm polityki tożsamości, okopanej na szańcach płciowych, seksualnych i innych partykularyzmów.

Te diagnozy Fishera brzmią jeszcze bardziej aktualnie dziś niż w 2013 r. Cała współczesna sfera publiczna rozpada się na zasklepione, zajęte inkwizycyjnymi rytuałami, niezdolne do komunikacji zamki i zameczki, z których wylatują żądne krwi nieprawomyślnych wampiry. Nie widać wyjścia do żadnej przyszłości, którą wspólnie moglibyśmy dzielić, żadnej perspektywy.

Potrzeba przyszłości

Można czasami się zastanawiać, czy zarzucający współczesnej kulturze uwięzienie w nostalgii Fisher sam nie ulega nostalgii za własną młodością. Bez wątpienia obecny w jego tekstach obraz brytyjskich lat 70. jest skrajnie wyidealizowany. Fisher odpowiedziałby na ten zarzut, że nie chodzi mu o wracanie do lat 70., ale o odzyskanie utopijnych możliwości, które wtedy się artykułowały: w muzyce, nowych ruchach społecznych, literaturze, akademii. Błędem lewicy z tamtego czasu było odwrócenie się od przyszłości, obrona tego, co jest. To torysom pod wodzą Thatcher udało się przekonać Brytyjczyków, że są partią przyszłości, obietnicą rewolucyjnej zmiany.

Przy całym zafiksowaniu na mitycznej przeszłości dzisiejsi populiści także wydają się być siłą idącą z wiatrem historii – wobec ich pochodu demokraci, liberałowie, lewica wyglądają często jak reaktywne, uczepione przeszłości formacje. Tymczasem polityka, a być może człowiek jako istota społeczna, potrzebuje przyszłości jako obietnicy otwarcia na coś innego – niezależnie jak wiele w „Realizmie kapitalistycznym" zestarzało się od publikacji książki, ta jej diagnoza wydaje się dziś szczególnie na czasie.

© JAKUB MAJMUREK

Mark Fisher
REALIZM KAPITALISTYCZNY. CZY NIE MA ALTERNATYWY?
przeł. Andrzej Karalus, Książka i Prasa 2020

MATERIAŁY PRASOWE

John Malkovich w filmie „Dolina Bogów"

Biurko na pustyni

ANITA PIOTROWSKA

W „Dolinie Bogów" zmieściło się wszystko, co składa się na upadek naszej cywilizacji. Grabieżczą eksploatację natury i kompulsywne gromadzenie dóbr uosabia biały człowiek. Co może ocalić świat?

W najnowszym filmie Lecha Majewskiego jest wielu bogów, również samozwańczych. Na początku byli oczywiście ci mityczni, indiańscy, zaklęci w skałach Monument Valley. Boskiej mocy wskrzeszania zmarłych pragnie grany przez Johna Malkovicha najbogatszy człowiek świata, który w sercu pustyni, na szczycie góry, zbudował zamczysko naszpikowane elektroniką, sztuką wysoką i przepastną samotnością. Coś z domyślnego boga ma też w sobie młody pisarz (Josh Harnett), albowiem całe przedstawione na ekranie bujne światotwórstwo odbywa się poniekąd w jego głowie.

I byłaby to opcja dla filmu korzystna. „Dolina Bogów" rozpoczyna się ujęciem szosy rozwijającej się pod kołami samochodu niczym w „Zagubionej autostradzie" Davida Lyncha. Można dostrzec w tym mimowolną sugestię, że nie mamy do czynienia z kinem tradycyjnym, ale z obrazem filmowym stanowiącym wyzwanie dla naszej wyobraźni i logiki. Skoro już na początku uruchamia się projektor czyjegoś subiektywnego umysłu, wszystkie chwyty wydają się dozwolone.

Jednak tego rodzaju wizje, wbrew pozorom, wymagają szczególnej precyzji opowiadania, wyczucia jego rytmu i nastroju. Tymczasem Majewski, ze względu na swą interdyscyplinarność i niezależność nazywany twórcą totalnym, więcej ma z artysty wizualnego niż filmowego opowiadacza. Podobnie zresztą jak w wielu jego poprzednich filmach: „Ogrodzie rozkoszy ziemskich", „Młynie i krzyżu" czy niedawnej „Onirice".

Rolę Boga przejmuje również kamera, kiedy w nieśpiesznym zachwycie panoramuje majestatyczne pejzaże skalne Wyżyny Kolorado. Albo gdy obnaża bezwstydny przepych posiadłości niejakiego Wesa Taurosa, wypełnionej replikami największych dzieł sztuki w skali jeden do jednego. Operowo rozbuchana satyra na odklejony od życia „jeden procent ludzkości" wymierzona jest także w kulturę. Jej wielkie piękno wydaje się dzisiaj martwe – stało się niczym więcej, jak powielanym i konsumowanym przez wybrańców towarem.

W „Dolinie Bogów" zmieściło się bowiem wszystko, co składa się na upadek naszej cywilizacji. Grabieżczą eksploata-

cję natury, kompulsywne gromadzenie dóbr, utowarowienie wszelkich relacji uosabia w filmie biały człowiek. Tym, co może ocalić świat w jego duchowym i ściśle organicznym wymiarze, jest prastara kultura plemienia Nawaho, aczkolwiek na skutek skażenia uranem środowiska naturalnego doświadcza ono także powolnej degradacji. Tym zaś, kto może nadać tej przemianie wyobrażony kształt, jest współczesny artysta.

To dlatego skrachowany pisarz, a zarazem sprostytuowany *copywriter* porzuca dotychczasowe życie i wyrusza na pustynię, taszcząc ze sobą staroświeckie biurko. Bo tylko tam, w Dolinie Bogów, dokonawszy całopalenia resztek dobytku, może poczuć się prawdziwie wolny i spleść mityczną opowieść o indiańskich autochtonach strzegących swoich świętości z krytyką tego, co uosabia przemysł wydobywczy spod znaku Wes Tauros Engineering. I czemu bohater miał jeszcze niedawno służyć swym pisarskim talentem.

Wyprawa w czas mityczny przeplata się z wizytą w zamku ekscentrycznego krezusa, który już na wejściu skanuje swoich gości poprzez wgląd w ich prywatne filmiki. W końcu dzisiejsi bogowie to nie tylko ci, którzy mogą dla kaprysu konstruować machiny Leonarda, zbudować sobie czarny odpowiednik Tadż Mahal po drugiej stronie indyjskiej rzeki czy zamówić żywy duplikat ukochanej osoby. To ci, którzy mają dostęp do naszych danych.

Rozpisany na dziesięć odsłon filmowy poemat konsekwentnie prowadzi nas między skrajnościami. Między podupadłym indiańskim rezerwatem a sterylnym bogactwem, pomiędzy realnym i surrealnym, twardą rzeczywistością i mitem. I jeszcze między *sacrum* i *profanum*, naturą i kulturą, oryginałem a kopią... Dużo jak na dwie godziny. Reżyser zdaje się egzaminować widza, odwołując się do jego kulturowych kompetencji. Stąd liczne podpowiedzi z historii sztuki czy historii kina i to nieustające wysokie C, które sprawia wrażenie, że – parafrazując polskiego poetę – ktoś tu non stop ciągnie symbole za sznurek.

Czegoś jednak istotnego zabrakło w tym superambitnym przedsięwzięciu z udziałem gwiazd światowego kina, zapierających dech widoków i ważkich myśli. Jakkolwiek górnolotnie to zabrzmi, brakuje w nim człowieka. Postacie są tu zaledwie figurami przypowieści, a ich problemy hasłami. Oto „alienująca zachłanność", „egzystencjalny kryzys" czy, jak w przypadku Szarego Konia, Trzeciego Oka i Ptasiej Twarzy – figury „biorących odwet szlachetnych dzikusów". Nawet historia nieszczęsnej matki, którą miłość do dziecka pcha w objęcia Sinobrodego (gra ją Bérénice Marlohe, była dziewczyna Bonda), pozostaje czysto pretekstowa. Dużo większe wrażenie robi jej ostro wycięta suknia projektu Ewy Minge.

Dlatego po seansie zostaną w nas przede wszystkim poszczególne obrazy. Przypowieść Nawaho o kamiennym dziecku, jakże cieleśnie zwizualizowana przez Majewskiego, dekadenckie, Kubrickiem podszyte przyjęcie u Taurosa czy wizyta pisarza w zamkowym „muzeum nędzy".

Przeładowanej „Dolinie Bogów" brakuje też filmowej dynamiki. Nie w banalnym znaczeniu tego słowa, rozumianej jako tempo akcji czy praca kamery, ale tego, co wydarza się między obrazami i równocześnie w naszych głowach. Przy tak skonstruowanych filmach – nielinearnych, parabolicznych, wizualnie olśniewających – istotne jest samodzielne zszywanie sensów. U Majewskiego jest to proces cokolwiek jałowy, bo sensy zostają podane na tacy: pięknie sfotografowane, dobitnie wypowiedziane, ograne świetną skądinąd muzyką Jana A.P. Kaczmarka.

Dlatego „Dolina", choć momentami zachwyca, to nijak nie angażuje. Nawet tak bardzo eksponowane zdjęcia przyrody (prócz Majewskiego autorem zdjęć był Paweł Tybora) odsyłają raczej do „National Geographic" niż do bolesnych problemów sfilmowanego przez nich kawałka Ameryki czy w ogóle dzisiejszego świata.

Mimo tych utyskiwań warto dzieło Majewskiego obejrzeć na dużym ekranie. Jeśli nie dla samych krajobrazów, to choćby dla Malkovicha, który znów chce być jak John Malkovich, tym razem w podwójnej roli księcia i żebraka. Można też zobaczyć w „Dolinie Bogów" rzecz trochę autotematyczną – o artyście, który właściwie może wszystko (kreacyjnie, produkcyjnie, obsadowo) i o tym, co z tego dla filmu wynika. ©

DOLINA BOGÓW *(Valley of the Gods) – reż. Lech Majewski. Prod. Polska/ /Luksemburg 2019. Dystryb. Galapagos Films. W kinach od 21 sierpnia.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wschód słońca

Dramat, reż. Friedrich Wilhelm Murnau, USA 1927, Filmbox Arthouse, 21 VIII, 10.45

Na kanale z klasyką kina trwa przegląd filmów niemieckiego ekspresjonisty, któremu udało się podbić Hollywood. Twórca „Nosferatu – symfonii grozy" i „Portiera z hotelu Atlantic" historią o miłości i odkupieniu raz jeszcze pchnął kino do przodu. Zaowocowało to aż trzema Oscarami podczas pierwszej edycji tych nagród.

2. Tarantino: Bękart kina

Dokumentalny, reż. Tara Wood, USA 2019, Canal+ Dokument, 22 VIII, 20.00, Canal+ Premium, 23 VIII, 22.45, Canal+ 1, 23 VIII, 23.45

W 1994 r. jury festiwalu w Cannes przyznało Złotą Palmę „Pulp Fiction", a nie – jak się wielu spodziewało – „Czerwonemu" Kieślowskiego. Od tej pory nic w kinie nie miało już być takie samo. Dokument próbuje rozgryźć fenomen Tarantina, głównie z pomocą pracujących z nim od lat aktorów i aktorek.

3. Longing

Dramat, reż. Valeska Grisebach, Niemcy 2006, ArteKino Festival, dostępny do końca sierpnia

Tytuł oznacza tęsknotę, ale niemiecka reżyserka, znana też z filmu „Western", wychodzi od typowo melodramatycznej historii i podąża w zaskakujących kierunkach. Opowieść o zwykłych ludziach, małżeńskiej zdradzie i jej poważnych konsekwencjach łączy różne tony z mistrzostwem drobnych obserwacji.

4. Bagno

Dokumentalny, reż. Daniel Dimauro, Morgan Pehme, USA 2020, HBO GO

Twórcy dokumentów „Brudna forsa" i „Potrzebny mi Roger Stone" ponownie zaglądają za kulisy amerykańskiej polityki. Towarzyszą z kamerą trzem republikańskim kongresmanom, by obnażyć skorumpowaną twarz demokracji. Pokazują też związki miedzy partyjną polaryzacją a zdobywaniem pieniędzy od lobbystów i darczyńców.

JAN

Klata:
Abrakadabra 2020

Ta sama pandemia, która została uroczyście odwołana przez najwyższe czynniki państwowe, zaraz po wyborach bezczelnie wróciła. A jak pandemia, to walka z nią, czyli przeciwdziałanie, a jak przeciwdziałanie, to działanie, a jak działanie, to błędy władz, a jak błędy władz, to pociąganie do odpowiedzialności...

Stop! Polska Zjednoczona Prawica nie po to heroicznie i najlepiej na świecie walczy z wrażym wirusem, żeby jacyś jej funkcjonariusze ponosili odpowiedzialność za szwindle i przewały wynikające ze swojego funkcjonowania. A zatem już wpłynął odpowiedni projekt do laski marszałkowskiej, się z laski marszałkowskiej go wyciągnie i będzie jednocześnie „na zaś" oraz retroaktywnie: „Nie popełnia przestępstwa, kto w celu przeciwdziałania COVID-19 narusza obowiązki służbowe lub obowiązujące przepisy, jeżeli działa w interesie społecznym i bez naruszenia tych obowiązków lub przepisów podjęte działanie nie byłoby możliwe lub byłoby istotnie utrudnione".

Można? Można! Co się da pod to podciągnąć? Wszystko. Wreszcie mądry Polak przed szkodą. Przepraszam za terminologię z gier komputerowo-konsolowych, ale Polska Zjednoczona Prawica hakuje system prawny i każdy inny, kopernikański przewrót to mały pikuś, że Einstein wysiada. Nietykalni, nieśmiertelni, nieomylni, szybujący hen, w przestworzach, wte i wewte na osi czasu, ponad doczesną żmudą karalności, władcy Polski, Polek i Polaków, maseczek i respiratorów, teraz i na wieki wieków amen (przepis ma działać również wstecz).

I jak tu nie podziwiać, nie przyklasnąć, odwieczny imposybilizm III RP złamany i wyrzucony na śmietnik historii przy pomocy jednego jednozdaniowego magicznego zaklęcia. Kto z Polskiej Zjednoczonej Prawicy wpadł na genialny pomysł Abrakadabra 2020? Nie wiadomo. Jeszcze. Z pewnością kiedyś jacyś historycy ezoteryki i badacze ksiąg tajemnych dojadą autora, zidentyfikują i objawią zdumionemu światu. Ale teraz musimy się zadowolić wnioskiem, że to bezimienne dzieło. ©

Lektor:
Inny świat

▪ *Hanka Grupińska*
DALEKOWYSOKO. TYBETAŃCZYCY BEZ ZIEMI
Wielka Litera
Warszawa 2020, ss. 534

„Dalekowysoko" w Himalajach, przy granicy Indii z Tybetem okupowanym przez Chiny leży dolina Spiti. Jej mieszkańcy są buddystami, mówią językiem z grupy zachodniotybetańskiej. Stamtąd pochodzi Tenzin, mniszka w klasztorze w McLeod Gandź koło Dharamsali, gdzie znajduje się siedziba XIV Dalajlamy i tybetańskich władz na uchodźstwie. „Czuję się wolna w klasztorze – mówi Tenzin. – Wolna od kołowrotu pragnienia, nienasycenia i znów pragnienia. Staram się żyć w akceptacji i nieprzywiązaniu". Autorkę połączyła z nią „siostrzeńska" przyjaźń, od kilku lat corocznie ją odwiedza, razem odbyły wyprawę do rodzinnej wioski Tenzin. „Siostra" jest dla mnie kluczem do bardzo od nas odległego świata, który Hankę Grupińską zafascynował, który poznaje od dziesięciu lat i który postanowiła opisać. Przyjmując jako zasadę usunięcie siebie z pierwszego planu, osłabienie filtru własnego ego. Także: rezygnację z kalki kulturowej. Grupińska tłumaczy, że tak jak w książce o żonach chasydów („Najtrudniej jest spotkać Lilit" – właśnie ją wznowiono) wprowadzała hebraizmy, tak teraz stara kobieta trzyma u niej malę, nie różaniec, a mniszka mówi mantry, bo nie jest zakonnicą.

Jaka nazwać ten gruby tom? Sam nie wiem. To rezultat współ-bycia z bohaterami i uczestnictwa w codzienności, ale też mnóstwa lektur. I zapis wielu seansów „historii mówionej". Lista tematów długa: oczywiście historia Tybetu minionych siedmiu dekad, chińskiej okupacji i niewyobrażalnych represji mających na celu stłumienie dążeń niepodległościowych i po prostu zniszczenie tybetańskiej kultury. Portrety ludzi więzionych i torturowanych, jak Palden Gyatso (1933–2018, z czego 33 lata w chińskim więzieniu), którego Grupińska zdążyła jeszcze poznać, i tych, którzy dokonali samospalenia. Dzieje uciekinierów i rozdzielonych rodzin, dylematy wygnania. Karkołomna próba przedstawienia tybetańskiej myśli religijnej i filozoficznej (rozdzielić je trudno), zawiłości religijnych podziałów w buddyzmie tybetańskim i konfliktów między poszczególnymi szkołami, oraz wierzeń i praktyk. Rozdział o narodzinach świeckiej literatury pisanej po tybetańsku i angielsku. I przypomnienie rosyjskiego malarza i poety Nikołaja Roericha (jego obraz wykorzystano na okładce). A jeszcze zdjęcia, które wykonał Zvika Gregory Portnoy. Brzmi trochę jak opis encyklopedii – ale jakaż encyklopedia budzi takie emocje? ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jabłko, popiół, krew

Pachniała Saska Kępa. Dawno minął maj, nie czułem więc w powietrzu akacji, a sądzę, że o te kwiaty chodziło Osieckiej w piosence o Małgośce. Nie zdążyłem jej, niestety, zapytać, gadało się o bzdurach, a ważne sprawy jak zawsze odkładało się na kiedyś. No więc nie akacje, nie kasztany, nie lipy, tylko wygrzany upałem kurz i listowie. Oraz dyskretny zapach dobrobytu, ten rodzaj synkretycznej wielozmysłowej aury, jaką zostawiają zdrowi, umyci ludzie krążący z ożywieniem, acz bez ścisku wzdłuż szpaleru ładnych knajp, tchnących ciepłą poświatę i brzęk fajansu w sierpniowy zmierzch nad ulicą Francuską.

Nawet jeśli większość z tutejszych lokali to odnogi sieciówek, to i tak te paręset metrów gęsto zadrzewionego traktu jest wyjątkową enklawą słodkiego życia, wyjątkową nie tylko w skali Warszawy, gdzie w każdy ładny zakątek szybko wkrada się napuszenie i biznes. A poza tym, dopóki trwa niezłomnie kebabiarnia Efes, jedna z pierwszych takich placówek w mieście – i przez wiele lat w moim mózgu najważniejsze skojarzenie zapachowe z tą dzielnicą – a z okienka w Renesansie wydają raczej barokowe w swej krągłej tłustości frytki z sosem, to na przekór snobom wciąż jest w dzielnicy prawdziwe życie.

Pachniało zatem upałem i spokojem, choć spokoju nie było w rozmowie, jaką toczyłem z przyjaciółmi na jednym z zielonych podwórek przy bocznej uliczce. Niejasność przyszłych losów, niemal namacalne napięcie, że każdy najbliższy miesiąc może być tak bardzo różny od poprzednich z powodów, na które mamy nikły wpływ – bezradność wobec zmienności warunków, wirus, kryzys, białoruskie przebudzenie, lepiej nie planować niczego poza wrzesień. I nagle głuche łupnięcie czegoś o ziemię, moment, chciałoby się rzec, newtonowski, bo to jabłko przegrywało walkę z grawitacją, kierując naszą uwagę na drzewo dające nam cień i liczne obite owoce zalegające w trawie. Podniosłem kilka, gładkie, zwarte, bledziuchna zieleń i ten nie do pomylenia nieznaczny różowy rumieniec, budzący skojarzenia czułe, pensjonarskie – taką *physis* mają ananasy berżenickie, z roku na rok coraz większy rarytas, właściwie rynkowo już wymarły.

Jabłoń była potężna, w świecie owocowym istny baobab, 10 metrów w górę jak nic, rozłożysta, dwupienna. Zażartowałem, że powinniśmy pozbierać te jabłka i wystawić je w odpowiednio starej skrzynce na Francuskiej, sprzedając po 10 złotych jako zabytek, zapewniając, że tę jabłoń na pewno sadził jeszcze sam Marszałek. Kosmiczna bzdura, ale tak mi się jakoś to układało w ciąg z Piłsudskim, ananasy to była przed wojną sztandarowa „nasza" odmiana, uzyskana przez Adama Hrebnickiego, wybitnego sadownika, którego całe życie upłynęło między Witebskiem, Petersburgiem a województwem wileńskim – w czasach kiedy polskość nie tkwiła tak ciasno w etnicznej puszce.

Kłamstwo zresztą nie aż tak bardzo naciągane, bo stare odmiany, jeśli szczepione na mocnej podkładce, np. orzecha, potrafią przeżyć w dobrej formie prawie sto lat. A w latach 30. tamtego wieku nie była czymś dziwacznym idea, że w eleganckiej willowej dzielnicy ogrody zdobi się drzewkami owocowymi. A może ktoś je posadził tuż po wojnie, czasy były takie praktyczne i głodne, że nawet i koza mogła pod tym drzewem łazić.

Przetrwać niemal sto lat w prawie samym środku Warszawy to znaczy nabyć status świadka wielkich spraw, przeważnie złowrogich, rzadko budujących. Nawet jak się jest prostą jabłonką i rodzi się przyjemne, kwaskowe jabłka. W tym mieście taki owoc znaczy tyle samo, co kredens po babci, którego większość mieszkańców nie posiada, bo nawet jeśli jest się tubylcem z trzeciego czy piątego pokolenia, to żyje się w cieniu wielkiej czarnej dziury, ma się zapisany w pamięci zbiorowej fundamentalny moment tąpnięcia. Jak bardzo to wyróżnia i piętnuje ludzi z Warszawy, poczułem dopiero przenosząc się dalej, do miasta, gdzie materialne i biograficzne warstwy kładą się jedna po drugiej bez istotnych luk, jak warstwy imieninowego tortu. Tylko w takich przeklętych miejscach jabłko skubane niewinnie w niedzielne popołudnie może smakować krwią i popiołem,

„Praliśmy potem długie lata / bandaże" – pisze Herbert w „Prologu", najbardziej przenikliwej diagnozie warszawskiej, żałobno-heroicznej odmiany polskiej egzystencji. Nie jest jedyna, może nawet powinna przestać dominować, ale nie mają racji jej gorliwi krytycy, kiedy narzekają, że tylko łapie ona naród trupią ręką za koszulę i ciągnie wstecz. Oswajanie w sobie wielkiej nieciągłości to nie jest całkiem głupi sposób życia, kiedy nie wiadomo, czym skończy się wrzesień. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Ananasów już właściwie kupić się nie da (na warszawskim Wolumenie był jeden sprzedawca, nie wiem, czy w tym roku wrócił) – ale za to są wczesne antonówki, bardzo jeszcze kwaśne. Mogą się nadać do tyrolskiego risotta ze speckiem (który możemy zastąpić mocno wędzonym i raczej suchym boczkiem). Na cztery osoby szklimy na 2 łyżkach masła drobno posiekaną szalotkę, dodajemy ok 150 g specku pokrojonego w kosteczkę i chwilę dusimy, wsypujemy 320 g ryżu do risotta, prażymy parę minut, zalewamy szklanką białego wina, a potem podlewamy jak zwykle wrzącym bulionem warzywnym. Po ok. 10 minutach dodajemy do ryżu jedną dużą antonówkę pokrojoną w kostkę, którą uprzednio przegotowaliśmy parę chwil w rondelku z białym winem. Kiedy już ryż dobrze nam się ugotuje, sprawdzamy smak – jeśli jest za mało kwaśny, możemy dodać trochę jeszcze świeżego jabłka w kosteczkach. Ostrożnie z parmezanem – przyda się na wydaniu, ale nie może przykryć delikatnej równowagi boczku i jabłka.

ZMYSŁY

PTASIEK POLSKI

JACEK KARCZEWSKI, PRZYRODNIK:

Ptaki wcale się nas nie boją. Zając nie stanie na środku podwórka i nie zacznie śpiewać, a taki szpak i owszem. Bocian nawet zbuduje gniazdo na twoim dachu.

ADAM ROBIŃSKI: Chodzą słuchy, że urodziłeś się w gęsim gnieździe, choć Twoja mama tego nie potwierdza.

JACEK KARCZEWSKI: Prawda, że ładna historia? Bardzo bym chciał, żeby tak było, ale to jest oczywiście zmyślona opowieść, która czasem do mnie wraca. Nie było żadnego gniazda, za to od zawsze były wokół mnie ptaki.

Skąd się wzięły?

Wychowałem się w malutkiej wsi, nazywa się Strzelęcino, jest lub raczej była pięknie położona, najbliższe miasto to Lębork. Dookoła miałem więc mnóstwo przyrody. To nie były jakieś ogromne stada ptaków, ale taka zwykła, wiejska powszechność zwierząt, która niestety jest już przeszłością. Jako dorosły człowiek miałem do czynienia z wieloma osobami zaangażowanymi w ochronę przyrody, czytałem sporo biografii, i w większości przypadków ich bohaterowie potrafią wskazać w swoim życiu jakiś punkt zwrotny.

Moment, w którym przyroda do nich przemówiła i wciągnęła w swoje sidła?

To mogła być czyjaś wizyta w szkole z wykładem, wyprawa w teren albo nauczyciel, który potrafił zarazić pasją. U mnie było inaczej. Mam poczucie, że zawsze byłem podłączony do ptaków, drzew, kwiatów, do przyrody. Być może tym, co ugruntowało tę fascynację, były rzadkie wtedy filmy przyrodnicze i – przede wszystkim – chyba jeszcze rzadsze książki. W mojej wsi, uwierzysz lub nie, można było je znaleźć tylko w jednym domu. Nie licząc oczywiście szkolnych podręczników.

W Twoim?

Nie. Można powiedzieć, że wychowałem się w dwóch domach, rodzinnym i drugim, u sąsiadki, uciekinierki z Warszawy, która w młodości niezbyt szczęśliwie wyszła za mąż i po wojnie zaszyła się na wsi. Traktowałem ją jak trzecią babcię albo kogoś jeszcze ważniejszego, mentorkę. To ona miała w domu mnóstwo książek, a wśród nich te o zwierzętach. Dla mnie najważniejszą był dzisiaj kultowy „Atlas – Ptaki Polski" Jana Sokołowskiego. Potem, widząc moje zainteresowanie, ta pani zaczęła sprowadzać dla mnie kolejne pozycje. Książki Włodzimierza Puchalskiego czy słynny przekład z czeskiego: „Atlas – Zwierzęta świata".

Miałeś lornetkę?

Tak, taką teatralną. Mogłem mieć dziesięć lat, kiedy mama kupiła mi ją na rynku w Lęborku, od tzw. Ruskich. Była śmieszna, wyglądała jak papierośnica, i z nią zasuwałem na bagna kilometr za wsią. Raczej sam, bo we wsi nie miałem prawie żadnych rówieśników. To były niepozorne, ale naprawdę fajne tereny. Szczególnie wiosną, kiedy napełniały się wodami roztopowymi, przez co zatrzymywały się tam najróżniejsze ptaszory. Stamtąd pamiętam swoje pierwsze cyraneczki i bociany czarne. Kolana się pode mną ugięły, kiedy je zobaczyłem. Chyba godzinę przeleżałem nieruchomo w błocie, żeby ich nie spłoszyć i się napatrzeć.

Ta lornetka musiała być dla Ciebie świętością.

Była świętością, chociaż powiększenie dawała niemal żadne. Miałem parę takich świętości, wspomniane już książki, ale i coś, co nazywałem zeszytami przyrodniczymi. Do wielkich tzw. notatników akademickich wklejałem wycinki prasowe, skąd tylko się dało. Poszukiwałem wszystkiego, co wiązało się

Biebrzański Park Narodowy. Migracje tysięcy dzikich gęsi.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER / EAST NEWS

z przyrodą i przede wszystkim z ptakami. Poza tym lepiłem ptaki z plasteliny. Każdego roku w ogrodzie budowałem własny „rezerwat", była w nim odpowiednia roślinność, a nawet bagna i jeziorka, symulowane przez stare garnki i brytfanny wkopane w ziemię. Potem, gdy przychodziła wiosna, zasiedlałem to wszystko plastelinowymi ptakami. Wszystkie w odpowiednim ubarwieniu i proporcjach. Zakładałem dla nich gniazda. Ta zabawa trwała zwykle parę tygodni, potem w lecie wszystko zarastało, a ja przestawałem się bawić. I tak do następnej wiosny. Taki cykl powtarzał się przez wiele lat. Ostatnią plastelinową sesję miałem w ósmej klasie podstawówki.

A jednak nie zostałeś przyrodnikiem.

Byłem pewien, że tak będzie. Oglądałem filmy przyrodnicze i marzyłem, żeby chronić przyrodę. Ale w końcu trzeba było spojrzeć na przyszłość realistycznie. Nie poszedłem na studia przyrodnicze, bo wiedziałem, że nie poradzę sobie z chemią, fizyką, matematyką. Nie bardzo wiedziałem, co dalej. Kontaktowałem się nawet z państwem Gucwińskimi, żeby mi coś doradzili. I wyszło, że skoro nie zwierzęta, to zajmę się ludźmi. Skończyłem psychologię, przez lata pracowałem w zarządzaniu zasobami ludzkimi. Ale przyroda mnie ciągle wołała, wołała i w końcu wywołała.

Kilkanaście lat temu, zanim napisałeś „Jej wysokość gęś" i „Noc sów", zostałeś jednym z założycieli stowarzyszenia Ptaki Polskie.

Wcześniej próbowałem działać jako wolontariusz, ale różnie to wychodziło. W końcu poznałem grupę ludzi, którzy chcieli założyć nową organizację ochrony przyrody. Ja się przed tym broniłem, uważałem, że nie ma co mnożyć bytów, ale chodziło nam o stworzenie nowej jakości. Byliśmy mocno wpatrzeni w brytyjski model ochrony przyrody, mieliśmy tam przyjaciół, choćby w Royal Society for Protection of Birds, znaliśmy doskonale tamtejsze rezerwaty. Chcieliśmy wyjść z ideami do ludzi, zerwać z syndromem oblężonej twierdzy, który dominował w polskim ochroniarstwie. Chcieliśmy budować koalicje, współpracować.

Jak się w Polsce działa w ochronie przyrody?

Dziś jest znacznie lepiej niż wtedy, kilkanaście lat temu. Nie bez powodu powiedziałem przed chwilą o syndromie oblężonej twierdzy, bo tak to wyglądało. Na Zachodzie ruch narodził się z oddolnych inicjatyw społecznych. I być może przez te korzenie wciąż pozostaje otwarty na zewnątrz, na ludzi. Tymczasem nasz ruch ochrony przyrody miał od początku bardzo akademicki temperament. Przeważa raczej rywalizacja niż współpraca. Raczej okopujemy się i zamykamy, niż wychodzimy na zewnątrz. Poza tym mamy fatalny, hermetyczny język, którym o tej przyrodzie mówimy.

Co masz na myśli?

Zrobiliśmy wszystko, żeby za pomocą języka oddzielić ludzi od przyrody. Najpierw mówiliśmy o niej gwarą łowiecką, Potem nałożyliśmy na nią język naukowy. Wreszcie weszła do tego miszmaszu nowomowa, którą nazywam gminno-brukselską, i wszędobylski angielski. Bardzo lubię angielski, ale skręca mnie, gdy słyszę, jak ktoś mówi o osobnikach juwenilnych lub ancestorach. Między innymi przez takie językowe napuszenie przegrywamy kolejne bitwy o przyrodę. O Puszczę Białowieską, o Puszczę Karpacką, Mierzeję Wiślaną. Bo dlaczego ktoś miałby przejąć się losem osobników juwenilnych, których pokolenie ↦

↦ rodzicielskie miało niedostateczny sukces rozrodczy w siedliskach ruderalnych? Posłuchaj, jak to brzmi!

Źle.

Właśnie w ten sposób rozmawia się w Polsce o naturze. Takim językiem nie uda nam się jej ochronić. Na dodatek raz na jakiś czas zbierają się tęgie głowy z Muzeum i Instytutu Zoologii Polskiej Akademii Nauk czy innych poważnych ciał i zmieniają tradycyjnie i powszechnie obowiązujące nazwy gatunkowe. I nie mamy już sikor, tylko bogatkę, modraszkę itd. Nie mamy świnki morskiej, tylko kawię.

Szarytkę zamiast foki szarej, krokutę zamiast hieny cętkowanej i amfitrytę zamiast lamparta morskiego.

Jeśli robisz takie numery w kulturze i języku, którego użytkownicy i tak mają te foki gdzieś, to dodatkowo potężnie szkodzisz sprawie. Z kolei środowisko ptasiarzy i przyrodników bywa snobistyczne i chętnie pławi się w trudnych terminach i fachowej wiedzy. Jeśli idziesz w grupie na ptaki i nieopatrznie rzucisz „orłem bielikiem", to zwykle masz przerąbane. Będą ci wytykać, że bielik to nie orzeł. A przecież to dla samych ptaków nie ma żadnego znaczenia. Po angielsku czy niemiecku bielik to po prostu orzeł morski. *Sea eagle*, *Seeadler*. Przyrodnicy często wchodzą na taki poziom terminologii, aby za pomocą języka zaznaczyć swoje...

Doinformowanie?

Wartość i rozeznanie. Nie ma się co dziwić, że przyroda, o której mówi się obcym, nieludzkim językiem, to dzisiaj dla większości Polaków obcy byt, którego nie znają i nie lubią. Do tego my gdzieś żyjemy albo mieszkamy, a zwierzęta zaledwie występują. My jemy, one żerują. Mamy dzieci i partnerów, one mają młode oraz samca lub samicę do pary. My umieramy, one zdychają itd.

Dlaczego ktoś miałby przejąć się losem osobników juwenilnych, których pokolenie rodzicielskie miało **niedostateczny sukces rozrodczy w siedliskach ruderalnych?** Posłuchaj, jak to brzmi!

Ale nie jest też tak, że mimo wszystko ptasiarstwo, czyli birdwatching, stało się w ostatnim czasie nad Wisłą bardziej demokratycznym hobby? Zainteresowanie Polaków przyrodą przejawia się przede wszystkim coraz intensywniejszym obserwowaniem ptaków.

Pewnie tak. Choć i tak dużo brakuje nam np. do Chińczyków, gdzie *birdwatching* rozwija się w ogromnym tempie. Chiny mają fantastyczną przyrodę, rozłożoną na parę stref klimatycznych, a tamtejsza klasa średnia lubi snobować się na europejską modłę. Nam, Polakom, wiele jeszcze brakuje do popularności ptasiarstwa na poziomie angielskim, ale masz rację, popularność podglądania ptaków rośnie.

Skąd wziął się ten angielski fenomen birdwatchingu? Staszek Łubieński pisze o 6 milionach obserwatorów ptaków w Wielkiej Brytanii.

To zawsze był kraj odkrywców, twórców i wynalazców. Oni mieli i Karola Darwina, i Alfreda Russela Wallace'a. Do tego masę innych ludzi, którzy zrewolucjonizowali naszą wiedzę o świecie i przyrodzie. Kiedy my walczyliśmy z okupantem, jednym czy drugim, Brytyjczycy po prostu rozwijali swoje hobby. Kiedy my walczyliśmy (niestety ciągle to robimy) z samymi sobą, oni odkrywali, katalogowali, opisywali. Sprowadzali też do siebie rośliny i zwierzęta z terenu całego imperium. Poza tym krajobraz i przyroda zawsze były istotnym elementem brytyjskiej tożsamości, co doskonale widać też w ich przebogatej sztuce i literaturze – tej dawnej i tej współczesnej. Czy jest coś piękniejszego niż krajobraz angielskiej wsi?

Ale nie możemy zapominać, jak potężnie zmieniony jest to krajobraz. Jak bardzo wylesiony.

Jasne, mnie też przeszkadza skala tego wylesienia. Ale z drugiej strony, tam gdzie mają jeszcze stare lasy, ich wiek jest imponujący. Mają kilkusetletnie dąbrowy, o jakich my możemy tylko pomarzyć. Myślę, że w jednym tylko parku Richmond w Londynie może być więcej starych drzew niż w całej Polsce, oczywiście poza enklawami typu Puszcza Białowieska.

Z uwagi na wyspiarski charakter to również bardzo atrakcyjne miejsce z punktu widzenia ptaków, prawda?

To po Rosji drugi kraj z najdłuższą listą gatunkową ptaków. Gigantyczne centrum migracyjne. I skrzyżowanie wielu szlaków. Być może Brytyjczycy tak chętnie obserwują ptaki, bo zawsze mieli je za oknem? Ale nie zapominajmy, że i my mieliśmy ich kiedyś bardzo dużo. A jednak nasz stosunek do nich był zupełnie inny. Niektórzy twierdzą, że winna może być nasza chłopsko-pańszczyźniana przeszłość: żeby przeżyć, musieliśmy walczyć z naturą i dlatego wciąż postrzegamy ją jak wroga, którego trzeba pokonać i kontrolować. A może chodzi też o to, że zawsze byliśmy zachęcani lub nawet zmuszani do tego, żeby w sprawy nadprzyrodzone wpatrywać się bardziej niż w te ziemskie i doczesne? Bardziej jesteśmy skłonni zajmować się mitycznym rajem, niż chronić naturalne krajobrazy i ziemską bioróżnorodność – jedyny raj, jaki znamy na pewno.

No właśnie, w „Jej wysokość gęś" piszesz, że ptaki to pierwowzór aniołów.

To nie jest ogólnie przyjęta prawda w antropologii, raczej mój własny wniosek. Ale z drugiej strony wiadomo, że dawniej traktowano ptaki jako posłańców bogów, istoty z innego świata. Przecież miały skrzydła i zlatywały do nas z niebios, w których mieszkali nasi bogowie. W każdym razie wyszło mi, że taki anioł to krzyżówka *Homo sapiens* i jakiegoś *Aves*.

Może więc Aves tak nas kręcą, bo są od nas bardzo odmienne. Trudno antropomorfizować ptaka.

Wbrew pozorom one są do nas bardzo podobne! Zwróć uwagę, że tak jak my, ptaki to w zdecydowanej większości dzieci słońca. Łatwiej obserwować dzienne ptaki niż choćby takiego bobra, który jest zwierzęciem nocnym. Ptaki chodzą na dwóch nogach, są bardzo kolorowe, dobrze śpiewają, świetnie wyglądają. Są ruchliwe i żywe. I wcale się nas nie boją. Zając nie

stanie ci na środku podwórka i nie zacznie śpiewać, a taki szpak i owszem. Bocian nawet zbuduje gniazdo na twoim dachu!

Ta ich różnorodność może stać się źródłem ludzkiej obsesji. Pisarz Jonathan Franzen stawał kiedyś na głowie, żeby przez tydzień zobaczyć na Karaibach trzydzieści dwa endemiczne dla dwóch tamtejszych wysp gatunki ptaków.

To się nazywa twitcherowanie, zaliczanie kolejnych gatunków. Mnie to nie kręci, choć niektórzy traktują to hobby bardzo poważnie. Rekordzistką jest pewna Brytyjka, u której zdiagnozowano nowotwór i dano może rok życia. Postanowiła wykorzystać ten czas na twitcherowanie. Przeżyła trochę dłużej, niż zakładali lekarze, dzięki czemu mogła podróżować i zobaczyć jeszcze więcej ptaków, a jej lista jest wyjątkowo długa. Kto wie, może to one dodawały jej sił i dobrej energii. Rasowy *twitcher* jedzie do pracy z paszportem i rolką banknotów, bo w połowie dnia może dostać sygnał, że na Ziemi Ognistej wylądował jakiś kosmoptaszek. Żeby go zobaczyć, musi natychmiast wsiadać w samolot i lecieć na drugi koniec świata.

Przyznaj się, na co szalonego Ty się porwałeś, żeby zobaczyć ptaki?

Jest parę gatunków, o których marzę lub marzyłem. Zawsze chciałem zobaczyć nury czarnoszyje, więc poleciałem za nimi do Szkocji. Okazały się o wiele większe i piękniejsze, niż sobie wyobrażałem. Jak z zaświatów, jakby miały w sobie pierwotną moc! Te głosy! Widzisz je na wodzie, dają nura i za chwilę wynurzają się kilkaset metrów dalej. Są jeszcze wielkie ary oraz „magellanki" w Ameryce Południowej (kilka różnych gatunków, które dzisiaj nazywa się gęsiówkami), ptasie lato w tundrze czy niezwykle rzadki żuraw antygona z Indii... Ale nie łudzę się, że uda mi się zobaczyć wszystkie gatunki, które śnią mi się po nocach.

Zamiast Indii i Ziemi Ognistej wystarczy Biebrza?

Każdy ptasiarz musi prędzej czy później wylądować nad Biebrzą, choć coraz mniej wiadomo, kiedy tam jechać. Kiedyś jasne było, że w kwietniu zobaczy się ogromne stada ptaków. Dziś przeloty są bardziej rozciągnięte w czasie, a i ptaków jest tam mniej naraz. Ich areały są rozczłonkowane – zamiast zwartych kontynentów przypominają archipelagi coraz mniejszych wysp. Ale Biebrza to wciąż wielkie centrum migracyjne. Co ciekawe, przede wszystkim wiosną. Jesienią mało kto się tam zatrzymuje. Widzi się od rana do wieczora potężne klucze gęsi, ale tylko nad głową.

Dlaczego?

Najwyraźniej przystawanie tam jesienią nie opłaca się ptakom. Gęsi potrzebują świeżej trawy, której nad Biebrzą jesienią nigdy nie było za dużo. Lecą raczej do zachodniej Polski. Cała dolina dolnej Odry, od ujścia Warty aż do Świnoujścia, to genialne tereny. I to przez okrągły rok. Z kolei Polska wschodnia, enklawy typu Biebrza, Narew, rozlewiska Bugu, sprawdzają się przede wszystkim wiosną. Park Narodowy „Ujście Warty" to ptasi raj, choć ostatnio jesienią i zimą słychać tam głównie huk broni palnej. Presja myśliwych wokół parku jest ogromna. Jeszcze parę lat temu roiło się tam od zimujących kaczek, gęsi, łabędzi, bielików, żurawi. Rok temu zobaczyłem tam garstkę ptaków z dystansem ucieczki bliskim kilometra. To wymownie pokazuje, co się tam dzieje. Tymczasem to miejsce mogłoby być klejnotem na mapie polskiej i europejskiej ochrony przyrody. Szkoda, że nie jest tak traktowane.

ARKADIUSZ GLAAS

JACEK KARCZEWSKI jest przyrodnikiem, współzałożycielem stowarzyszenia Ptaki Polskie, pomysłodawcą wielu akcji społecznych (m.in. „Bądź na pTAK!" i „Noc sów"), autor książek „Jej wysokość gęś" oraz „Noc sów" (Wydawnictwo Poznańskie).

Wracając do pracy w ochronie przyrody – czy władza, która wysyła harwestery do Puszczy Białowieskiej, mówi o regulacji rzek i kopaniu kanałów, zniechęca czy mobilizuje do działania?

Mnie i wielu innych ludzi zniechęca. Prawdę mówiąc nie znam nikogo, kto czułby się spełniony i zmotywowany dzisiejszą polityką. Działasz w trzecim sektorze, starasz się wyręczyć państwo w pewnych jego funkcjach, a władza zamiast jak partnera traktuje cię jak wroga. Nic dziwnego, że praca w ochronie przyrody cieszy się małym szacunkiem społecznym. Zawsze myślałem, że jak zajmę się ochroną przyrody, poprawianiem świata, to już nigdy nie będę chodził do pracy, bo to będzie tak twórcze i synergiczne zajęcie. Nie mogłem być w większym błędzie. To bardzo samotna branża i często jest tutaj jak na wojnie.

I kiepsko wynagradzana.

Jasne, w innych krajach i kulturach też nie ma w niej kokosów. W umowach, które ze swoimi pracownikami podpisuje brytyjskie RSPB, jest paragraf, w którym powszechnie wysoko płatni specjaliści akceptują, że zarobią mniej, niż gdyby robili to samo w biznesie. Ale z tą pracą wiąże się tam ogromny szacunek społeczny. Zdarza się, że podchodzi do ciebie obcy człowiek i dziękuje ci za to, co robisz dla niego i jego dzieci. U nas ochrona przyrody zawsze była na samym końcu listy priorytetów. I nie chodzi tylko o obecną władzę, choć ta posuwa się do nieznanych nam dotąd ekstremów i zamiast szacunku mamy do czynienia z otwarcie deklarowaną wrogością, agresją i poniżaniem.

Rzeczownik „ekolog" stał się obelgą.

Nie wiem, czy zauważyłeś, że na początku tego roku w debacie pojawił się termin ekologizacji. Zamiast ekologa mamy ekologistę. Usłyszeliśmy już, że ekologia jest niebezpieczna, że zagraża tradycyjnym wartościom, że to w rzeczywistości bolszewicka indoktrynacja. Zlepek bzdur i skojarzeń, na które nikt normalnie by nie wpadł. Mam wrażenie, że my, działacze ochrony środowiska, byliśmy kolejną grupą społeczną na celowniku władzy w kampanii wyborczej. Machina hejtu była już gotowa do działania. Nie ruszyła pełną parą chyba wyłącznie z powodu koronawirusa, bo trudno oderwać pandemię od problemów dewastacji środowiska naturalnego. Zamiast ekologów wrogiem społecznym numer jeden uczyniono mniejszości seksualne.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Państwo Dusiciel

Dziś zastanowimy się nad tym, co nam mówi fotografia przedstawiająca leżącego na ziemi człowieka, duszonego przez polskiego, umundurowanego funkcjonariusza państwowego, którego nie sposób zidentyfikować. Fotografię tę widział w ostatnim tygodniu każdy średnio zainteresowany rzeczywistością tutejszy obywatel i zapewne – jeżeli nie jest już na dobre oderwany od wartości humanistycznych – musiał zadać sobie pytanie o to, co się w Polsce dzieje, i o co tu chodzi.

Na początku trzeba koniecznie powiedzieć, że widok duszonego człowieka zawsze należał i należy do najbardziej sugestywnych. Zapewne jest tak dlatego, że każdy oddycha, a lęk przed niemożnością złapania oddechu należy do najsilniejszych w świecie przyrody. Dlatego też zapewne wszelka sztuka, a weźmy tu dla przykładu kino, używa duszenia bez dłużyzn i bez namiarów. Widzowie, poza amatorami, po prostu nie trawią duszenia, choć generalnie – co wiemy – tortury są raczej lubianym elementem kina akcji. A zatem – i tym razem – wizerunek duszonego zrobił raczej bardzo przykre i duże wrażenie, poza oczywiście prawicą polską, której z jakichś powodów zdjęcie to się szalenie spodobało.

Ważnym elementem, a może najważniejszą postacią na fotografii – prócz, rzecz jasna, ledwie dyszącej ofiary – jest wspomniany tu funkcjonariusz. Umundurowany i zabezpieczony przed chorobami wirusowymi za pomocą gumowych rękawiczek i jednorazowej maseczki. Ta przepisowa, symboliczna raczej dbałość o zdrowie własne i cudze wiele pokazuje, ale nie ułatwia zrozumienia czegokolwiek poza tym, że dusiciel jest, jak każdy, podatny na zarażenie chorobami zakaźnymi. Ale funkcjonariusz ów to przede wszystkim symbol. Każdy z nas, po elementarnym kursie wychowania obywatelskiego, wie, kim jest umundurowany policjant. To tak naprawdę nie jest żaden Kowalski bądź Kowalska na resortowym etacie, to jest przede wszystkim emanacja Państwa przez duże „P". Te elementarzowe informacje mogą wielu z Czytelników śmieszyć bądź nużyć, ale z oczywistych powodów czujemy, że trzeba je tu odnotować.

A więc na fotografii Państwo przez duże „P" leży na człowieku i go dusi. Trzeba zapytać, dlaczego i po co? Najpewniej dlatego, że ów zakłócił porządek publiczny i czynem swym zasłużył na zdecydowaną reakcję Państwa przez duże „P". Można powiedzieć, że Państwo przez duże „P" kładzie się na obywatelu swym tęgim ciałem, by się bronić. Można dodać, że Państwo przez duże „P" dusi swego obywatela w samoobronie. Znalezienie odpowiedzi na pytanie, po co to robi, nie jest trudne. Dusi, by odstraszyć innych obywateli, potencjalnie skłonnych do zakłócania porządku publicznego, a może nawet chcących nadwyrężyć czy też podważyć jego niepodległy byt bądź jego – dajmy na to – kodeksowe czy konstytucyjne regulacje. Jednak wejście w detale omawianego tu dziś zareagowania, tzn. kładzenia się, w powód tego konkretnego założenia chwytu uniemożliwiającego oddychanie obywatelowi polskiemu, jest o tyle ciekawe, że dla wielu zwłaszcza młodszych Czytelników nietypowe. Oto Państwo przez duże „P" – to jest nasza odpowiedź i nasza opinia – leży na tym konkretnym obywatelu polskim i go dusi, ów bowiem zakłócił porządek publiczny, próbując wprowadzić do przestrzeni wspólnej niezakazaną prawem symbolikę, spróbował, i tej próby bronił. Nie spalił nikomu żadnej flagi, ale ją powiesił. Można zatem dodać, że Państwo przez duże „P" *ad hoc* reguluje nieregulowaną w cywilizowanym świecie symboliki sferę, ale też proponuje pewną tych regulacji estetykę. Omawiana fotografia świetnie ilustruje próbkę owej nowej państwowej estetyki.

Jest tu coś jeszcze, co nas w ogóle nie rozśmiesza, a wręcz krępuje. To strach. Na fotografii reporter utrwalił nadmierność, w tym nadmiar lęku Państwa przez duże „P", które ze strachu kładzie się na swoim obywatelu i go na chama dusi. Przykre. Zważywszy nabożny stosunek obecnej władzy do wszelkich – potrzebnych bądź niepotrzebnych – heroizmów, przywołana tu tak żywa ilustracja jej groteskowych strachów budzić musi powszechne współczucie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

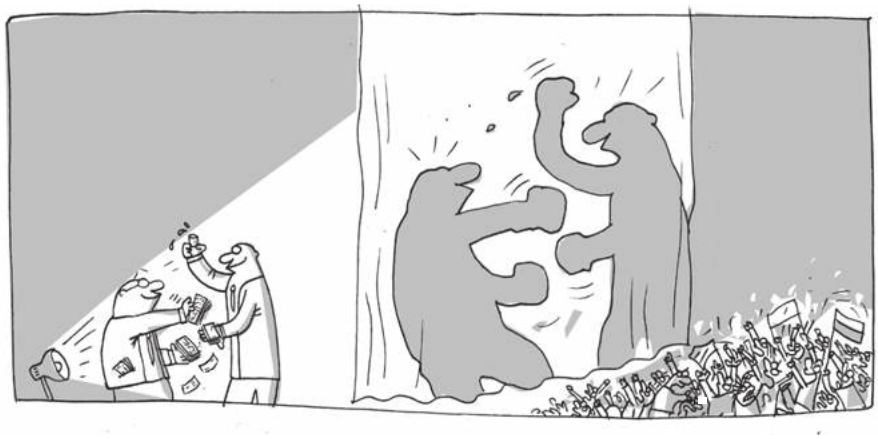

Jak mieć...?

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego"

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają znakomici Autorzy i Autorki „Tygodnika" oraz ich wybitni rozmówcy.

Wydanie specjalne JUŻ DOSTĘPNE w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą, a także jako e-book na **powszech.net/dobrezycie**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

PRZE KRÓJ

RMF Classic

REKLAMA

40-lecie
Porozumień
Sierpniowych

ŚWIĘTO WOLNOŚCI I DEMOKRACJI

SOLIDARNOŚĆ NA NOWE CZASY

14—31 SIERPNIA / 1 WRZEŚNIA | GDAŃSK

GDAŃSK

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

ECS europejskie centrum solidarności

FUNDACJA GDAŃSKA

FORUM OBYWATELSKIE

/ 29—31 sierpnia

W gronie bohaterów Sierpnia '80, historyków, politologów, dziennikarzy i obywateli zainteresowanych rozwojem demokracji będziemy nie tylko podsumowywać dorobek minionych 40 lat, ale też rozmawiać o polskiej demokracji i wyzwaniach na przyszłość. Różne perspektywy regionalne i kompetencje gości sprawiają, że możemy się spodziewać bardzo żywej debaty.

ETYKA SOLIDARNOŚCI

/ 30 sierpnia, godz. 18.00

Wykład w przeddzień rocznicy podpisania Porozumienia Gdańskiego wygłosi **Hartmut Rosa** — socjolog i politolog, profesor na Uniwersytecie Fryderyka Schillera w Jenie oraz na New School University w Nowym Jorku, dyrektor Max-Weber-Kolleg w Erfurcie, autor książki *Przyspieszenie, wyobcowanie, rezonans* wydanej w tym roku po raz pierwszy w języku polskim, nakładem ECS.

ZAPRASZAMY

program + rezerwacja miejsc | **1980gdansk.pl**
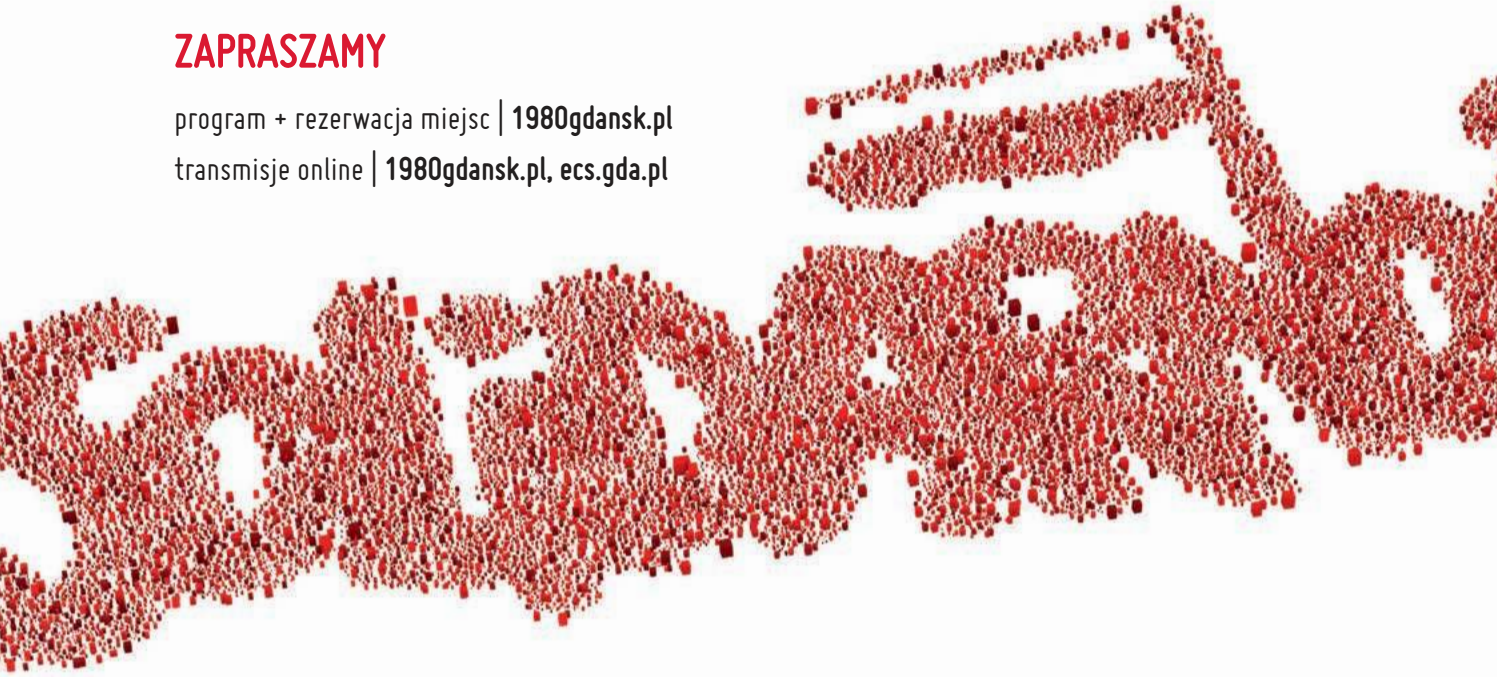
transmisje online | **1980gdansk.pl, ecs.gda.pl**